

Anne Rice

# Chrystus Pan Droga do Kany

*Christ the Lord. Road to Cana*  
Przekład Aleksander Gomola

*Dla  
Christophera*

## INWOKACJA

W imię Ojca  
i Syna,  
i Ducha Świętego  
Amen.

Prawdę wiary można przechować, jedynie uprawiając teologię Jezusa Chrystusa. Wciąż i za każdym razem na nowo.

Karl Rahner

Panie Boże jedyny, Boże Trójco; cokolwiek powiedziałem w tych księgach z Twego, niech uznają to i Twoi; jeśli coś z mego, przebacz Ty i Twoi niech przebaczą.

św. Augustyn, *O Trójcy Świętej*\*

---

\* Św. Augustyn, *O Trójcy Świętej*, przeł. M. Stokowska, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1963.

Na początku było Słowo,  
a Słowo było u Boga,  
i Bogiem było Słowo.  
Ono było na początku u Boga.  
Wszystko przez Nie się stało,  
a bez Niego nic się nie stało,  
co się stało.  
W Nim było życie,  
a życie było światłością ludzi,  
a światłość w ciemności świeci  
i ciemność jej nie ogarnęła (...)  
Na świecie było,  
a świat stał się przez Nie,  
lecz świat Go nie poznał.

*Ewangelia według świętego Jana* \*

---

\* Cytaty z Pisma Świętego pochodzą z Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1989.

# I

Kim jest Chrystus Pan?

Jego narodziny obwieścili śpiewem aniołowie. Magowie ze Wschodu przynieśli dary: złoto, kadzidło i mirrę. Ofiarowali je jemu, jego matce Maryi i Józefowi, mężczyźnie, który twierdził, że jest jego ojcem.

W świątyni pewien starzec wziął niemowlę i trzymając je w ramionach, zwrócił się do Pana: „Światło na oświecenie pogan i chwałę ludu Twego, Izraela”.

Te historie opowiedziała mi moja matka.

Wszystko to wydarzyło się dawno, dawno temu.

Czy to możliwe, że Chrystus Pan jest cieślą w miasteczku Nazaret, że ma niewiele ponad trzydzieści lat, że pochodzi z rodziny cieśli i że cała rodzina, mężczyźni, kobiety i dzieci, zajmuje razem dziesięć izb w domu pamiętającym poprzednie pokolenia i że jest zima i nie spadła dotąd ani kropla deszczu, a wszędzie tylko pył i kurz, i że znowu ludzie mówią o zamieszkach w Judei, i że Chrystus Pan ma na sobie wełniany płaszcz i śpi razem z innymi mężczyznami w jednej z izb obok dymiącego piecyka? I czy to możliwe, że śpiąc w tej izbie, śni?

Wiem, że to możliwe. Ja jestem Chrystusem Panem. Wiem to. To, co muszę wiedzieć, wiem. A tego, czego muszę się nauczyć, uczę się.

W tym ciele żyję i pocę się, oddycham i stękam, czasem z wysiłku, czasem z bólu. Bolać mnie ramiona. Oczy mam suche i piekące z powodu pyłu i dni bez deszczu, ponieważ odbywam długie wędrówki do Seforis i mijam po drodze zszarzałe pola, gdzie ziarna wypała przyćmione zimowe słońce, ponieważ deszcze wciąż nie przychodzą.

Jestem Chrystusem Panem. Wiem to. Inni też wiedzą, ale nie zawsze o tym pamiętają. Moja matka od lat nie powiedziała na ten temat ani słowa. Mój przybrany ojciec, Józef, jest już teraz stary, posiwiiał i często za dnia przymyka oczy, jakby śnił na jawie.

Ja zawsze pamiętam.

I kiedy zasypiam, czasami się boję, ponieważ moje sny nie są mi przyjazne. Rozrastają się jak paprocie lub są niczym nagle, gorące wiatry hulające po spalonych słońcem dolinach Galilei.

A przecież śnię, tak jak wszyscy ludzie.

I właśnie tej nocy, leżąc obok piecyka i czując pod płaszczem zziębnięte stopy i dłonie, miałem sen.

Śniła mi się kobieta, bliska mi, moja kobieta, która przemieniła się w piękną dziewczynę i w napływających bezładnie sennych obrazach stała się moją Abigail.

Obudziłem się i usiadłem w ciemnościach. Wszyscy w izbie spali spokojnie, niektórzy z lekko rozchylonymi ustami, a w piecyku był już tylko popiół.

*Odejdź, najmiłsza. Nie jest mi dane poznać tych rzeczy i Chrystus Pan nie pozna tego, czego nie chce poznać, lub to, co mógłby poznać, jedynie to przeczuwając.*

Nie chciała odejść; nie Abigail ze snów, z rozpuszczonymi włosami, które spływają mi na dłonie, tak jakby Pan uczynił ją specjalnie dla mnie w ogrodzie Edenu.

Nieprawda. Być może po prostu Pan zesłał mi takie sny, bym mógł to poznać, a przynajmniej tak się zdawało Chrystusowi Panu.

Podniosłem się z maty i najciszej, jak umiałem, dołożyłem drew do piecyka. Moi bracia i ich synowie spali dalej kamiennym snem. Jakub spał z żoną w sąsiedniej izbie, która należała do nich. Mały Juda i Mały Józef, teraz już ojcowie, spali dzisiaj tutaj, a ich dzieci leżały w innej

izbie zwinięte w kłębek i wtulone w ich żony. Za to tu, w izbie, spali synowie Jakuba: Menachem, Izaak i Szabi, leżąc bezładnie jedni na drugich jak szczenięta.

Przestąpiłem ich ostrożnie, wyjąłem ze skrzyni czystą, wełnianą tunikę, pachnącą słońcem, bo schła na dworze. Wszystko w skrzyni było czyste.

Wyszedłem przed dom na pusty dziedziniec. Poczułem dotkliwy chłód. Pod stopami zaszeleściły suche liście.

Przystanąłem na chwilę na kamienistej uliczce, zadarłem głowę i spojrzałem na błyszczące jasno gwiazdy na bezmiarze rozciągającym się nad stłoczonymi ciasno dachami domów.

Zimne, bezchmurne niebo, wypełnione niezliczonymi światłami, wydawało się przez chwilę piękne. Poczułem ukłucie w sercu. Miałem wrażenie, że niebo spogląda na mnie, że ogarnia mnie całego, że jest dobrocią i świadectwem — niczym ogromna sieć rozpostarta czyjąś ręką — a nie bezgraniczną nieuchronną pustką nocy ponad uśpionym miasteczkiem, które jak setki innych miasteczek rozlało się po zboczu między odległymi grotami pełnymi kości i spragnionymi deszczu polami i gajami oliwnymi.

Byłem sam.

Gdzieś tam w dole, gdzie kiedyś był plac targowy, ktoś śpiewał pijackim głosem i na chwilę w drzwiach gospody zapaliło się światełko i rozbrzmiał niewyraźnie śmiech.

Lecz poza tym było cicho i spokojnie i żadna pochodnia nie oświetlała drogi.

Dom Abigail stał naprzeciw naszego domu, zamknięty na noc jak wszystkie inne siedziby. W nim spała Abigail, moja krewna, razem z Cichą Anną i dwiema starszymi kobietami, które im usługiwały, oraz zgorzkniałym starszym mężczyzną, Szemajachem, jej ojcem.

Nazaret nie zawsze miał swą piękność. Widziałem wiele dziewcząt, widziałem, jak dorastały, każda śliczna i miła oku niczym kwiat na łące. Ojcowie wcale nie chcieli, aby ich córki były pięknosciami. Teraz jednak Nazaret miał swą piękność i była nią Abigail. Niedawno odmówiła dwóm zalotnikom, a w zasadzie uczynił to w jej imieniu ojciec, i kobiety nawet się zastanawiały, czy aby sama Abigail wiedziała o tym, że jacyś mężczyźni przyszli ubiegać się o jej rękę.

Nagle uświadomiłem sobie z bólem, że nadejdzie dzień, kiedy i ja będę stał, trzymając pochodnię razem z innymi, w dniu jej wesela. Abigail miała piętnaście lat. Mogła już wyjść za mąż w zeszłym roku, ale ojciec trzymał ją przy sobie. Szemajach był bogatym człowiekiem, będącym w posiadaniu tylko jednego, co dawało mu szczęście — swojej córki Abigail.

Zacząłem się wspinać i wkrótce dotarłem na wzgórze. Znałem w Nazarecie każdą rodzinę i wiedziałem, kto śpi w każdym z domów. Znałem kilku obcych, którzy przybyli do miasteczka, a potem sobie poszli; jeden spał zwinięty w kłębek na dziedzińcu przed domem rabiego, a drugi wyżej, na dachu, gdzie spało tak wielu, nawet zimą. W Nazarecie życie toczyło się spokojnie, z dnia na dzień, i nie było w nim żadnych sekretów ani tajemnic.

Zacząłem schodzić ze wzgórza po drugiej stronie, aż dotarłem do strumienia. Każdym krokiem wzbijałem z ziemi chmury pyłu, tak że po chwili zacząłem kasłać.

Pył, pył, wszędzie pył.

Dziękuję Ci, Ojcze wszechświata, że ta noc nie jest tak zimna, jak mogłaby być, i proszę Cię, ześlij nam deszcz w wybranym przez Ciebie czasie, ponieważ wiesz, że go potrzebujemy.

Kiedy mijałem synagogę, dobiegł mnie szmer niewidocznego jeszcze strumienia.

Źródło już wysychało, ale woda wciąż, płynęła, wlewając się do dwóch wykutych w skalistym zboczu zbiorników, a potem wypływała z nich lśniącymi strużkami na skałę, by podążyć wreszcie do odległego zagajnika.

Wiedziałem, że nie minie godzina, a zjawią się tutaj kobiety, niektóre, by napełnić dzbany, inne, te uboższe, by wyprać odzież, najlepiej jak się da, kładąc ją na skałach i uderzając kijankami.

Na razie jednak źródło należało do mnie.

Zdjąłem tunikę i wrzuciłem ją na dno strumienia, aż pociemniała i stała się niemal niewidoczna. Położyłem obok czystą tunikę i podszedłem do zbiornika. Złączyłem dłonie i kąpałem się, polewając ciało zimną wodą, a potem zanurzyłem w niej włosy, twarz, tors, pozwalając wodzie spływać po plecach i nogach. Tak, zrzucić z siebie sny niczym brudną tunikę, splukać je i zmyć. Kobieta ze snu nie miała ani imienia, ani głosu, a ten bolesny skurcz w sercu, kiedy się śmiała i wyciągała ręce w moją stronę, zniknął, odpłynął powoli, tak jak odpływała teraz i znikająca noc, i przez chwilę nie czułem dławiącego pyłu. Były tylko chłód i woda.

Leżałem po drugiej stronie strumienia, naprzeciw synagogi. Ptaki zaczęły już swoje śpiewy i jak zawsze przegapiłem chwilę, w której to się stało. Za każdym razem starałem się usłyszeć pierwszy poranny śpiew ptaka, który wiedział, że słońce już wstaje, chociaż nikt inny jeszcze tego nie zauważył.

Widziałem, jak z bezkształtnych cieni wyłaniają się powoli rosnące wokół synagogi palmy o grubych pniach. Pozostawały zielone nawet w czasie suszy, nic sobie nie robiąc z pokrywającego je pyłu. Obojętna im była pora roku.

Już nie czułem chłodu. Ogrzewało mnie chyba moje bijące serce. Zza wzgórza przebił się pierwszy promień światła; podniosłem z ziemi wyjętą ze skrzyni tunikę i włożyłem ją przez głowę. Jakie to przyjemne uczucie mieć na sobie czystą, pachnącą świeżością odzież!

Położyłem się znów na ziemi i pozwoliłem płynąć myślom. Poczułem na twarzy lekki powiew, a dopiero po chwili usłyszałem szum poruszanych wiatrem liści.

Na jednym z dalej położonych wzgórz rósł stary gaj oliwny, do którego lubiłem chodzić, gdy chciałem побыć sam. Przypomniało mi się teraz to miejsce. Dobrze byłoby położyć się na ziemi pokrytej liśćmi i przespać cały dzień.

Ale nie było to możliwe, nie teraz, kiedy trzeba było zrobić tyle rzeczy, kiedy ludzie w wiosce znowu zaczęli się niepokoić i rozprawiali o nowym rzymskim prokuratorze, który przybył do Judei i, tak jak wszyscy prokuratorzy przed nim, dopóki nie osiadzie na dobre, będzie nękał naszą ziemię od Dan do Beer-Szeby.

Nasza ziemia. Kiedy mówię „nasza ziemia”, mam na myśli nie tylko Judeę, ale także Galileę. Mam na myśli Ziemię Świętą, Ziemię Izraela, Ziemię Boga. To, że prokurator nie rządził Galileą, nie miało znaczenia. Rządził Judea i Świętym Miastem, w którym znajdowała się Świątynia, a to znaczyło, że równie dobrze to jego można było uznać za naszego króla, a nie Heroda Antypasa. Zresztą obaj byli w komitywie; Herod Antypas, który rządził Galileą, i nowy rządca przysłany przez Rzym, Poncjusz Piłat, którego tak bali się ludzie, Jordanem zaś rządził Filip Tetrarcha, który też dobrze się rozumiał z tymi dwoma. Widać stąd, że nasza ziemia była podzielona już od wielu lat i chociaż znaliśmy Antypasa i Filipa, o Poncjuszu Piłacie nic nie wiedzieliśmy, jednak pierwsze wiadomości o nim już zwiastowały wiele złego.

Co mógł na to poradzić cieśla z Nazaretu? Nic. Ale ponieważ od wielu dni nie było deszczu, ponieważ ludzie byli niespokojni i gotowały się w nich złość i strach, i ponieważ mówili o kłątwie Nieba, której znakiem była usychająca trawa, i o zniewagach, jakich doznawali od Rzymian, i o tym, że cesarz udał się na wygnanie, oplakując śmierć syna, którego otruto, i ponieważ cały świat czekał na to, aż ktoś się zaprze i ruszy go z posad, nie mogłem po prostu pójść do gaju, by przespać tam cały dzień.

Niebo już się rozjaśniało.

Spośród ciemnych jeszcze plam domów wyłoniła się nagle sylwetka. Ktoś szedł pospiesznie w moją stronę, machając do mnie.

To był mój brat Jakub. Syn Józefa i jego pierwszej żony, która zmarła, nim Józef poślubił moją matkę. Tak, to na pewno był on, o czym świadczyły długie, spływające na plecy włosy

związane nad karkiem i wąskie ramiona, poruszające się nerwowo, a także szybkość, z jaką zmierzał w moją stronę. Jakub Nazarejczyk, Jakub, który umawiał się w naszym imieniu co do zapłaty, gdyśmy się najmowali do jakichś prac, Jakub, który teraz, kiedy Józef już się zestarzał, był głową całej rodziny.

Zatrzymał się po drugiej stronie niewielkiego, prawie wyschłego strumienia, gdzie między wystającymi kamieniami płynęła z cichym szumem wąska, błyszcząca struga. Widziałem wyraźnie jego twarz, kiedy przypatrywał mi się uważnie.

Przeszedł na drugą stronę, stąpając ostrożnie po kamieniach. Podniosłem się z ziemi, co było z mojej strony wystarczającym dowodem szacunku dla starszego brata.

— Co tutaj robisz? — spytał napastliwie. — Co się z tobą dzieje? Dlaczego zawsze muszę się martwić z twojego powodu?

Nic nie odpowiedziałem.

Wyrzucił w górę ręce w geście rozpaczy i spojrzał na drzewa, a potem w stronę pól, jak gdyby oczekując od nich odpowiedzi.

— Kiedy poszukasz sobie żony? — ciągnął. — Nie przerywaj mi, nie podnoś ręki, żeby mnie uciszyć! Nie będę milczał. Kiedy poszukasz sobie żony? Czy brałeś ślub z tym strumykiem, z tą zimną wodą? Co zrobisz, kiedy wyschnie, a to nastąpi w tym roku, dobrze o tym wiesz.

Zaśmiałem się w duchu, a Jakub mówił dalej:

— W naszym miasteczku są jeszcze dwaj w twoim wieku, którzy się nie ożenili. Jeden to kaleka, a drugi jest niespełna rozumu, o czym wszyscy wiedzą.

Miał rację. Liczyłem już ponad trzydzieści lat i nie byłem żonaty.

— Ile razy już o tym rozmawialiśmy, Jakubie? — spytałem.

Pięknie było obserwować, jak robi się coraz jaśniej, jak palmy rosnące wokół synagogi nabierają barwy. Wydawało mi się, że usłyszałem dobiegający z oddali krzyk. Ale może były to zwykłe odgłosy miasteczka budzące się ze snu.

— Powiedz mi, co cię dzisiaj gryzie. — Wyjąłem ze strumienia mokrą tunikę i rozłożyłem ją na trawie, żeby wyschła. — Z każdym rokiem coraz bardziej upodabniasz się do twojego ojca, ale — dodałem — brak ci jego spokoju ducha.

— Już taki się urodziłem, że wciąż się wszystkim zamartwiam. — Wzruszył ramionami. Spojrzał niespokojnie w stronę wioski. — Słyszysz ten hałas? — spytał.

— Coś słyszę — odparłem.

— To najgorsza susza, jaką mieliśmy w Nazarecie — rzekł, zadzierając głowę ku niebu. — Jest chłodno, prawda, ale przecież powinno być nie chłodno, lecz bardzo zimno. Cysterny są już prawie puste, mykwa też. A jeszcze ty, Jeszuo, ciągle przyprawiasz mnie o ból głowy! Wychodzisz z domu w ciemnościach, przychodzisz tutaj, nad strumień. Chodzisz do gaju oliwnego, gdzie inni boją się zaglądać...

— Nie mają racji — przerwałem mu. — Tamte kamienie nic nie znaczą. To tylko przesąd, że kiedyś w tym gaju odprawiano jakieś straszne, pogańskie obrzędy. To tylko resztki starej prasy do oliwy, która stała tam, nim ludzie zamieszkali w Nazarecie. Przecież stale ci to powtarzam, prawda? I wcale nie chcę, żebyś martwił się z mojego powodu.



## II

Myślałem, że Jakub będzie dłużej przemawiał mi do rozsądku, ale on zamilkł, spoglądając w stronę wioski.

Dochodziły stamtąd krzyki wielu ludzi.

Poprawiłem zmierzwione włosy i spojrzałem w tamtą stronę.

Dzień wstał już na dobre i zobaczyłem, jak szybkim krokiem, popychając się nawzajem, idą jacyś chłopcy, a za nimi mężczyźni zmierzają w naszą stronę.

Nagle z tłumu wystąpił stary Jacimus, nasz rabbi, i jego młody siostrzeniec Jazon. Widziałem, że rabbi próbuje powstrzymać tłum, ale ludzie parli do przodu, w stronę synagogi, niczym pędzące przed siebie na oślepie stado zwierząt, i zatrzymali się dopiero przed budynkiem, obok palm.

Staliśmy z Jakubem po drugiej stronie strumienia i widzieliśmy wszystko jak na dłoni.

Spośród tłumu wywleczono dwóch chłopców — Jitrę bar Nahuma i brata Cichej Anny, którego nazywaliśmy po prostu Sierotą.

Rabbi wbiegł po kamiennych stopniach na dach synagogi.

Chciałem tam pobiec, ale Jakub przytrzymał mnie gwałtownym ruchem.

Słowa rabiego Jacimusa niosły się w powietrzu, gdy próbował przekrzyczeć szum strumienia i groźny pomruk tłumu.

— Będziemy tu mieć sprawiedliwy proces! Tak zrobimy! — wołał stanowczym głosem. — Chcę świadków, gdzie świadkowie?! Niech wystąpią i powiedzą, co widzieli!

Jitra i Sierota stali w pewnym oddaleniu od tłumu, jakby od rozwścieczonych mieszkańców naszego miasteczka oddzielała ich niemożliwa do pokonania odległość. Niektórzy zgromadzeni wymachiwali pięściami, inni rzucali przekleństwa i przysięgali coś zawzięcie, i nie trzeba było rozumieć słów, by się domyślić, co mówią, ani ich intencji.

Znów próbowałem ruszyć w tamtą stronę, lecz Jakub mnie przytrzymał i pociągnął ku sobie.

— Trzymaj się od tego z daleka — powiedział. — Wiedziałem, że do tego dojdzie.

— Co ty mówisz?! — oburzyłem się.

Tłum stawał się coraz bardziej pobudzony, krzyki coraz bardziej natarczywe. Zaczęto wskazywać na chłopców palcami. Ktoś zawołał:

— Obrzydlistwo!

Jitra, starszy z chłopców, stał nieruchomo i wpatrywał się kamiennym wzrokiem w tłum. Był prawy i pobożny, kochany przez wszystkich, jeden z najlepszych uczniów w szkole, a kiedy rabbi zabrał go w zeszłym roku do Świątyni, był z niego bardzo dumny, bo wspaniale odpowiadał na pytania nauczycieli.

Sierota, trochę niższy od Jitry, był blady ze strachu i spoglądał przed siebie rozszerzonymi oczyma, a usta mu drżały.

Jazon Skryba, siostrzeniec rabiego, stanął obok niego na dachu synagogi i powtórzył za wujem:

— Przerwijcie natychmiast to szaleństwo! Odbędzie się proces, tak jak nakazuje Prawo, a teraz niech wystąpią świadkowie! Niech wystąpią! Co, boicie się?! Wy, którzy to zaczęliście?!

Jego słowa utonęły w krzyku tłumu.

Ze wzgórza biegł teraz w stronę synagogi ojciec Jitry, Nahum, razem z żoną i córkami. Tłum znowu zaczął miotać obelgi i przekleństwa, mężczyźni wymachiwali pięściami i tupali. Nahum przecisnął się między nimi i spojrzał na syna.

Rabbi wciąż nawoływał do spokoju, ale nikt już go nie słuchał.

Wydawało mi się, że Nahum mówi coś do syna, ale nic nie słyszałem.

I w tej chwili, gdy wściekłość tłumu sięgnęła zenitu, Jitra, najpewniej bezwiednie, wyciągnął rękę i przygarnął do siebie Sierotę, jakby chcąc go uchronić przed tłuszcą.

Zawołałem: „Nie!” Ale mój krzyk zginął w nienawistnym wrzasku. Pobiegłem przed siebie.

W stronę chłopców poleciały kamienie. Tłum roił się niczym rozjuszone osy, a w powietrzu słyhać było świst kamieni.

Wbiegłem tam, nie zważając na nic, a Jakub za mną.

Za późno.

Rabbi, stojąc na dachu synagogi, wydał straszny jęk, niczym ranne zwierzę.

Tłum nagle umilkł.

Rabbi zakrył z przerażenia usta dłonią i wpatrywał się w stos kamieni. Jazon kręcił głową w rozpacz i odwrócił się plecami do tłumu.

Z piersi matki Jitry wyrwał się przeraźliwy szloch i zawodzenie i natychmiast przyłączyły się do niej jego siostry. Ludzie zaczęli się odwracać i rozbiegać we wszystkie strony, ku polom, nad strumień, w górę zbocza. Każdy uciekał, dokąd mógł.

Rabbi uniósł ramiona.

— Uciekajcie, tak, uciekajcie od tego, co zrobiliście! Lecz Pan na Wysokościach widzi was! Pan na Wysokościach widzi i to! — Zacisnął pięści. — Szatan rządzi w Nazarecie! — zawołał pełnym grozy głosem. — Uciekajcie! Tak, uciekajcie przed hańbą, którą na siebie ściągnęliście! Uciekaj, zgraj bez szacunku dla Prawa! — Przycisnął dłonie do skroni, a z jego piersi dobył się szloch głośniejszy niż płacz matki i sióstr Jitry. Schylił się ku ziemi, a Jazon przytulił go do siebie.

Nahum odciągnął matkę i siostry Jitry od stosu kamieni. Obejrzał się, potem pociągnął żonę za sobą, w górę zbocza, a dziewczynki pobiegły za nimi.

Na miejscu pozostało tylko kilku maruderów; byli to jacyś najemni robotnicy. No i dzieci, które przyglądały się wszystkiemu, pochowane za palmami lub drzwiami pobliskich domów. A także ja i Jakub, którzy wpatrywaliśmy się w stertę kamieni, pod którymi leżeli złączeni w uścisku chłopcy.

Ramię Jitry oplatało Sierotę. Głowa spoczywała na jego piersi. Z rany na głowie Sieroty sączyła się krew. Oczy Jitry były na wółprzymknięte. Na jego ciele, jeśli nie liczyć głowy, nie było krwi.

Obaj nie żyli.

Usłyszałem tupot stóp. To uciekali ostatni mężczyźni.

Podeszli do nas Józef i stary rabbi Berechiasz, który ledwie powłóczył nogami, a także kilku innych siwowłosych mężczyzn tworzących starszyzną wioski. Byli wśród nich Kleofas i Alfeusz. Stańli obok Józefa.

Z początku spoglądali sennym wzrokiem na stos kamieni, ale potem ich oczy rozszerzyły się w zdumieniu.

Józef przyglądał się martwym chłopcom.

— Jak to się stało? — wyszeptał, kierując wzrok na mnie i Jakuba.

Jakub westchnął, a po jego policzku spłynęła łza.

— To wszystko stało się tak szybko... — szepnął. — Trzeba było coś zrobić... Ale nie przeszło mi nawet przez myśl, że oni... — Zwiesił głowę.

Nad nami, na dachu synagogi, rabbi szlochał na ramieniu siostrzeńca, który odwrócił wzrok i spoglądał w dal, na pola, a na jego twarzy malował się ogromny smutek.

— Kto ich oskarżył? — spytał wuj Kleofas. — Powiedz, Jeszuo, kto to zrobił?

Józef i rabbi powtórzyli za nim to pytanie.

— Nie wiem, ojcie — odparłem. — Świadkowie chyba nawet się nie pokazali.

Rabbi Berechiasz zaczął szlochać. Chciałem podejść do stosu kamieni, ale Jakub znowu mnie powstrzymał, tym razem delikatniej.

— Jeszuo, proszę cię, nie — wyszeptał.

Pozostałem na miejscu.

Spojrzałem jeszcze raz na chłopców, leżących tak, jakby spali wśród kamieni. Nie było nawet dość krwi, by zauważył ich i stanął przy nich Anioł Śmierci.

### III

Dotarliśmy do domu rabbiego. Drzwi były otwarte. Jazon stał w głębi izby, obok zwojów, z rękoma założonymi na piersi. Stary rabbi Jacimus siedział zgarbiony nad stołem, z łokciami na rozwiniętym zwoju, z głową w dłoniach.

Kołysał się w przód i w tył, modlił się lub czytał, nie wiadomo. Może sam nie wiedział.

Stałem cicho obok Józefa i Jakuba, słuchając Jacimusa. Za nami stał Kleofas.

„Czyż nie dzięki Twojej woli przyszliśmy na ten świat i nie odchodzimy z niego mocą naszej woli. Któż z nas powiedział kiedykolwiek ojcu lub matce: «Oto pocznij i zrodź mnie»? I któż idzie do krainy śmierci i mówi tam: «Przyjmij mnie»? Czyż mamy w sobie dość siły, Panie, by znieść Twój gniew? Kimże jesteśmy, by doświadczać Twojej sprawiedliwości?»

Uniósł głowę i uświadomiwszy sobie naszą obecność, usiadł wyprostowany, po czym westchnął i spojrzawszy na nas, modlił się dalej: „Otocz nas, Panie, Twoją łaską i w Twoim miłosierdziu przybądź nam z pomocą”.

Józef powtórzył za nim te słowa.

Jazon wyglądał przez chwilę tak, jakby wszystko to przekraczało granice jego cierpliwości, lecz zarazem w jego oczach widać było smutek i gościła w nich łagodność, którą rzadko w nich widywałem.

Kiedy zjawiłem się jako chłopiec w Nazarecie, rabbi Jacimus był w kwiecie wieku. Teraz był przygarbiony i zniedołężniały, i zupełnie posiwiiał, podobnie jak Józef i moi wujowie. Spoglądał na nas tak, jakbyśmy niczego od niego nie oczekiwali, jakbyśmy go nawet nie dostrzegali, jakby był dla nas niewidoczny i zastanawiał, się co tutaj robimy, aż w końcu powiedział sennym głosem:

— Czy już ich zabrali? — Miał na myśli ciała chłopców.

— Tak — odparł Józef. — Zakrwawione kamienie także. Wszystko uprzątnięte.

Rabbi podniósł wzrok i westchnął.

— Teraz należą już do Azazela.

— Nie należą — odparł Józef. — Ale już ich nie ma. My natomiast przyszliśmy zobaczyć się z tobą. Wiemy, że bardzo cię to poruszyło. Co mamy uczynić? Czy mamy pójść do Nahuma i matki chłopca?

Rabbi skinął potakująco głową.

— Józefie, chcę, żebyś został tutaj i mnie pocieszył — powiedział, a głowa mu się trzęsła. — Tutaj jest twoje miejsce. Nahum ma braci w Judei. Niech weźmie swoją rodzinę i uda się do nich. W tej wiosce już nigdy nie zazna spokoju. Powiedz mi, Józefie, dlaczego to się stało.

W tej chwili do rozmowy wtrącił się Jazon, zapalczywy jak zawsze.

— Nie trzeba iść do Aten ani do Rzymu, żeby się dowiedzieć, co robili ci chłopcy! Takie rzeczy mogą się zdarzyć i w Nazarecie!

— Nie o to pytam — odparł rabbi, spoglądając surowo na Jazona. — Nie pytam, co robili chłopcy. Tego nie wiemy! Nie było procesu, świadków, sprawiedliwości! Ja pytam, jak oni mogli ukamienować tych chłopców, o to pytam! Gdzie jest prawo? Gdzie sprawiedliwość?

Sposób, w jaki rabbi zwrócił się do siostrzeńca, mógłby dla kogoś, kto go nie znał, oznaczać, że ma go w pogardzie, lecz w rzeczywistości Jacimus bardzo kochał Jazona. Synowie rabbiego już nie żyli i to Jazon podtrzymywał w nim ducha młodości, kiedy bowiem nie było go w Nazarecie, rabbi pozostawał cały czas zatopiony w myślach i jakby nieobecny. Kiedy jednak Jazon tylko przekraczał próg jego domu, wróciwszy z kolejnej dalekiej podróży z przewieszonym

przez ramię workiem pełnym zwojów, rabbi podnosił się rażno i kiedy zaczynali rozprawiać, przypominał chłopca, który opowiada o czymś z przejęciem.

— A co robią — ciągnął Jazon — kiedy ojciec Jitry dostanie w swoje ręce chłopaków, którzy to zaczęli? Przecież to były dzieci, te same, które zawsze kręcą się wokół gospody, i zaraz uciekły, nim poleciał pierwszy kamień. Nahum może całe życie próbować się dowiedzieć, którzy to byli, i się nie dowie.

— Właśnie, dzieci — dodał Kleofas. — Dzieci, które mogły nawet nie wiedzieć, co widziały. A co mogły widzieć? Dwóch chłopców pod tą samą derką w zimową noc?

— Teraz już za późno na biadania — powiedział Jakub. — Czy mamy przeprowadzić proces teraz, kiedy nie zrobiliśmy tego przedtem? Sprawa jest już zamknięta.

— Masz słuszość — odparł rabbi. — Ale idź, proszę, do matki i ojca Jitry. Jeśli ja pójde, będę płakał, będzie to trwało zbyt długo i ogarnie mnie straszna złość. Jeśli natomiast pójdzie Jazon, będzie wygadywał dziwne rzeczy.

Jazon zaśmiał się ponuro.

— Dziwne rzeczy. Tak, żebyś wiedział! Że ta wioska to nic innego jak tylko godna pożalowania kupa kamieni. Tak, mówiłbym takie dziwne rzeczy.

— Nie musisz tu mieszkać, Jazonie — odezwał się Jakub. — Nikt nie powiedział, że Nazaret musi mieć swojego greckiego filozofa. Wybierz się do Aleksandrii, do Aten, do Rzymu albo do jednego z tych miejsc, do których zawsze uciekasz. Czy sądzisz, że potrzebne nam są twoje przemyślenia? Nigdy ich nie potrzebowaliśmy!

— Jakubie, uspokój się — łagodził Józef.

Rabbi zwrócił się do Józefa, jakby nie słyszał sprzeczki między Jazonem a Jakubem.

— Idź do nich, Józefie, a ty z nim, Jeszuo, bo zawsze umiesz znaleźć właściwe słowa. Jeszua potrafi wprowadzić spokój w serce każdego człowieka. Wyjaśnij Nahumowi, że jego syn sam był dzieckiem, a Sierota, biedny Sierota...

Już mieliśmy wyjść, kiedy Jazon wystąpił naprzód i spojrzał na mnie znacząco. Podniosłem głowę.

— Uważaj, Jeszuo, żeby ludzie nie mówili tego samego o tobie.

— Co ty wygadujesz?! — Rabbi podniósł się gwałtownie zza stołu.

— To bez znaczenia — odparł Józef spokojnym głosem. — Jazon w swoim smutku mówi więcej, niż wie.

— Co, może nie opowiadają takich rzeczy o nim? — odparł zaczepnie Jazon, spoglądając na niego, a potem na mnie. — Wiesz, jak cię nazywają, mój milczący i niezmienny w swym postępowaniu przyjacielu? Nazywają cię Jeszua Bezgrzesznym.

Roześmiałem się, odwróciwszy głowę, żeby nie wyglądało na to, że śmieję się z jego słów. W rzeczywistości jednak właśnie tak było. Jazon mówił dalej, ale go nie słuchałem. Zamiast tego obserwowałem jego dłonie. Miał piękne, gładkie ręce. I kiedy się zapalał i wygłaszał tyradę lub deklamował wiersz, co zdarzało mu się bardzo często, obserwowałem jego dłonie. Przypominały ptaki.

W tej chwili rabbi chwycił go za tunikę i pociągnął mocno ku sobie, jakby chciał wymierzyć mu policzek. Zaraz jednak opadł z powrotem na krzesło, a Jazon poczerwieniał na twarzy. Widać było, że własne słowa wprawiły go w ogromne zakłopotanie.

— No przecież tak mówią, prawda? — Jazon spoglądał na mnie. — Powiedz mi, Jeszuo, gdzie twoja żona, gdzie twoje dzieci?

— Nie będę tu stał i wysłuchiwał tego ani chwili dłużej — odezwał się nagle Jakub i pociągnął mnie za ramię w stronę wyjścia. — Nie będziesz w ten sposób mówił do mego brata!

— zwrócił się do Jazona. — Każdy dobrze wie, co cię gryzie. Myślisz, że jesteśmy głupi? Nie możesz tego znieść, prawda? Abigail ci odmówiła. Jej ojciec cię wyśmiał i wzgardził tobą!

Józef wypchnął Jakuba z izby.

— Dość, mój synu! Zawsze dajesz się sprowokować.

Kleofas tylko skinął milcząco głową.

Rabbi oparł głowę na łokciach i wbił wzrok w zwój.

Józef nachylił się nad nim i wyszeptał mu coś do ucha. Słyszałem tylko pocieszający ton, ale nie rozumiałem słów. Jazon tymczasem wpatrywał się w Jakuba, jakby był to jego najgorszy wróg, ten zaś nie pozostawał mu dłużny i też spoglądał na niego zaciętym wzrokiem.

— Mało ci nieszczęść w naszej wiosce? — Kleofas zwrócił się łagodnie do Jazona. — Dlaczego zawsze pozwalasz wodzić się za nos Szatanowi? Musisz teraz urządzać proces mojemu bratankowi Jezui, bo nie było procesu Jitry i Sieroty?

— Czasami myślę sobie — odrzekł niezbity z tropu Jazon — że urodziłem się po to, by głośno mówić to, czego inni boją się powiedzieć. Ostrzegam Jezue, to wszystko. — A potem dodał cicho: — Czyż krewniaczka nie czeka na jego decyzję?

— To nieprawda! — wykrzyknął z oburzeniem Jakub. — To chorobliwa zazdrość każe ci teraz mówić te słowa! Odmówiła ci, ponieważ jesteś szalony! A skoro kobieta nie chce poślubić takiego zapalczywca jak ty, dlaczego miałyby to robić?

Teraz wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego: Jazon, Jakub, Kleofas, a nawet Józef i stary rabbi.

Wyszedłem na uliczkę. Niebo było błękitne, a wokół było pusto. Nikt nie chciał wyjść z domu z powodu tego, co się stało. Oddaliłem się parę kroków, lecz wciąż słyszałem podniesione głosy.

— Idź, napisz list do twoich przyjaciół epikurejczyków w Rzymie — szydził Jakub. — Opowiedz im o skandalicznych rzeczach, które dzieją się tutaj, w tej zapyziałej wiosce, gdzie los kazał ci żyć. Może nawet ulóż satyrę!

Powiedziawszy to, opuścił dom rabiego. Jazon pospiesznie wybiegł za nim, odpychając Kleofasa i Józefa, którzy również wyszli z domu Jacimusa.

— Tylko tyle ci powiem — rzucił wściekle w stronę Jakuba — że jeśli napiszę coś wartościowego, jedynym człowiekiem w tej wiosce, który to zrozumie, będzie twój brat Jezua.

— Jazonie, Jazonie, uspokój się — wtrąciłem. — Po co to wszystko?

— Gdyby nie to, znalazłby jakiś inny powód — powiedział Jakub. — Nie odzywaj się do niego. Nawet na niego nie patrz. W takie dni zawsze wszczynają kłótnie. W końcu mamy zimą, podczas której nie spadła jeszcze ani kropla deszczu, a Poncjusz Piłat ma zamiar wnieść proporce do Świętego Miasta! Tymczasem Jazon chce mu stawić opór.

— Dla ciebie to takie niemożliwe? — zawołał Jazon. — Rzymskie wojenne proporce są śmieszne? A ja ci mówię, że właśnie w tej chwili Rzymianie maszerują w stronę Jerozolimy i jeśli będą chcieli, wniosą swoje proporce do Świątyni. Już do tego doszło.

— Przestańcie — uspokajał ich Józef. — O niczym takim nam nie wiadomo. Czekamy na wiadomości o Poncjuszu Piłacie tak samo niecierpliwie jak na deszcz. Zamilknijcie już, jeden i drugi.

— Wracaj do swego wuja — rzucił Jakub do Jazona. — Dlaczego idziesz za nami i nie dajesz nam spokoju? Nikt inny w Nazarecie prócz nas nie chce z tobą rozmawiać. Wracaj. Twój wuj cię teraz potrzebuje. Czy nie trzeba napisać paru stron, aby donieść o tych okropnych wydarzeniach komu trzeba? A może to kraj, w którym panuje bezprawie, ponieważ po wzgórzach i jaskiniach kryją się zbójce? A może boisz się, że wrzucimy ciała chłopców do jakiejś groty i nie będzie wiadomo, jak zginęli? Wracaj do swojej pracy.

W tej chwili Józef posłał Jakubowi surowe spojrzenie, tak że ten natychmiast zamilkł i ruszył przed siebie z pochyloną głową.

I my poszliśmy za nim, lecz Jazon nas nie odstępował.

— Posłuchaj, Jezuo, nie chciałem ci sprawić przykrości. — Poufałość, z jaką zwrócił się do mnie, znowu rozwścieczyła Jakuba, który się odwrócił, by wtrącić się do rozmowy, lecz Józef powstrzymał go wzrokiem.

— Naprawdę nie chciałem cię urazić — powtórzył Jazon. — To miejsce jest przeklęte. Deszcz nigdy nie spadnie. Pola wysychają. Rośliny w ogrodach więdną. Kwiaty już uschły.

— Jazonie, mój przyjacielu — odparłem. — Deszcz zawsze przychodzi, prędzej czy później.

— A co, jeśli nie zacznie padać? Co, jeśli zawory nieba zamknęły się z gniewu na nas i nie bez powodu? — Zapalał się coraz bardziej, więc podniosłem dłoń, aby mu przerwać.

— Będzie padać, tylko później, i wtedy porozmawiamy nad kubkiem wina. Teraz muszę już iść do Nahuma i jego rodziny.

Jazon zatrzymał się, a potem ruszył wolnym krokiem w stronę domu wuja. Na koniec zawołał:

— Jezuo, wybacz mi!

Krzyknął to tak głośno, by wszyscy usłyszeli.

— Wybaczam ci, Jazonie — odparłem.

## IV

Matka Jitry kazała całej rodzinie pakować dobytek w tobołki. Osły już stały, objuczone. Najmłodsze dzieci zwijały z brudnego klepiska pięknie tkany kobierzec, pewnie najcenniejszą rzecz, jaką posiadali.

Kiedy zobaczyła Józefa, podniosła się z kolan i wtuliła w jego ramiona. Jej ciałem wstrząsał szloch, ale oczy miała suche i jedynie trzymała się go kurczowo, jak tonący.

— Teraz najważniejsze, żebyście dotarli bezpiecznie do Judei — powiedział Józef. — Podróż dobrze ci zrobi, a kiedy zapadnie noc, dzieci będą już daleko od tego miejsca, spojrzeń i szeptów ludzi. Wiemy, gdzie leży Jitra. Zatrószyczymy się o niego.

Kobieta spoglądała przed siebie tępym wzrokiem, jakby zrozumienie słów Józefa przychodziło jej z ogromnym trudem.

A potem wszedł Nahum, podtrzymywany przez dwóch robotników, których najął do pracy. Widać było, że siłą przyprowadzili go do domu, i kiedy tylko przekroczył próg, usiadł na klepisku, oparł się o ścianę i spoglądał tępo przed siebie.

— Nie myśl o nich — zwrócił się do niego Józef. — Uciekli. Wiedzą, że źle zrobili. Zostaw ich miłosierdziu Nieba. Teraz idź do Judei i strząśnij nawet proch z tego miasteczka ze swoich sandałów.

Jeden z robotników, mężczyzna o łagodnym spojrzeniu, kiwnął potakująco głową i objął ramieniem Józefa i Nahuma.

— Szemajach kupi twoją ziemię i da ci za nią dobrą cenę — powiedział. — Sam bym to zrobił, gdybym miał pieniądze. Idź do Judei. Józef ma rację. Ci, którzy oskarżyli chłopców, już uciekli z wioski. Pewnie przyłączą się do band w górach. Tam najczęściej lądują takie szumowiny. Co możesz im teraz zrobić? Czy możesz zabić wszystkich mężczyzn w tej wiosce?

Matka Jitry przymknęła oczy i stała ze zwieszoną głową. Bałem się, że zaraz zemdleje, ale tak się nie stało. Józef wziął ich oboje w ramiona.

— Macie jeszcze te maluchy. Co się z nimi stanie, jeśli nie weźmiecie się w garść? Posłuchajcie. Powiem wam... powiem wam, że... — Głos mu się załamał, a oczy napełniły łzami. Nie potrafił znaleźć słów.

Podszedłem do nich i położyłem im dłonie na ramionach. Oboje spojrzeli na mnie jak przestraszone dzieci.

— Wiecie przecież, że nie było procesu — powiedziałem. — To znaczy, że nikt nie wie i nie będzie wiedział, co zrobili Jitra i Sierota ani jak to się stało, ani kiedy to się stało, ani czy w ogóle się stało. Nikt się tego nie dowie. Nikt nie wie. Nawet ci chłopcy, którzy ich oskarżyli. Tylko Niebo wie. I wam także nie wolno skazywać tych chłopców w swoim sercu. Nie możecie i nie powinniście tego robić. Powinniście opłakać Jitrę. A on na zawsze pozostanie niewinny. Musi tak być. Nie może być inaczej, nie po tej stronie Nieba.

Matka Jitry spojrzała na mnie i skinęła milcząco głową.

Nahum, z twarzą bez wyrazu, podniósł się z klepiska, wziął tobołki i niemrawym krokiem wyniósł je na zewnątrz, ku jucznym zwierzętom.

— Obyście dotarli bezpiecznie na miejsce — powiedział Józef. — A teraz powiedzcie mi jeszcze, czy nie potrzebujecie czegoś na drogę. Moi synowie i ja damy wam wszystko, czego wam trzeba.

— Zaczekajcie — powiedziała matka Jitry. Podeszła do skrzyni i otworzyła ją. Wyjęła z niej coś złożonego na pół, co wyglądało na wełnianą tunikę.



— Masz — powiedziała, podając mi to. — To dla Cichej Anny.

Cicha Anna była siostrą Sieroty.

— Zaopiekujecie się nią, prawda? — spytała.

Józefa wzruszył gest matki Jitry.

— Moje dziecko, moje biedne dziecko. Jakaś ty dobra! W takiej chwili jeszcze potrafisz myśleć o Cichej Annie! Oczywiście, że się nią zaopiekujemy! Będziemy się o nią cały czas troszczyć.

## V

Kiedy dotarliśmy do domu, zastaliśmy tam Cichą Annę i Abigail.

Dokądkolwiek szła Abigail, zawsze towarzyszyła jej Cicha Anna, a gdzie były obie, zawsze gromadziły się wokół nich dzieci, między nimi synowie Jakuba, Izaak i Szabi, oraz inni moi bratankowie i siostrzenice. Wszystkie Ignęły do Abigail, która śpiewała im piosenki, uczyła czytać fragmenty Pisma i recytowała wymyślone przez siebie rymowanki. Dziewczynki były szczęśliwe, kiedy pozwalała im pomagać sobie, gdy coś szyla i wyplatała, zawsze fascynował je jej koszyk, w którym przechowywała różne gałganki i koraliki. Cicha Anna, nazywana tak, ponieważ była głuchoniema, mieszkała z Abigail, chociaż czasami, kiedy ojciec Abigail czuł się bardzo źle i miał kłopoty z chorą nogą, przychodziła i spała u nas, razem z moimi ciotkami i moją matką.

Kiedy weszliśmy do izby, znajdowały się w niej tylko Abigail, Cicha Anna i kobiety. Dzieci odesłano na dwór, co było zrozumiałe. Cicha Anna podniosła się natychmiast w oczekiwaniu na wiadomości i spoglądała błagalnym wzrokiem na Józefa.

Abigail także wstała, gotowa w każdej chwili przyjść jej z pomocą. Jej oczy były czerwone od płaczu i wcale nie wyglądała jak nasza kochana Abigail, przypominała raczej dojrzałą kobietę, taką jak mama Jitry. Smutek całkowicie przeobraził jej twarz i teraz spoglądała na Cichą Annę z wyczekiwaniem.

Cicha Anna opisywała wszystko za pomocą gestów, które wszyscy znali. Ona i jej brat, Sierota, przywędrowali do nas, do Nazaretu, jako włóczędzy, nie wiadomo skąd, i od tej pory zamieszkała u nas, jej brat zaś pomieszkiwał u różnych ludzi. Wszyscy rozumieliśmy język jej znaków, a jej dłonie wydawały mi się równie piękne jak dłonie Jazona.

Nikt nie wiedział dokładnie, w jakim wieku jest Cicha Anna. Mogła mieć piętnaście lub szesnaście lat. Sierota był młodszy.

Stała teraz przed Józefem i nagle zaczęła gorączkowo gestykulować. Wszyscy widzieliśmy, że chodzi jej o brata. Gdzie jest jej brat? Co się stało z jej bratem? Nikt nie chciał jej powiedzieć. Rozglądała się po izbie, spoglądała w twarze zebranych tam kobiet. Co się stało z jej bratem?

Józef zaczął jej odpowiadać. Ale ledwie wykonał kilka gestów, do jego oczu napłynęły łzy i dłonie zawisły nieruchomo w powietrzu, niezdolne oddać to, co widział lub chciał widzieć.

Jakub nie wiedział, co robić. Kleofas zaczął mówić, ponieważ nie potrafił dobrze porozumiewać się z Anną za pomocą gestów.

Abigail milczała, stojąc nieruchomo.

Ująłem Annę za ramiona i odwróciłem ku sobie. Wykonałem gest oznaczający jej brata, a następnie wskazałem na swoje usta, ponieważ wiedziałem, że czasami udaje się jej czytać z warg. Wskazałem ku niebu, a potem wykonałem gest oznaczający modlitwę. Mówiłem wolno, wykonując przy tym różne znaki.

— Pan strzeże teraz twojego brata, który śpi w pokoju. Twój brat śpi w ziemi. Już go nie zobaczysz. — Wskazałem na jej oczy. Pochyliłem się ku niej i wskazałem na moje oczy, na oczy Józefa i na łzy na jego twarzy. Pokręciłem ze smutkiem głową. — Twój brat jest teraz z Panem. — Ucałowałem koniuszki palców i wskazałem ku górze.

Przez twarz Cichej Anny przemknął grymas bólu i odepchnęła mnie gwałtownie od siebie. Abigail objęła ją mocno ramieniem.

— Twój brat zmartwychwstanie w dniu ostatecznym — powiedziała do Anny, po czym także uniosła wzrok, a następnie wypuściła dziewczynę z objęć i zatoczyła dłonią szeroki krąg, jakby chcąc jej pokazać, że cały świat jest pod władzą Nieba.

Widać było, że Anna jest przerażona. Wtuliła głowę w ramiona, zakryła twarz dłońmi i spoglądała na nas przez palce.

Odezwałem się, znowu pomagając sobie gestami.

— Wszystko przebiegło bardzo szybko. Bardzo źle się stało. Było tak, jakby ktoś się nagle przewrócił, i koniec.

Pokazałem za pomocą gestów odpoczynek, sen, spokój. Wykonywałem te znaki powoli, najwolniej jak umiałem. Widziałem, jak jej twarz się zmienia.

— Jesteś naszym dzieckiem — powiedziałem. — Będziesz mieszkać z nami i z Abigail.

Przez długą chwilę nie reagowała, wreszcie pokazała rękoma:

— Gdzie położono mego brata?

Wskazałem na wzgórza w oddali i pokazałem, że wysoko, na zboczu. Wiedziała, że są tam jaskinie. Nie musiała wiedzieć, że jej brat zostanie pochowany w grocie przeznaczonej dla ukamienowanych.

Na jej twarzy pojawił się spokój, ale tylko na chwilę, ponieważ zaraz z przestachem w oczach zapytała:

— A gdzie Jitra?

— Rodzina Jitry się wyprowadziła — odparłem. Pokazałem gestami ojca, matkę i dzieci, jak wędrują przed siebie.

Spojrzała na mnie. Wiedziała, że to nie wszystko, że to nie cała prawda. I znowu spytała, gestykulując:

— Gdzie Jitra?

— Powiedz jej — odezwał się Józef.

Uczyniłem, jak kazał.

— W ziemi, razem z twoim bratem. Nie żyją.

Jej oczy rozszerzyły się i widać było, że jest wstrząśnięta tym, co usłyszała. Wówczas po raz pierwszy ujrzałem, jak w kącikach jej ust pojawił się gorzki uśmiech. A potem wydała jęk, przerażający, jaki może wydobyć z siebie tylko niemowa.

Jakub westchnął głęboko. Spoglądał na Kleofasa, a Kleofas na niego.

— Chodź, pójdziesz teraz ze mną do domu — powiedziała Abigail.

Ale to nie wystarczyło.

Józef wskazał szybko ku górze i znakami pokazał odpoczynek i sen pod osłoną Nieba.

— Pomóżcie mi — zwróciła się do nas Abigail, ponieważ Cicha Anna stała nieruchomo jak posąg.

Podeszły do nich moja matka i ciotki. Cicha Anna zaczęła się z wolna poddawać ich dłoniom. Poruszała się niczym w lunatycznym śnie i w końcu wyszły razem zbitą gromadką.

Ledwie uszły parę kroków, do naszych uszu dotarł przeraźliwy i świdrujący w uszach okropny dźwięk, niczym ryk zarzynanego wołu. To krzyczała Cicha Anna.

Nie zdążyłem do nich dobiec, kiedy wpadła w szal, wyrwała się kobietom, odepchnęła je, rozdawała na prawo i lewo kuksańce, kopala i cały czas krzyczała przeraźliwie, coraz głośniej, a krzyk odbijał się echem od ścian domów. Odrzuciła Abigail i pchnęła ją na ścianę, a wtedy Abigail, zgięta wpół, także wybuchnęła płaczem i jej ciałem zaczął wstrząsać szloch.

Szemajach, ojciec Abigail, otworzył drzwi, by ją wprowadzić do środka. Ale Abigail rzuciła się w stronę Anny, płacząc i błagając ją przez łzy:

— Proszę cię, chodź! Chodź ze mną! — szlochała.

Nagle Cicha Anna przestała płakać. Stała teraz nieruchomo i wpatrywała się tępym wzrokiem w Abigail. Ona tymczasem trzęsła się cała od płaczu. Wyrzuciła w górę ramiona i upadła na kolana.

Anna podbiegła do niej i podniosła ją z ziemi. Teraz to ona pocieszała Abigail.

Kobiety otoczyły kręgiem obie dziewczyny, gładziły je po włosach, po ramionach i dłoniach. Anna cały czas ocierała łzy z twarzy Abigail, jakby pragnęła otrzeć je raz na zawsze. Przytrzymała mocno twarz dziewczyny i tarła policzki zaciśniętą dłonią. Abigail tylko potrząsała głową, jakby potakując. Anna gładziła ją delikatnie po włosach i ramionach.

Szemajach stał w otwartych drzwiach, czekając na córkę, i wreszcie obie dziewczyny znalazły się w środku.

Wróciliśmy do naszego domu. W ciemnościach izby w piecu żarzyło się drewno, ktoś podał mi do ręki kubek z wodą i powiedział:

— Usiądź.

Widziałem, jak Józef zajął miejsce pod ścianą, podkurczył nogi pod siebie i opuścił głowę na pierś.

— Ojczy, nie pójdziesz dzisiaj z nami — powiedział Jakub. — Zostań lepiej w domu i opiekuj się dziećmi. One cię potrzebują.

Józef podniósł głowę. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, co Jakub do niego mówi. Nie doszło do sprzeczki między nimi, jak zawsze przy podobnych prośbach. Józef nie zaprotestował ani słowem, tylko skinął potakująco głową i przymknął oczy.

Jakub wyszedł na dziedziniec i klasnął, przynaglając chłopców do pośpiechu.

— Prawdziwą żalność i płacz mamy w sercu — powiedział. — A teraz musimy się spieszyć, bo już późno. Ci, którzy zostają, mają pozamiatać dziedziniec, jasne? Spójrzcie tu, tam i tutaj. — Wskazywał palcem zeschnięte liście leżące w każdym rogu i drzewo figowe, które wyglądało, jakby zupełnie uschło.

Kiedy znaleźliśmy się już na drodze do Seforis, wmieszani w zwyczajny, jak każdego dnia, tłum wozów i ludzi ciągnących do pracy, Jakub przyciągnął mnie ku sobie i nachyliwszy się do mnie, powiedział:

— Widziałeś, co się stało z ojcem? Widziałeś? Próbował coś powiedzieć, a zaraz potem...

— Jakubie, to, co się dzisiaj stało, to zbyt dużo dla każdego człowieka. Ale masz rację. Powinien zostać w domu.

— Ale jak go przekonać, że potrafię już sam sobie ze wszystkim poradzić? Popatrz na Kleofasa. Jak zawsze idzie z głową w chmurach i gada do siebie i do pól.

— On wie.

— Wszystko teraz na mojej głowie.

— Przecież tego chcesz — odparłem.

Kleofas był bratem mojej matki. Nie przypadało mu być głową rodziny. Synów Kleofasa nazywałem braćmi, a jego córkę, Małą Salome, siostrą. Zona Jakuba także była moją siostrą.

— To prawda — odparł Jakub zaskoczony moją odpowiedzią. — Rzeczywiście, tego chcę i wcale nie narzekam. Chcę, żeby wszystko było zrobione, jak trzeba.

Skinąłem głową i powiedziałem:

— Umiesz to zrobić.

Od tego dnia Józef już nigdy więcej nie poszedł z nami do pracy do Seforis.

## VI

Minęły dwa dni, nim mogłem uciec na chwilę do gaju oliwnego, mojego gaju.

Pracowaliśmy bez przerwy i późnym popołudniem mury były gotowe. Nie można było dalej nic robić, dopóki nie wyschnie tynk, a ponieważ do zmroku pozostała jeszcze godzina, mogłem się wymknąć, nie tłumacząc się nikomu, do miejsca, które najbardziej kochałem, tam, gdzie stare oliwki, oplatanie bluszczem, miały się dobrze i w czasie deszczu, i w porze suszy.

Mieszkańcy wioski unikali tego miejsca. Najstarsze drzewa nie rodziły już owoców, ich pnie były puste w środku, ale stały nadal, niczym ogromni, niezgrabni strażnicy, a z ich wnętrza wyrastały samosiejki. Leżały tam ogromne kamienie, to prawda, lecz już dawno temu przekonałem się, że nie były to ani resztki pogańskiego ołtarza, ani miejsce pochówku. Poza tym spoczywały pod grubą warstwą liści tworzących wygodne posłanie i można się tam było położyć równie wygodnie jak na miękkiej trawie między polami; było to na swój sposób urokliwe miejsce.

Wziąłem z sobą, dla wygody, zwój czystych płócien, by położyć je sobie pod głowę. Wpełzłem powoli między drzewa, położyłem się i zacząłem oddychać spokojnie i powoli.

Podziękowałem Panu za to miejsce, w którym mogłem się schronić.

Spojrzałem w górę, gdzie przez lekko poruszające się i tworzące gęstą siatkę gałęzie przenikały migocące plamki światła. Zimą zmierzch trwał bardzo krótko. Niebo było już bezbarwne, ale to mi nie przeszkadzało. Do domu dotarłbym stąd z zamkniętymi oczyma. Nie mogłem tu jednak zostać tak długo, jak chciałem. Gdybym nie wrócił, zaczęliby mnie szukać i martwić się o mnie, a tego przecież nie chciałem. Chciałem jedynie być sam.

Modliłem się. Próbowałem oczyścić umysł. Tu, w gaju, wszystko było pachnące i zdrowe. To było drogocenne miejsce. Nie było drugiego takiego dla mnie ani w Nazarecie, ani w Seforis, ani w Magdali, ani w Kanie, ani w żadnym innym mieście, w którym pracowaliśmy lub mieliśmy pracować.

A w naszym domu zajęta była każda izba.

Mały Kleofas, wnuk mojego wuja Alfeusza, ożenił się w zeszłym roku z kuzynką Miriam z Kafarnaum i zajęli ostatnią wolną izbę, a Miriam nosiła już w łonie dziecko.

Dlatego tylko tutaj mogłem być zupełnie sam. Chociaż przez chwilę. Całkiem sam.

Próbowałem zrzucić z siebie to, czym przesiąknąłem w wiosce; atmosferę oskarżeń, która zapanowała po ukamienowaniu. Nikt o tym głośno nie mówił, ale też nikt nie był w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Kto był przy ukamienowaniu? Kogo nie było? Czy dzieci, które rzuciły oskarżenie, na pewno uciekły do band kryjących się po wzgórzach? Czy nie trzeba pójść i wypędzić ich ogniem z grot i jaskiń?

Bo przecież bandy bezustannie napadały na wioski. Bardzo często tak właśnie się działo. Teraz, w czasie suszy, jedzenie było jeszcze droższe i dlatego dochodziły do nas pogłoski, że zbóje łupili doszczętnie mniejsze osady, kradnąc zwierzęta i bukłaki z winem i wodą. Nikt nie wiedział, czy i na uliczkach Nazaretu lada dzień nie pojawią się galopujący jeźdźcy porywający dobytek i zabijający ludzi.

O tym właśnie, o bandach napadających zimą na miasta, rozprawiano przede wszystkim w Seforis. Mówiono także wszędzie o Piłacie i jego żołnierzach maszerujących w stronę Jerozolimy z proporcami z imieniem cezara, proporcami, z którymi nikt nie ma prawa wejść do miasta. Przekroczenie bram naszego miasta z proporcami, na których wypisano imię cezara, było bluźnierstwem. Sprzeciwialiśmy się imieniu i wizerunkowi cezara, który uważał się za Boga.

Za cezara Augusta nigdy nie dochodziło do takich rzeczy. Nikt nie sądził, iż August wierzy w to, że jest bogiem. Akceptował swój boski kult, to prawda, i pozwalał wznosić świątynie na swą cześć. Jego następcą, Tyberiusz, też pewnie nie wierzył, że jest bogiem.

Jednak ludzi nie obchodziło, w co cesarz wierzy lub nie wierzy. Chodziło o to, że Rzymianie maszerowali z jego insygniami przez Judeę, to zaś nie podobało się nikomu i dlatego żołnierze króla cały czas dawali wyraz swemu oburzeniu i przed bramami pałacu, i w gospodach, i na rynku, wszędzie, gdzie się zjawili.

Sam król, Herod Antypas, nie przebywał w Seforis, lecz w Tyberiadzie, mieście, które kazał wybudować nad morzem i nazwał tak na cześć cezara. Nigdy nie pracowaliśmy w Tyberiadzie. Nad miastem ciążyła klątwa, gdyż zbudowano je na cmentarzu. A ponieważ ci robotnicy, którym to nie przeszkadzało, popłynęli tam tłumnie za pracą, było jej dla nas w Seforis nawet więcej, niżbyśmy chcieli.

Zawsze nam dobrze szło w Seforis. Czasami do swego pałacu przybywał król, a nawet jeśli nie, to i tak w mieście pełno było ludzi wysoko urodzonych, którzy paradowali po pałacowych komnatach, a ponieważ wciąż budowali i upiększali swoje wspaniałe domy, w Seforis cały czas trwała budowa.

Bogacze, tak jak wszyscy inni, niepokoił się z powodu działań Piłata. Gdy chodziło o insygnia cezara, które ktoś miałby wnieść do Świętego Miasta, Żydzi, bogaci czy biedni, byli przede wszystkim Żydami.

Nikt nie znał tego Poncjusza Piłata, ale każdy nim pogardzał.

A jeszcze rozniosła się po okolicy ta historia z ukamienowaniem i wszyscy patrzyli na nas, z Nazaretu, jak na jakiś motłoch, a przynajmniej tak się wydawało moim braciom i bratankom, kiedy ludzie posyłali im podejrzliwe spojrzenia lub sprzeczały się o to, ile mają zapłacić za postawienie murów, lub o to, czy kładziemy dość gęsty tynk.

Obawy związane z Poncjuszem Piłatem były słuszne. Był nowy i nie znał naszych obyczajów. Szeptano, że należał do stronnictwa Sejanusa, a nikt nie darzył sympatią Sejanusa, ponieważ wiele wskazywało na to, że rządził on światem w zastępstwie Tyberiusza, który schronił się na Capri. A kimże był Sejanus, mówili ludzie, jeśli nie przebiegłym i mściwym żołdakiem, dowódcą gwardii pretoriańskiej?

Nie chciałem myśleć o tych wszystkich rzeczach. Nie chciałem myśleć o cierpieniu Cichej Anny, kiedy wychodziła z naszego domu, uczepiona kurczowo ramienia Abigail. Nie chciałem myśleć o smutku w oczach Abigail, kiedy spoglądała na mnie, a w jej oczach dostrzegałem tę mroczną świadomość, która tłumiała jej dotychczas bez troski śmiech i powodowała, że nie śpiewała już teraz tak często jak kiedyś.

Trudno mi było jednak pozbyć się tych myśli. Dlaczego przyszedłem do gaju? Co miałem nadzieję tu znaleźć?

Na krótką chwilę zapadłem w sen. *Abigail, czyż nie wiesz, że to miejsce to Eden ? Nie jest dobrze, żeby mężczyzna był sam!*

Przebudziłem się nagle w ciemnościach, zaplątany w płótna, i ruszyłem do domu.

Daleko w dole ujrzałem migotliwe pochodnie Nazaretu. Zawsze zimą paliły się pochodnie. Trzeba było pracować dłużej i potrzebne było światło lampy, kaganka lub pochodni. Był to dla mnie piękny widok.

Noc była bezchmurna, nie świecił księżyc i niebo nade mną było wspaniałe czarne z niezliczonymi gwiazdami.

— Któż może pojąć Twą dobroć, Panie? — wyszeptałem. — Oto z ognia uczyniłaś tysiące lamp, którymi ozdobiłaś niebo.

Ogarnął mnie ogromny spokój. Ustąpił ból w ramionach. Wiał chłodny, a zarazem orzeźwiający wiatr. Czułem, jak w moim wnętrzu rozrywają się jakieś pęta. Już dawno nie doświadczałem takiej chwili, kiedy zniknęło ciasne więzienie mojego ciała. Miałem wrażenie, jakbym płynął w górę i wypływał na zewnątrz siebie, jakby całą noc wypełniały miriady istnień, a rytm ich pieśni tłumił niespokojne bicie mego serca. Opadła ze mnie skorupa ciała. Przebywałem teraz wśród gwiazd. Lecz moja ludzka dusza nie chciała mnie wypuścić. Sięgnąłem więc po ludzki język i powiedziałem:

— Nie, wypełnię moją misję.

Stałem pod wrotami Nieba, czując pod stopami suchą trawę. Byłem taki mały. Czułem się zmęczony i odizolowany od wszystkich.

— Panie? — powiedziałem głośno do delikatnego wiatru. — Jak długo?

## VII

Na dziedzińcu płonęły dwie latarnie, rozweselając ciemność. Cieszyłem się z tego widoku, ucieszyłem się, że widzę mojego bratanka Małego Kleofasa i jego ojca Sylasa przycinających deski. Wiedziałem, co robią i że praca ma być skończona na jutro.

— Widać, że jesteście zmęczeni — zwróciłem się do nich. — Dajcie, skończę to za was.

— Dlaczego masz to robić sam? — zaproponował Sylas. — Znacząco wskazał głową w stronę domu. — Musi być gotowe na dzisiaj wieczór.

— Będzie gotowe do wieczora — powiedziałem. — Chętnie to zrobię. Chcę pobyć trochę sam i mieć coś do roboty. A na ciebie, Sylasie, czeka żona. Właśnie ją widziałem na progu domu. No dalej, idź do niej.

Sylas skinął głową i ruszył uliczką pod górę. Razem z żoną mieszkał w domu naszego kuzyna Lewiego, swojego szwagra. Za to syn Sylasa, Mały Kleofas, mieszkał z nami.

Mały Kleofas uściśnął mnie w podziękę i wszedł do domu.

Latarnie dawały wystarczająco dużo światła, co było ważne, ponieważ trzeba było nakreślić idealnie równe li — nie. Robiłem to glinianą skorupą. Trzeba było zrobić siedem linii.

W pewnej chwili na dziedzińcu zjawił się Jazon. Jego cień zawisł nade mną. Czuć było od niego winem.

— Unikasz mnie ostatnio, Jeszuo — powiedział.

— Bzdura, przyjacielu — odparłem ze śmiechem, nie przerywając pracy. — Po prostu mam pilną robotę. Nie widywałem cię. Gdzie byłeś?

Jazon zaczął przemierzać wolnymi krokami dziedziniec tam i z powrotem. Jego cień przesuwiał się po kamieniach. W rękę trzymał kubek z winem i słyszałem, jak pociąga kolejny łyk.

— Wiesz, gdzie byłem — odparł. — Ileż to razy wdrapywałeś się na wzgórze, siadałeś obok mnie i nalegałeś, żebym ci coś przeczytał? Ile razy przekazywałem ci wieści z Rzymu, a ty chłonałeś łapczywie każde słowo?

— To było latem, Jazonie, kiedy dni są dłuższe — odparłem łagodnym głosem i starannie nakreśliłem długą i prostą linię.

— Jeszua. Jeszua Bezgrzeszny. Wiesz, czemu tak cię nazywają? — spytał natarczywie. — Bo wszyscy cię kochają, a nikt nie chce kochać mnie.

— To nieprawda, Jazonie. Ja cię kocham. Twój wuj cię kocha. Prawie wszyscy cię kochają. Nietrudno cię kochać. Jedynie czasami trudno cię zrozumieć.

Przesunąłem deskę i położyłem obok następną.

— Dlaczego Pan nie zsyła deszczu? — spytał.

— A dlaczego mnie o to pytasz? — odparłem, nie podnosząc głowy.

— Jeszuo, jest wiele rzeczy, o których ci nie mówiłem, rzeczy, które, jak sądziłem, nie są warte powtarzania.

— Może nie są...

— Nie, nie chodzi mi o głupie plotki w tej wiosce. Mówię o innych rzeczach, o dawnych opowieściach.

Westchnąłem ciężko i ukucnąłem. Spoglądałem przed siebie, próbując nie zwracać uwagi na Jazona drepczącego po dziedzińcach w migocącym blasku pochodni. Na nogach miał piękne, kunsztownie wykonane sandały, ozdobione złotymi guzami. Chodził przede mną tam i z powrotem, niczym niespokojne zwierzę, a frędzle jego płaszczka muskały mi twarz.



— Wiesz, że byłem przez jakiś czas z esseńczykami — powiedział. — Wiesz, że chciałem nawet przyłączyć się do nich na zawsze.

— Mówiłeś mi kiedyś.

— Wiesz, że kiedy byłem z nimi, poznałem twojego kuzyna Jana bar Zachariasza — mówił dalej, pociągając kolejny łyk wina.

Przymierzałem się do zaznaczenia kolejnej linii na desce.

— Mówiłeś mi to już wiele razy, Jazonie. Nie masz czasem jakichś wiadomości od twoich przyjaciół, esseńczyków? Gdybyś wiedział coś na temat Jana, pewnie byś mi powiedział, prawda?

— Twój kuzyn Jan przebywa gdzieś na pustkowiu, przynajmniej tyle wiadomo, i żywi się tym, co łączy lub upoluje. W tym roku jeszcze nikt go nie widział. W zeszłym roku też nikt go nie spotkał osobiście. Zawsze jest tak, że ktoś mówi, że ktoś mu powiedział, że jeszcze ktoś inny mu powiedział, że widział Jana.

Zacząłem zaznaczać kolejną linię.

— Musisz wiedzieć, Jeszuo, że nigdy nie powiedziałem ci wszystkiego, co twój kuzyn opowiadał mi o tobie, kiedy przebywaliśmy razem u esseńczyków.

— Masz zbyt wiele spraw na głowie, Jazonie. Wątpię, czy mój kuzyn Jan miał z tym wiele wspólnego, a nawet czy miał z tym cokolwiek wspólnego. — Próbowałem wyrysować linię, ale wyszła mi krzywo. Wziąłem szmatkę, zwinąłem ją i wymazałem to, co zaznaczyłem. Ślad był za głęboki, ale nie tak krzywy, jak mi się zdawało.

— Nieprawda, twój kuzyn Jan ma z tym bardzo wiele wspólnego — powiedział Jazon, stając naprzeciwko mnie.

— Przesuń się w lewo. Zasłaniasz mi światło.

Sięgnął po latarnię, zdjął ją z haka i postawił mi przed nosem.

Przerwałem pracę i znowu usiadłem w kucki, ale nie widziałem jego twarzy, ponieważ oślepiła mnie światło latarni.

— Dobrze, Jazonie, co takiego chcesz mi opowiedzieć o moim kuzynie?

— Wiesz, że lubię poezję, prawda?

— Nie wątpię. — Wytarłem do końca zaznaczoną linię. Drewno nabrało lekkiego połysku.

— To dlatego właśnie nie daję ci spokoju — ciągnął Jazon. — Chodzi o słowa, które powierzył mi Jan, o litanie, które nosił w swoim sercu. Dotyczące ciebie. Były to słowa jego matki i powtarzał je każdego dnia, tak samo jak recytował *Szema Izrael* z całym Izraelem, słowa te stały się jego prywatną modlitwą. Wiesz, jakie to słowa?

Zastanowiłem się przez chwilę.

— Chyba nie — odparłem.

— W takim razie ja ci powiem.

— Zdaje mi się, że od samego początku do tego zmierzałeś.

Przykucnął przy mnie. Z naoliwionymi włosami, z twarzą, w której błyszczały duże oczy, wyglądał bardzo pięknie.

— Przed narodzinami Jana twoja matka odwiedziła jego matkę. Była wówczas w pobliżu Betanii i mąż Elżbiety, Zachariasz, jeszcze żył. Zabili go dopiero potem, gdy Jan przyszedł na świat.

— Zgadza się, tak było — potwierdziłem. Zabrałem się jeszcze raz do wytyczania linii, tym razem starając się zrobić to porządnie. Wbiłem kawałek glinianej skorupy w miękkie drewno.

— Twoja matka powiedziała matce Jana, że przyszedł do niej anioł — kontynuował Jazon, nachylając się ku mnie i zniżając głos.

— Każdy w Nazarecie zna tę historię, Jazonie — powiedziałem, nie przerywając rysowania linii.

— Tak, ale twoja matka — ciągnął Jazon — stanęła, objęła Elżbietę i twoja cicha matka, która tak rzadko się odzywa i zawsze mówi tak niewiele, wtedy, w tamtej chwili, wyśpiewała wspaniały hymn. Spojrzała w dal, ku wzgórzom, gdzie pochowany jest prorok Samuel, i ze słów Anny sprzed wieków ułożyła własną pieśń.

Przerwałem pracę. Podniosłem powoli głowę i spojrzałem na Jazona.

Jego głos stał się teraz poważny. Mówił powoli, a jego twarz była szczerą i promieniowała dobrocią.

— Wielbi dusza moja Pana,  
i raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy.  
Bo wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej.  
Oto bowiem błogosławić mnie będą odtąd wszystkie pokolenia,  
gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny.  
Święte jest Jego imię —  
a swoje miłosierdzie na pokolenia i pokolenia tych, co się Go boją.  
On przejawia moc ramienia swego,  
rozprasza pyszniących się zamysłami serc swoich,  
Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych.  
Głodnych nasycy dobrami, a bogatych z niczym odprawia.  
Ujął się za sługą swoim, Izraelem,  
pomny na miłosierdzie swoje —  
jak przyobiecał naszym ojcom...

Jazon przerwał. Spoglądaliśmy na siebie w milczeniu.

— Znasz tę modlitwę? Nie odpowiedziałem.

— W takim razie — dodał smutnym głosem — powiem ci jeszcze jedną. Tę, którą wyrecytował Zachariasz, ojciec Jana i kapłan, kiedy twojemu kuzynowi nadano to właśnie imię:

— Niech będzie uwielbiony Pan, Bóg Izraela,  
że nawiedził lud swój i wyzwolił go,  
i moc zbawczą nam wzbudził  
w domu sługi swego, Dawida:  
jak zapowiedział to z dawien dawna  
przez usta swych świętych proroków...

Jazon znowu przerwał i spoglądał przez chwilę w ziemię, jakby próbując sobie przypomnieć pozostałe słowa. Po czym odchrząknął nerwowo i mówił dalej:

— ...że nas wybawi od nieprzyjaciół  
i z ręki wszystkich, którzy nas nienawidzą...  
A i ty dziecię — mówi to o Janie, pamiętaj! —  
prorokiem Najwyższego zwać się będziesz,  
bo pójdziesz przed Panem, torując Mu drogi...

Umilkł, nie będąc w stanie mówić dalej.

— I po co to wszystko? — rzucił wreszcie z goryczą, podnosząc się i odwracając ode mnie.  
A ja dokończyłem za niego:

— Jego ludowi dasz poznać zbawienie  
przez odpuszczenie mu grzechów,  
dzięki litości serdecznej Boga naszego.

Jazon wpatrywał się we mnie zdumiony, podczas gdy ja recytowałem dalej:

— Przez nią z wysoka Wschodzące Słońce nas nawiedzi, by zajaśnieć tym, co w mroku i cieniu śmierci mieszkają, aby nasze kroki zwrócić na drogę pokoju... Cofnął się z pobladłą twarzą.

— Na drogę pokoju, Jazonie — powtórzyłem. — Na drogę pokoju...

— Ale gdzie on teraz jest?! Gdzie jest teraz twój kuzyn Jan?! Gdzie jest ten, który ma być prorokiem?! Żołnierze Poncjusza Piłata dotrą dzisiaj pod mury Jerozolimy! Takie wieści przesłano nam o zmięczeniu za pomocą ognisk. Co zrobisz?

Skrzyżowałem ramiona na piersi i przypatrywałem mu się bez słowa, jego wściekłości i rozgorączkowaniu. Dopił resztkę wina i postawił na ławie kubek, który spadł i potłukł się. Spoglądałem na gliniane skorupy, ale Jazon ich nawet nie zauważył. Nie był świadomy tego, że kubek się potłukł.

Przysunął się do mnie jeszcze bliżej i przykucnął, a jego twarz była teraz doskonale widoczna w blasku lampy.

— Czy ty sam wierzysz w te historie? — zapytał. — Odpowiedz mi, odpowiedz, zanim oszaleję!

Milczałem.

— Jeszuo! — W jego głosie było słycać błaganie.

— Tak, wierzę — powiedziałem wreszcie. Wpatrywał się we mnie wyczekująco przez chwilę, która zdawała się wiecznością, ale ja siedziałem ciągle bez ruchu.

Objął dłońmi głowę.

— Nie, nie powinienem był ci tego wszystkiego mówić! Obiecałem Janowi, że nigdy ci tego nie zdradzę. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Myślałem, myślałem, że...

— Mamy teraz trudny czas — powiedziałem. — Jitra i Sierota nie żyją. Nie spadła ani kropla deszczu. Każdy dzień przynosi nam utrudzenie i łamie nam serca.

Jazon spojrział na mnie. Tak bardzo chciał zrozumieć.

— I wszyscy czekamy na miłosierdzie Pana — ciągnąłem. — Czekamy na czas, który wyznaczył Pan.

— Nie boisz się, że to wszystko kłamstwa? Jeszuo, nie boisz się, że wszystko to jedno wielkie kłamstwo?

— Znasz te same opowieści co ja.

— Nie boisz się tego, co ma się wydarzyć w Judei? — spytał.

Pokręciłem przecząco głową.

— Kocham cię, Jeszuo.

— I ja także cię kocham, mój bracie.

— Nie, ty mnie nie kochaj. Twój kuzyn nigdy by mi nie wybaczył, gdyby się dowiedział, że zdradziłem ci te tajemnice.

— A kim jest mój kuzyn Jan, by miał całe życie zachowywać je dla siebie i nie powierzyć ich swemu przyjacielowi?

— Złemu przyjacielowi, przyjacielowi, który nigdy nie umie usiedzieć spokojnie na miejscu.

— Przyjacielowi, którzy bierze sobie zbyt dużo spraw na głowę — powiedziałem. — U esseńczyków byłeś chyba największym gadułą.

— Gadułą? — Roześmiał się. — Wyrzucili mnie!

— Wiem — odparłem i także się roześmiałem. Jazon uwielbiał opowiadać wszystkim, jak esseńczycy prosili, by od nich odszedł. To była zazwyczaj pierwsza rzecz, jaką opowiadał każdemu nowemu znajomemu.

Wzięłem do ręki skorupę i zacząłem znowu rysować linię, trzymając równo miarę. Prosta i równą linię.

— Ale nie poprosisz Abigail o rękę, prawda? — spytał.

— Nie — odparłem, sięgając po następną deskę. — Nigdy się nie ożenię. — Zacząłem wytyczać linię.

— Jakub, twój brat, mówi co innego.

— Jazonie, przestań — poprosiłem łagodnie. — To, co mówi Jakub, to sprawa między nim a mną.

— Mówi, że poślubisz Abigail, właśnie ją, i że dopilnuje, żeby tak się stało. Mówi, że jej ojciec zgodzi się na ciebie. Twierdzi też, że dla Szemajacha pieniądze nie mają znaczenia. Mówi, że jesteś człowiekiem, którego jej ojciec nigdy...

— Przestań! — przerwałem mu i podniosłem głowę. Pochylał się nade mną tak, jakby mi groził. — Co to wszystko ma znaczyć? — zapytałem. — O co ci naprawdę chodzi? Dlaczego nie dasz sobie z tym spokoju?

Teraz Jazon przysiadł na piętach, tak jak ja, i siedzieliśmy tak naprzeciw siebie, spoglądając sobie prosto w oczy. Siedział przez chwilę zamyślony i zboląły, wreszcie przemówił ochryłym głosem:

— Wiesz, co Szemajach powiedział o mnie, kiedy wuj poszedł prosić w moim imieniu o rękę Abigail? Czy wiesz, co ten staruch powiedział wujowi, chociaż dobrze wiedział, że jestem tuż obok, za kotarą, i słyszę każde słowo?

— Jazonie, przestań — powiedziałem łagodnym głosem.

— Powiedział, że na miłą wyczuwa takich jak ja. Sztydził ze mnie. Nazwał mnie greckim słowem, takim samym, jakiego używali ludzie, kiedy mówili o Jitrze i Sierocie.

— Jazonie, czy ty nic nie rozumiesz? — przerwałem mu. — Szemajach jest zgorzkniały. Kiedy zmarła matka Abigail, on także zmarł razem z nią. Tylko Abigail trzyma go przy życiu. Tylko ona sprawia, że Szemajach jeszcze oddycha, chodzi, rozmawia z ludźmi i może narzekać na chorą nogę.

Ale Jazon był pogrążony w myślach i w ogóle mnie nie słuchał.

— Wuj udał, że go nie rozumiał, tego szubrawca. Mój wuj, dobrze o tym wiesz, jest mistrzem w zachowywaniu pozorów. Udał, że nie dotknęła go ta zniewaga. Po prostu wstał i powiedział: „W takim razie może zastanowisz się jeszcze nad tym...” I nigdy nie wyznał mi, że Szemajach powiedział o mnie, że...

— Posłuchaj, Jazonie. Szemajach nie chce stracić córki. Jest dla niego wszystkim. Szemajach to najbogatszy gospodarz w Nazarecie, a zarazem niewiele się różni od żebraka. Bo ma jedynie Abigail i wie, że prędzej czy później będzie musiał ją komuś oddać, i dlatego się boi. A ty przychodzisz, w pięknej, lnianej szacie, z ufryzowanymi włosami, z pierścieniami na palcach, z twoim darem wysławiania się po grecku i po łacinie, i on się ciebie po prostu boi. Wybacz mu, Jazonie. Wybacz mu, przez wzgląd na własne serce.

Podniósł się i znowu zaczął nerwowo przemierzać dziedziniec.

— Przecież ty wcale nie rozumiesz, co do ciebie mówię!

Czy nie rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? Mam wrażenie, że w jednej chwili wszystko pojmujesz, a w następnej wydaje mi się, że jesteś kompletnym głupcem!

— Jazonie, ty się tutaj dusisz. Każdego dnia i każdej nocy zmagasz się z demonami. I w tym, co czytasz, i w tym, o czym rozmyślasz, i pewnie nawet w snach. Idź do Jerozolimy. Tam są ludzie, którzy chcą rozprawić o świecie, tak jak ty. Wróć do Aleksandrii lub na Rodos. Przecież na Rodosie byłeś szczęśliwy. To było dla ciebie doskonałe miejsce, pełne filozofów. A może twoim domem jest Rzym?

— Dlaczego mam pójść do któregoś z tych miejsc, hę? — spytał z goryczą w głosie. — Dlatego że Szemajach ma rację?

— Wcale tak nie myślę.

— Coś ci powiem. Nic nie wiesz ani o Rodosie, ani o Rzymie, ani o Atenach. Nic nie wiesz o świecie. A nadchodzi czas, kiedy każdy będzie miał dosyć znakomitego towarzystwa, kiedy będzie zmęczony przesiadywaniem i dysputami w gospodach, i szkołami filozofów, i ucztowaniem. Kiedy będzie chciał wrócić do domu i spacerować pod drzewami, które zasadził jego dziad. Być może w głębi serca nie jestem esseńczykiem, tylko po prostu człowiekiem.

— Wiem.

— Nic nie wiesz.

— Szkoda, że nie mogę dać ci tego, czego tak bardzo potrzebujesz.

— A co to takiego, skoro mówisz tak, jakbyś wiedział?

— Serdeczny uścisk — odparłem i wzruszyłem ramionami. — Odrobina dobroci, to wszystko. Szkoda, że nie mogę ci tego dać w tej chwili.

Widziałem zdumienie na jego twarzy. Słowa kłębiły się w jego umyśle, ale nic nie mówił. Odwracał się to w jedną, to w drugą stronę, wreszcie znowu spojrzał na mnie.

— W takim razie lepiej tego nie rób — wyszeptał, patrząc na mnie tak, jakby chciał mnie przewiercić wzrokiem. — Gdybyś to zrobił, ukamienowaliby nas tak samo jak tych chłopców. — Cofnął się na skraj dziedzińca.

— Podczas zimy takiej jak ta — odparłem — to całkiem możliwe.

— Jesteś prostakiem i głupcem.

— Znasz Pismo lepiej niż twój wuj, prawda? — Widziałem teraz jego niewyraźnie zarysowaną sylwetkę, a w jego oczach migotało światło pochodni.

— Co to wszystko ma wspólnego z tobą, ze mną lub z tym, o czym rozmawiamy? — rzucił zniecierpliwiony.

— Pomyśl tylko. „Bądź dobry dla obcego w twojej ziemi, bo i wy kiedyś byliście obcy w ziemi egipskiej”. — Wzruszyłem ramionami. — „Wiecie, co to znaczy być obcymi...” Powiedz mi w takim razie, jak mamy traktować obcego w nas samych?

Drzwi domu otworzyły się i Jazon cofnął się raptownie, przerażony.

Ale to był tylko Jakub.

— Co się dzisiaj z tobą dzieje? — spytał Jazon stanowczym głosem. — Dlaczego chodzisz po Nazarecie w twoim najlepszym stroju? Co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś postradał zmysły.

Serce zamarło mi w piersiach. Jazon parsknął z pogardą.

— Nic takiego, co mógłby pojąć cieśla — odparł. — Tylko tyle mogę ci powiedzieć. — Po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w górę uliczką.

Jakub prychnął drwiąco.

— Dlaczego mu na to pozwalasz? Dlaczego pozwalasz mu przychodzić tu na dziedziniec i zachowywać się tak, jakby to była agora?

Wróciłem do pracy.

— Darzysz go większą sympatią, niż to teraz okazujesz — stwierdziłem.

— Chcę z tobą porozmawiać — zwrócił się do mnie Jakub.

— Wybacz, ale nie teraz. Muszę zaznaczyć te linie. Obiecałem Syłasowi i Małemu Kleofasowi, że to zrobię, więc muszę skończyć.

— Wiem dobrze, co zrobiłeś. Wydaje ci się, że jesteś głową tej rodziny?

— Ależ wcale nie, Jakubie — odparłem, nie przerywając pracy.

— Ale ja chcę z tobą porozmawiać właśnie teraz — mówił dalej Jakub. — Teraz, kiedy kobiety są już cicho i dzieci nam nie przeszkadzają, możemy porozmawiać na osobności.

Mówiąc to, chodził tam i z powrotem. Ułożyłem deski obok siebie. Na wszystkich wytyczone były równe, porządne linie.

— Jakubie, całe miasteczko już śpi. Ja też jestem senny. Chcę się położyć.

Zaznaczyłem skorupą kolejną linię, najstaranniej jak umiałem. Dobrze. Sięgnąłem po ostatnią deskę. Zanim wziąłem do ręki skorupę, roztarłem dłonie. Dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że palce mam zgrabiące z zimna.

— Jeszuo — zaczął Jakub półgłosem. — Nadszedł już czas i nie możesz dłużej przed tym uciekać. Ożenisz się. Nie ma powodu, żebyś to bez końca odwlekał.

Spojrzałem na niego.

— Nie wiem, do czego zmierzasz.

— Jak to nie wiesz? A poza tym, w którym prorocztwie jest napisane, że się nie ożenisz? — W jego głosie słychać było teraz surowość. Wypowiadał słowa wolno i z rozmysłem. — Kto i kiedy powiedział, że nie powinieneś wziąć sobie żony?

Spuściłem głowę, powoli i ostrożnie, żeby nie miał wrażenia, że w jakiś sposób podważam jego autorytet.

Dokończyłem rysowanie ostatniej linii. Przyjrzałem się deskom. Wreszcie powoli podniosłem się z klęczek. Czułem dokuczliwy ból w kolanach i rozmasowałem je.

Jakub stał z założonymi rękoma i widać było, że trawi go zimny gniew, całkiem różny od zapalczowości Jazona. Wydawało mi się, że jest nawet bardziej rozżłoszczony moją postawą niż Jazon, lecz starałem się nie zwracać na to uwagi.

— Posłuchaj, Jakubie, ja nigdy się nie ożenię — powiedziałem wolno. — Najwyższy czas z tym skończyć. Skończyć raz na zawsze. Wiem, że cała ta sytuacja cię dręczy, ale tylko ciebie.

Wyciągnął rękę w moją stronę, tak jak to miał w zwyczaju, położył na moim ramieniu i ścisnął bardzo mocno. Nie postąpił przy tym ani kroku.

— Nie tylko mnie dręczy ta sytuacja — wycedził. — Nadużywasz mojej cierpliwości.

— Wcale nie mam takiego zamiaru. Jestem po prostu zmęczony.

— Zmęczony? Ty? — Zapłonął gniewem. W jego oczach odbijało się światło latarni. — Mężczyźni i kobiety mieszka — jacy w tym domu zebrali się i wszyscy postanowili, że nadszedł czas, abyś się ożenił, a ja ci powiadam, że to zrobisz.

— Postanowili wszyscy z wyjątkiem twojego ojca. Nie powiesz mi chyba, że twój ojciec też tak uważa? Ani moja matka, bo wiem, że nigdy by tak nie postanowiła. A jeśli wszyscy się zebrali, to tylko dlatego, że ty ich zwołałeś. A teraz posłuchaj, Jakubie, jestem bardzo zmęczony i chcę się położyć. Naprawdę jestem zmęczony.

Wycofałem się najwolniej, jak umiałem, wziąłem do ręki latarnię i poszedłem do stajni. Zwierzęta były oporzędzone, a stajnia czysta i pozamiatana. Powrozy i rzemienie wisiały na swoich miejscach. Było tu ciepło od oddechów zwierząt. Lubiłem przebywać w stajni. Postąpiłem tam chwilę, by się ogrzać.

Potem wróciłem na dziedziniec. Jakub zgasił właśnie drugą latarnię i stał w ciemnościach, czekając na mnie, a następnie ruszył za mną do domu.

Wszyscy już spali. Józef pozostał przy piecu i także spał. We śnie jego twarz wyglądała młodo, jakby w ogóle nie miał zmarszczek. Kochałem twarze starych mężczyzn. Kochałem ich czystą, jakby nawoskowaną cerę i rysujące się pod skórą kości. Kochałem błyszczące oczy pod powiekami.

Kiedy siedziałem przy piecyku, rozcierając zgrabiałe dłonie, do izby weszła matka i stanęła obok Jakuba.

— Matko, tylko nie mów tego, co Jakub.

Jakub zaś chodził nerwowo po izbie, jak to miał w zwyczaju.

— Uparty pyszałek — mruknął pod nosem.

— Nie, nie przychodzę, żeby poprzeć Jakuba, mój synu, ale muszę ci coś powiedzieć.

— W takim razie powiedz. — Czułem, jak ciepło rozplywa się po moich zeszywniałych z zimna palcach. Przyjemny był żar ognia.

— Jakubie, czy mógłbyś zostawić nas na chwilę samych?

Mój brat zawahał się, wreszcie skinął z szacunkiem głową, niemal się kłaniając, a następnie wyszedł z izby. Tylko do mojej matki odnosił się z taką łagodnością. Żonę często doprowadzał do granic wytrzymałości swą apodyktycznością.

Matka usiadła obok mnie.

— Dziwna rzecz — zaczęła. — Dobrze znasz naszą Abigail, dobrze wiesz, jakie jest nasze miasteczko, i wiesz, że krewniacy przychodzą prosić o jej rękę z Seforis, a nawet z Jerozolimy.

Milczałem. Poczułem nagle straszliwy ból. Próbowałem zlokalizować jego źródło. Ból pochodził z brzucha, z piersi, z głębi czaszki. Przeszywał moje serce.

— Jeszuo — szepnęła wreszcie matka po długiej chwili. — Ta dziewczyna sama poprosiła o to, byś został jej mężem.

Ból dokuczał mi coraz bardziej.

— Ta dziewczyna jest zbyt skromna i cicha, by przyjść z tym bezpośrednio do mnie — kontynuowała półgłosem matka. — Ale mówiła starej Brurii i Esterze, i Salome. Rozmawiała z Małą Salome. Wydaje mi się, Jeszuo, że jej ojciec by się zgodził.

Ból zdawał się nie do zniesienia. Wpatrywałem się w ogień. Nie chciałem patrzeć na matkę. Nie chciałem, żeby dostrzegła mój ból.

— Synu, znam cię tak jak nikt inny na świecie — dodała. — Kiedy Abigail jest przy tobie, mało nie mdlejesz z miłości.

Nie umiałem jej odpowiedzieć. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Nie potrafiłem zapanować nad tym, co się działo w moim sercu. Siedziałem nieruchomo. Po chwili zacząłem mówić spokojnie i wyraźnie:

— Matko — zacząłem. — Ta miłość będzie mi towarzyszyć, dokądkolwiek pójde, ale Abigail nie pójdzie ze mną. Żadna kobieta nie pójdzie ze mną. Nie będzie żadnej żony ani dzieci. Nigdy nie musieliśmy o tym rozmawiać, matko. Ale skoro rozmawiamy w tej chwili, musisz wiedzieć, że nie zmienię zdania.

Skinęła głową, tak jak się spodziewałem. Pocałowała mnie w policzek. Wyciągnąłem rękę do ognia, a ona ujęła moją prawą dłoń i zaczęła ją rozcierać swą drobną, ciepłą dłonią.

Myślałem, że za chwilę serce przestanie mi bić w piersiach.

Wreszcie matka puściła moją dłoń.

*Abigail. To gorsze niż moje sny. Nie ma żadnych obrazów, które musiałbym porzucić. Tylko to, co wiedziałem o tobie, Abigail. To więcej, niż człowiek może znieść.*

Zwróciłem się ponownie do matki, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie i beztrąsko:

— Matko, czy Jazon naprawdę jest dla niej nie do przyjęcia?

— Jazon?

— Kiedy prosił o jej rękę, czy naprawdę nie znalazł uznania w jej oczach? Wiesz coś o tym, matko?

Zastanawiała się przez długą chwilę.

— Wydaje mi się, mój synu, że Abigail nawet nie wiedziała, że Jazon starał się o jej rękę. Co prawda wszyscy wiedzieli, ale Abigail tego dnia bawiła się z dziećmi. Nie wiem, czy kiedykolwiek o tym mówiła. Pamiętam, że tamtego wieczoru przyszedł Szemajach i mówił z pogardą o Jazonie... Ale Abigail tu wtedy nie było. Była w domu, spała już. Nie wiem, czy dla Abigail Jazon jest nie do przyjęcia.

Gdy matka mówiła, ból, którego doświadczałem, narastał. Był ostry i głęboki. Przez moją głowę przepływały myśli. Jakby to było wspaniale, gdybym mógł się rozplakać. Gdybym teraz był sam, gdzieś, gdzie nikt mnie nie widzi ani nie słyszy.

*Ciało z mego ciała i kość z moich kości.* Na mojej twarzy malował się spokój. Moje dłonie były nieruchome. *Mężczyzną i kobietą stworzył ich.* Próbowalem to ukryć przed matką i przed samym sobą.

— Mogłabyś jej wspomnieć, że Jazon prosił o jej rękę. Może możesz w jakiś sposób przekazać jej tę informację...

Ból stał się tak nieznośny, że nie chciałem powiedzieć ani słowa więcej. Nie ufałem sobie na tyle, by wymówić chociaż jeszcze jedno słowo.

Poczułem na policzku jej wargi. Położyła dłoń na moim ramieniu. Wreszcie po długiej chwili spytała:

— Chcesz, żebym to zrobiła? Skinąłem głową.

— Jeszuo, czy jesteś pewien, że to wola Boga? Czekałem, aż ból ustąpi i znowu będę mógł przemówić własnym głosem. Spojrzałem na matkę. Spokój na jej twarzy nappełnił i mnie spokojem.

— Matko — zacząłem. — Są rzeczy, które wiem, i takie, których nie wiem. Czasami świadomość przychodzi do mnie niespodzianie w chwilach zaskoczenia. Czasami przychodzi, kiedy znajduję się pod presją okoliczności, a czasami w postaci odpowiedzi, których udzielam, gdy inni naciskają mnie pytaniami. Czasami przychodzi w bólu. Zawsze mam pewność, że ta świadomość to coś więcej, niż sam pozwalam sobie wiedzieć. Rozciąga się tuż za granicą, poza którą postanowiłem nie sięgać i której postanowiłem nie przekraczać moimi pytaniami. Wiem, że przyjdzie, kiedy będę jej potrzebować. Wiem, że może do mnie przyjść samoistnie. Są jednak rzeczy, które wiem i zawsze wiedziałem. Nie ma w nich niespodzianek. Nie ma żadnej wątpliwości. Matka milczała przez chwilę, wreszcie powiedziała:

— Przez to wszystko jesteś nieszczęśliwy. Dostrzegałam to już przedtem, ale nigdy nie wyglądało to tak źle jak w tej chwili.

— Jest aż tak źle? — wyszeptalem. Odwróciłem się, jak to czynią mężczyźni, kiedy chcą widzieć tylko własne myśli. — Nie wiem, czy to jest dla mnie takie złe, matko. Co jest dla mnie złe? Kochać Abigail tak, jak ją kocham? W takiej miłości jest blask, piękny i wspaniały.

Nie przerywała mi.

— Przychodzą chwile — mówiłem dalej — które łamią serce. Chwile, kiedy czujemy, jak radość i smutek splatają się ze sobą. Kiedy odkrywamy, że smutek może być słodki. Pamiętam to uczucie, kiedy przybyliśmy tutaj, wszyscy, cała nasza rodzina, i kiedy poszedłem na wzgórze, skąd rozciąga się widok na Nazaret, i zobaczyłem zieloną trawę poprzątykaną drobnymi kwiatkami, tyle kwiatów, tyle tego wszystkiego, trawa, kwiaty i drzewa, poruszające się jak w tańcu. To bolało.

Nic nie mówiła.

Wreszcie odważyłem się spojrzeć na nią. Położyłem zaciśniętą dłoń na piersi.



— Tu właśnie bolało — dodałem — ale wiedziałem też, że mam to pokochać i nosić jak skarb w sercu... na zawsze.

Skinęła głową z wahaniem. Oboje milczeliśmy. Wreszcie powiedziałem:

— Idź i powiedz Abigail. Niech się dowie, że Jazon starał się o jej rękę. Jazon jest jej oddany całym sercem i co jak co, ale życie z nim nigdy nie będzie nudne.

Matka uśmiechnęła się. Pocałowała mnie jeszcze raz w policzek i wstała, opierając się na moim ramieniu.

Do izby wszedł Jakub. Zwinął płaszcz, by mieć na czym oprzeć głowę w czasie snu, i położył się przy ścianie.

Spoglądałem w żarzące się drewno.

— Jak długo, o Panie — wyszeptalem. — Jak długo jeszcze?

## VIII

Prawdą było, że wszystkie dziewczęta w Nazarecie wzdychały ukradkiem do Jazona. Najbardziej widać to było następnego wieczoru, kiedy wszyscy mieszkańcy miasteczka pobiegli pospiesznie do synagogi, mężczyźni, kobiety i dzieci, i zajęli wszystkie ławy, tłoczyli się przy wejściu i siadali ciasno na posadzce jeden obok drugiego, u stóp rabbiego i starszych.

Gdy tylko zapadł zmierzch, sygnały przesyłane za pomocą ognisk rozpalanych na wzgórzach przyniosły do Galilei wieść, która już się rozniosła po całej Judei: żołnierze Poncjusza Piłata rzeczywiście wnieśli do Świętego Miasta cesarskie proporce i mimo protestów rozwścieczonego tłumu nie chcieli ich usunąć.

Bez przerwy dęto w barani róg.

Przepychając się i szturchając, usiedliśmy najbliżej, jak to było możliwe, miejsca, gdzie miano przemawiać, obok Józefa. Jakub starał się okiełznać synów, Menachema, Izaaka i Szabiego. Byli tu wszyscy moi bratankowie, wszyscy kuzyni; można było odnieść wrażenie, że każdy, kto miał władzę w nogach, zjawił się tego wieczoru w synagodze. Tych, którzy nie mogli przyjść o własnych siłach, przynie — śli na ramionach synowie i wnuki. Wniesiono także starego Szerebiasza, chociaż był głuchy jak pień.

Za kratą, pośród podekscytowanych, chociaż milczących w większości kobiet, siedziały już Abigail, Cicha Anna i moje ciotki.

Gdy Jazon wystąpił na środek, by opowiedzieć dokładnie, co się stało w Judei, spostrzegłem utkwione weń oczy Abigail i pozostałych dziewcząt.

Jazon stanął na ławie, obok miejsca, gdzie siedzieli starsi.

Jakże wspaniale wyglądał w białej lnianej szacie ozdobionej błękitnymi frędzlami, z płaszczem narzuconym na ramiona! Żaden nauczyciel w portyku Salomona nie odznaczał się większym dostojeństwem ani elegancją.

— Ileż to lat minęło od dnia — zaczął chrapliwym głosem — odkąd Tyberiusz wygnał wszystkich Żydów z Jerozolimy?!

Zgromadzenie odpowiedziało gniewnymi okrzykami, nawet kobiety krzyczały, ale wszyscy raptownie ucichli, ponieważ Jazon mówił dalej:

— A teraz, jak wszyscy dobrze wiemy, Sejanus, ekwita, rządzi światem w imieniu pozbawionego serca cezara, którego syna, Druzusa, tenże Sejanus zamordował!

Rabbi podniósł się z miejsca, by uciszyć tłum. Wszyscy kręciliśmy głowami. Mówić coś takiego na głos nie było rozsądną rzeczą, nawet w najbardziej zapomnianym zakątku cesarstwa. Z drugiej strony, każdy podejrzewał, że było właśnie tak, jak mówił Jazon. Starsi także głośnymi krzykami domagali się, by Jazon zamilkł, a Józef posłał mu surowe spojrzenie.

— Uspokójcie się! Wieść o tym, że do Świętego Miasta wniesiono cesarskie proporce, z pewnością dotarła już do Tyberiusza! — zawołał rabbi. — Co do tego nie ma wątpliwości! Czy sądzicie, że najwyższy kapłan Kajfasz przygląda się beczynnemu bluźnierstwu? Czy wydaje wam się, że i Herod Antypas nic nie robi? Przecież wszyscy dobrze wiecie, że cesar nie pragnie zamieszek w żadnej z prowincji imperium. Z pewnością wyda rozkazy, podobnie jak dawniej. Insignia zostaną usunięte. Poncjusz Piłat dostosuje się do rozkazu, czy to mu się podoba czy nie!

Józef i pozostali starsi zaczęli energicznie przytakiwać słowom rabbiego. Jednak oczy młodszych mężczyzn i kobiet skupione były na Jazonie. A Jazon przysłuchiwał się wystąpieniu rabbiego wyraźnie niezadowolony. Wreszcie powoli pokręcił głową.

Przez tłum przebiegł groźny pomruk. Tu i ówdzie rozległy się krzyki.

— Teraz trzeba nam cierpliwości — powiedział Józef. Inni starsi mężczyźni próbowali uciszyć zgromadzonych, tak by głos Józefa był słyszalny dla wszystkich. Jedyne on spośród starszych zabrał głos. Ale było to daremne.

Przez wrzawę przebił się ostry, szydery głos Jazona.

— A co, jeśli cesarz nigdy nie ujrzy raportu na ten temat? — zapytał. — Jaką mamy gwarancję, że ten Sejanus, który pogardza i zawsze pogardzał naszym narodem, nie przechwyci go po drodze i cesarz nigdy go nie przeczyta?

Ze wszystkich stron rozlegały się coraz głośniejsze okrzyki wyrażające aprobatę dla słów Jazona.

Menachem, najstarszy syn Jakuba, podniósł się i zawołał:

— Ruszamy na Jerozolimę, wszyscy jak tu jesteśmy, i zażądamy, aby prokurator usunął insygnia z miasta!

Oczy Jazona płonęły, wyciągnął rękę i przyciągnął Menachema ku sobie.

— Zakazuję ci takich rzeczy! — krzyknął Jakub. Przyłączyli się do niego inni ojcowie, krzycząc równie głośno i starając się powstrzymać młodych, którzy gotowi byli opuścić zgromadzenie i natychmiast ruszyć do Judei. Wtem podniósł się z ławy mój wuj Kleofas i zawołał tubalnym głosem:

— Cicho, szalona hałastro! Potem stanął obok starszych.

— Czy ktoś z was — wskazał palcem na Menachema, Szabiego i Jazona — ma pojęcie, co wygaduje? Co wy wiecie o rzymskich legionach, które przemaszerowały tutaj aż z Syrii? Za krótko żyjecie, by widzieć rozprawiających się z tłumem rzymskich żołdaków! Jesteście w gorącej wodzie kąpani! — Spojrzał gniewnie na Jazona.

Następnie zupełnie bez pomocy wspiął się na ławę, gdzie stał Jazon, i niemal go spychając, zmusił, aby się przesunął.

Kleofas nie należał do starszych. Nie dorównywał wiekiem nawet najmłodszemu spośród nich, a więc swemu szwagrowi Józefowi. Miał za to twarz, z której emanowała energia, a jego głowę okalała czupryna siwych włosów. Potężny głos, w którym pobrzmiwała młodzieńcza nuta, zapewniał mu posłuch równy temu, jakim cieszył się nauczyciel.

— Odpowiedz mi, Menachemie bar Jakubie — zażądał Kleofas — ile razy widziałeś rzymskich żołnierzy w Galilei? Który z was ich widział? Ty, ty, a może ty?

— Powiedz im — zwrócił się rabbi do Kleofasa — bo nie wiedzą. A ci, którzy wiedzą, widocznie już zapomnieli.

Słyszając to, młodzi mężczyźni wpadli we wściekłość i przekrzykując się nawzajem, wołali, że dobrze wiedzą, co chcą zrobić, a właściwie co muszą zrobić.

Ale Kleofas odezwał się jeszcze bardziej donośnym głosem, tak głośno, że nawet ja nigdy go takim nie słyszałem. Zaczął wygłaszać przemowę podobną do tych, których niejednokrotnie musieliśmy wysłuchiwać w domu.

— Czy wydaje się wam, że ten Sejanus, którym tak pogardzacie, nie zacznie działać, by powstrzymać zamieszki w Judei? On nie chce rozruchów w Jerozolimie, lecz pragnie władzy, i to najwyższej, tej w Rzymie, i dlatego chce mieć spokój na wschodnich rubieżach cesarstwa. Dlatego powiadam: niech ma swoją moc i władzę! Żydzi są już od dawna z powrotem w Rzymie. Żydzi pragną mieszkać w pokoju w każdym mieście, od Rzymu po Babilon. Co wy wiecie o tym, w jaki sposób wypracowano ten pokój? Wy, którzy chcecie biec na złamanie karku i zaatakować rzymską straż w Cezarei!

— Wiemy, że jesteśmy Żydami, i niczego innego wiedzieć nam nie trzeba! — oświadczył Menachem.

Jakub chciał go uderzyć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Spostrzegłem, że moja matka, siedząc w części przeznaczony dla kobiet, przymknęła powieki i skłoniła głowę. Abigail ze wzrokiem pełnym zachwytu spoglądała na Jazona, który z założonymi rękami, niby sędzia, przysłuchiwał się temu, co mówią starsi, kierując w ich stronę chłodne spojrzenie.

— Jakąż to historię chcecie nam opowiedzieć? — zapytał w końcu natarczywie, spoglądając na Kleofasa stojącego obok niego na wąskiej ławie. — Chcecie nam powiedzieć, że za Augusta przez wiele dziesiątków lat cieszyliśmy się pokojem? Wiemy to. Chcecie powiedzieć, że za Tyberiusza też mamy pokój? Wiemy to. Macie zamiar powiedzieć Rzymianom, by szanowali nasze prawa? Wiemy i to. Ale wiemy także, że insygnia cesarskie z wizerunkiem Tyberiusza od rana są już w Świątym Mieście. Wiemy także, że najwyższy kapłan Józef Kajfasz nie kazał ich usunąć. Ani Herod Antypas. A dlaczego? Dlaczego nie kazali ich usunąć? Powiem wam. Siła to jedyny argument, który dotrze do nowego prokuratora Poncjusza Piłata! Posłał go tutaj człowiek okrutny i bezwzględny, który jest z nim w komitywie, i wszyscy wiedzieliśmy, że może do tego dojść, prędzej czy później!

Rozległ się ogłuszający ryk zgromadzonego tłumu. Budynek zaczął dygotać, niczym ogromny bęben. Nawet kobiety dały się ponieść emocjom. Abigail przytuliła się do mojej matki, wpatrując się w Jazona ze zdumieniem pomieszanim z podziwem. Nawet Cicha Anna przyglądała mu się z zachwytem, chociaż przed chwilą w jej oczach widać było ból.

— Cisza! — krzyknął Kleofas, po czym wrzasnął jeszcze raz potężnym głosem: — Cisza! — Zaczął tupać w ławę, dopóki hałas nie ucichł. — Nie jest tak, jak mówicie, i co ma do rzeczy to, jaki jest ów człowiek? Nie jesteśmy ludźmi przemocy! — Uderzył się w piersi obiema rękami. — Przemoc nie jest naszym językiem! To może być język tego głupca prokuratora i jego łajdaków, lecz my mówimy i zawsze mówiliśmy innym językiem! Jeśli wydaje się wam, że legiony nie są w stanie przemaszerować tu z Syrii i w ciągu miesiąca zapełnić całego kraju krzyżami, w takim razie nic nie wiecie! Spójrzcie na waszych ojców! Spójrzcie na ojców waszych ojców! Czy bardziej gorliwie strzeżecie Prawa niż oni? — Wskazywał palcem wokół siebie. Pokazał na Jakuba. Potem na mnie. Na Józefa.

— My pamiętamy rok, w którym od władzy odsunięto Heroda Archelaosa — powiedział. — Rządził dziesięć lat, a potem musiał ustąpić. A co się stało, kiedy cesarz wkroczył w naszym imieniu? Powiem wam, co się stało. Judasz Galilejczyk i jego faryzejscy sprzymierzeńcy powstali, skrzyknęli się z tymi z gór i zalali wioski Judei, Galilei i Samarii krwią, mordując, paląc i plądrując. A ci, co widzieli to przedtem, przy okazji śmierci starego Heroda, ujrzeli jeszcze raz przemoc i gwałt rozlewające się niczym pożar, który liże suchą trawę jęzorami ognia. I wówczas przyszli Rzymianie, którzy zawsze przychodzą, i przy drogach wyrosły krzyże, a kiedy szedłeś drogą, słyszałeś jęki i krzyki konających.

W synagodze zapanowała cisza. Nawet Jazon spoglądał na Kleofasa w milczeniu.

— A wy znowu chcecie to na nas sprowadzić. — Kleofas powiódł wzrokiem po zgromadzonych. — Otóż powiadam wam, że tego nie zrobicie. Zostaniecie tutaj, gdzie jesteście, i zostawicie najwyższemu kapłanowi i jego doradcom sprawę pisma do cesarza dotyczącego tego bluźnierstwa! Pozwolicie im działać, co niechybnie uczynią, i będziecie cierpliwie czekali na ich decyzję!

Przez jedną krótką chwilę zdawało się, że bitwa jest wygrana. Lecz wtedy od wejścia dobiegł głos:

— Ale oni wszyscy już idą! Idą do Cezarei!

Ze wszystkich stron podniosły się krzyki i gwałtowne protesty. Jazon kręcił zrezygnowany głową. Starsi mężczyźni wstawali i przygarniali do siebie synów. Menachem oderwał się od Jakuba, wyraźnie nic sobie nie robiąc z ojca, na co Jakub zaczerwienił się z gniewu.

— Mężczyźni już ruszyli! — zawołał głos od wejścia. A potem inny dodał: — Tłum jest już w połowie drogi z Jeruzalem do Cezarei!

Jazon krzyknął, a jego głos przebił się ponad ogólną wrzawę.

— A zatem to prawda! Ludzie nie będą znosić tej zniewagi i bluźnierstwa w milczeniu! Jeśli Józef Kajfasz sądzi, że zgodzimy się na wszystko, byle zachować pokój, to się myli! Razem z naszymi braćmi ruszymy do Cezarei! — Okrzyki i wzajemne zagrzewanie się do walki stawały się coraz głośniejsze, Jazon zaś ciągnął dalej: — Nie wznecimy buntu i nie będziemy wszczynać zamieszek. Kleofas ma rację, to byłoby szaleństwo. Pójdziemy tam nie po to, aby walczyć, lecz staniemy przed tym ogarniętym pychą człowiekiem i powiemy mu, że złamał nasze prawa i że nie ustąpimy, dopóki nie uzna swej winy!

Teraz nastąpiło pandemonium. Wszyscy młodszy mężczyźni siedzący dotąd na ławach i podłodze zerwali się na równe nogi, zaczęli tupać w podnieceniu, wymachiwać pięściami i podskakiwać niczym dzieci. Także większość kobiet podniosła się z miejsc. Pozostałe też musiały wstać, aby cokolwiek widzieć. Ławy wzdłuż jednej ze ścian drżały i dygotały od tupotu stóp.

Menachem i Izaak przepchali się przez tłum i stanęli obok Jazona, spoglądając buńczucznie w stronę wuja. Menachem chwycił się mocno płaszcza Jazona. Wszyscy młodszy mężczyźni, potracając się wzajemnie, próbowali dopchać się do niego.

Jakub chwycił Menachema za ramię i zanim syn zdołał się wyrwać, wzmocnił uścisk, ale Menachem nie chciał odstąpić od Jazona ani na krok.

— Uspokójcie się natychmiast, wszyscy! — krzyknął Jakub, ale na próżno.

Józef sapnął bezradnie. Nie słyszałem tego, ale wyczułem.

— Pójdziecie do Cezarei całą gromadą — zawołał Kleofas — a Rzymianie wyciągną przeciwko wam broń! Myślicie, że ich obchodzi, czy niesiecie ze sobą miecze czy lemiesze?

Rabbi powtarzał jego słowa. Pozostali starsi starali się wesprzeć argumenty rabiego i Kleofasa, ale ich słowa ginęły w krzykach rozgorączkowanych młodszych mężczyzn.

Menachem wspiął się na ławę obok Jazona, a stojący tam Kleofas stracił równowagę. W ostatniej chwili podtrzymałem go, aby nie upadł.

— Pójdziemy! — wołał Jazon. — Pójdziemy razem i staniemy przed Poncjuszem Piłatem, i to taką rzeszą, że nie będzie się posiadał ze zdumienia. Niech nie myślą, że ci z Nazaretu to tchórze! Co to za Żyd, który nie będzie chciał pójść z nami?

Przez synagogę przetoczyła się nowa fala krzyków, aż zadrgały ściany, a dołączyły do nich okrzyki z zewnątrz synagogi. Ludzie stojący na dworze walili pięściami w mury. Nocną ciszę zburzyły krzyki. Słyszałem je za naszymi plecami.

W tej chwili przez tłum stojący u wejścia do synagogi przebiła się i wkroczyła do środka grupka mężczyzn ubranych do drogi, z bukłakami na wino przewieszonymi przez ramię. Dwóch z nich pamiętałem z Kany, jeden był z Seforis.

— Idziemy do Cezarei! Ruszamy zaraz! Będziemy stać przed pałacem prokuratora tak długo, aż każe usunąć cesarskie insygnia! — krzyknął jeden z nich.

Józef skinął w moją stronę, bym przyszedł mu z pomocą. Wyciągnął rękę do Kleofasa i razem pomogliśmy mu stanąć z powrotem na ławie. Menachem zszedł z niej, by zrobić mu miejsce, i nawet Jazon się odsunął, na ile było to możliwe.

Józef stał przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w rozgorączkowany tłum. Wyrzucił w górę ręce. Wydawało się, że rozlegające się ze wszystkich stron krzyki pochłoną jego słowa, lecz powoli tumult i wrzawa zaczęły gasnąć, aż wreszcie, widząc siwowłosego starca, który w milczeniu gestykulował, jakby próbował rozdzielić na dwoje Morze Czerwone, wszyscy umilkli.

— Dobrze, moje dzieci, posłuchajcie, co wam powiem — zaczął i ucichły nawet szepty. — Musicie sami się przekonać o tym, co my dobrze znamy i wiemy, my, którzyśmy widzieli Judasza Galilejczyka i jego ludzi grasujących po wzgórzach, my, którzyśmy widzieli, jak rzymskie legiony nie raz i nie dwa wkraczały do tego kraju, by przywrócić w nim spokój i porządek. Jeśli tak, droga wolna. Widać musicie doświadczyć na własnej skórze tego, czego nie chcecie nauczyć się od nas.

Jakub chciał zaprotestować i ruszył w stronę Józefa, trzymając w żelaznym uścisku Izaaka, który cały czas mu się wyrывał.

— Nie, mój synu — powiedział Józef do Jakuba. — Nie wystawiaj ich na pokusę. Nawet jeśli im zabronisz, i tak pójdą.

Tłum zareagował szmerem aprobaty, który następnie przeszedł w głośne okrzyki wyrażające uznanie dla słów Józefa.

Józef mówił dalej z uniesionymi rękoma.

— Tak, pokażcie prokuratorowi wasz zapal w obronie naszych praw. Ty, Jazonie, wykorzystaj swe krasomówstwo, jeśli taka twoja wola. Przemów do tego człowieka swoją doskonałą łaciną. Ale idźcie do niego i rozmawiajcie z nim w pokoju, słyszycie mnie? Bo powiem wam, że gdy Rzymianie wyjmą z pochew błyszczące miecze, nie ustaną w zabijaniu, póki nie zgładzą ostatniego z nas. Rzymska armia utoruje sobie drogę wprost do naszej wioski.

Jazon spojrział na Józefa i uściśnął mu dłoń na znak, że się z nim zgadza.

— Na życie Pana! — zawołał Jazon. — Albo usuną insygnia, albo wypiją naszą krew! To zależy tylko od nich!

Na potwierdzenie jego słów rozległa się dzika wrzawa.

Jazon zeskoczył z ławy i pomaszerował energicznym krokiem przed siebie, odpychając każdego, kto stanął mu na drodze, i po chwili wszyscy pragnęli wydostać się na zewnątrz i ruszyć za nim.

Słychać było huk przewracanych ław i płacz niemowląt. Rabbi usiadł zmęczony i oparł głowę na moim ramieniu. Moi bratankowie, Szabi i Izaak, którym udało się wyrwać z rąk Jakuba, przepychali się, by pójść za swym bratem Menachemem.

Miałem wrażenie, że jeszcze chwila, a Jakub postrada zmysły.

Kiedy Jazon dotarł do przedsionka synagogi, odwrócił się, wylaniając się na chwilę z morza głów. Spoglądał przez moment na pływający obok niego tłum.

— A wy nie idziecie ze mną, zwłaszcza wy? — krzyknął, wskazując nas palcem.

— Nie. — Pokręciłem przecząco głową i odwróciłem wzrok.

Lecz moje słowa nie zdołały się przebić przez tumult i wrzawę i po chwili Jazon był już na zewnątrz wraz z tłumem młodych mężczyzn.

Ciemność rozświetlały pochodnie, a było ich tak wiele, że przypominało to noc wyjścia z Egiptu. Zewsząd słychać było śmiechy i nawoływania mężczyzn, którzy wchodzili do domów po wełniane płaszcze i bukłaki z winem na drogę. Jakub chwycił za ramię Izaaka, swego młodszego syna, a kiedy Izaak, który nie miał więcej niż dziesięć lat, próbował się wyrwać, nagle stanęła przed nim Abigail, także chwyciła go za ramię i zwróciła się do niego z wyrzutem:

— Co to znaczy? Też chcesz iść i zostawić mnie tu samą? Chcecie zostawić wioskę bez opieki?

Trzymała mocno Izaaka, tak mocno, jak nie byłby w stanie uczynić tego nawet jego ojciec, ponieważ ojcu Izaak próbowałby się wyrwać, natomiast z Abigail nie śmiał się szamotać. Potem zaczęła wołać do siebie także innych chłopców:

— Chodź tu natychmiast, Joachimie! I ty, Mały Lewi! I ty, Beniaminie!

Także Cicha Anna gestami napominała dzieci.

Inne kobiety, starsze i młodsze, robiły to samo, wyławiając i wywlekając z gromady każdego, kogo udało im się zatrzymać.

Do wioski przybyli także mężczyźni z okolicy, najemni robotnicy, mieszkańcy sąsiednich wiosek, tych z daleka i tych z bliska, i wreszcie na koniec ujrzałem żołnierzy Heroda z Seforis.

— Jesteście z nami? — krzyknął ktoś w ich stronę. Zasłoniłem dłońmi uszy.

Wszedłem do domu. Abigail udało się wciągnąć do środka opierającego się Izaaka. Rozzłoszczony Jakub nawet na niego nie spojrział. Kiedy przybyliśmy, Menachem i Szabi właśnie wychodzili, gotowi do drogi, a Menachem spojrział na Jakuba tak, jakby zaraz miał się rozplakać, lecz wziął się w garść i powiedział:

— Ojcie, muszę iść. — Po czym odwrócił się i wyszedł. Jakub, zwrócony do niego plecami, nie zareagował, spuścił jedynie głowę.

Mały Izaak się rozplakał.

— Abigail, to moi bracia! Muszę pójść z nimi!

— Nie pójdziesz! — odparła stanowczo Abigail. Przytrzymała mocno jeszcze paru innych chłopców. — Zostaniecie tutaj ze mną!

Matka pomagała Józefowi zająć miejsce koło ognia.

— Czy to możliwe, że wszystko zaczyna się od nowa? — spytał Kleofas. — A Sylas? Gdzie Sylas? — dodał nagle. — Gdzie Mały Józef? — Rozejrzał się przerażony. — Gdzie są moi synowie?! — krzyknął rozpaczliwie.

— Poszli ze wszystkimi — odparła Abigail. — Przyszli do synagogi już przygotowani do drogi. — Pokręciła smutno głową, trzymając cały czas za rękę wyrrywającego się Izaaka.

Do izby wszedł zasapany ojciec Abigail, Szemajach, otyły mężczyzna o niezdarnych ruchach. Widać było, że jest czymś zaaferowany, lecz kiedy ujrzał Abigail z gromadką dzieci, machnął ręką z odrazą i natychmiast wyszedł, nim ktokolwiek zdążył mu zaproponować kubek wody lub wina.

Abigail siedziała wśród chłopców. Większość z nich miała dziesięć lub jedenaście lat, tylko Joachim był dwunastolatkiem. Trzymała mocno jedną ręką Joachima, a drugą Izaaka. Joachim nie miał matki, a jego ojciec najpewniej siedział teraz w gospodzie, pijany.

— Jesteście mi tutaj potrzebni. Wszyscy — powtarzała Abigail — i nie chcę nic słyszeć o Cezarei. Żaden z was tam nie pójdzie. Dzisiaj śpicie tutaj, w tym domu, tak żeby Jezuś i Jakub mogli mieć was na oku. A wy, dziewczynki, idziecie spać do mnie. Ty też. — Trąciła Cichą Annę.

Po chwili przerwała połajanki i podeszła do mnie.

— Jezuś, co się w y d a r z y w Cezarei?

Spojrzałem na nią. W jej oczach widziałem łagodność i ciekawość, zdawała się zupełnie nieświadoma jakiegokolwiek niebezpieczeństwa.

— Czy Jazon przemówi w ich imieniu? Czy przedłoży sprawę prokuratorowi?

— Moje drogie dziecko — odparłem. — Do Judei maszerują w tej chwili tysiące Jazonów. Idą tam kapłani, nauczyciele i uczeni w Piśmie.

— I wicherzyciele — dorzucił Kleofas z niechęcią. — Wicherzyciele, którzy wmieszają się w tłum i bez wahania rozpoczną zamieszki, jeśli tylko uznają, że nadeszła pora na walkę z Rzymianami, do której rwą się cały czas, z której nie chcą nigdy zrezygnować, którą cały czas prowadzą, chowając się po grotach wśród wzgórz i buntując ludzi w gospodach.

Na twarzy Abigail i pozostałych kobiet odmalował się strach i dopiero Jakub musiał uspokoić Kleofasa, żeby przestał opowiadać takie rzeczy, to samo zrobił Józef. Do izby weszła stara Bruria, najstarsza osoba w naszym domu, która nie była z nami spokrewniona, ale mieszkaliśmy razem od dawna, od dnia, kiedy kraj spłynął krwią po śmierci starego Heroda.

— Dosyć tego! — powiedziała mocnym, niskim głosem. — Módl się, Abigail, wszyscy się pomódlmy. W drodze do Cezarei są już nauczyciele ze Świątyni. Wyruszyli tam, nim jeszcze na wzgórzach zapalili ogniska. — Stała obok Józefa i czekała.

Chciała, aby Józef przewodniczył naszej modlitwie, ale wyglądało na to, że zapomniał, czego się od niego oczekuje.

Do izby wszedł jego brat Alfeusz i dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, że nie było go w synagodze. Usiadł obok Józefa.

— Dobrze więc — powiedziała Bruria i zaczęła: — O Panie, Stwórcu Świata, miej litość nad twoim ludem Izraelem.

Przez całą noc słyhać było mężczyzn maszerujących spieszenie przez Nazaret do Cezarei.

Kilka razy budziłem się i wychodziłem przed dom, na dziedziniec, i skulony z zimna stałem w ciemnościach, a do moich uszu dochodziły wrzaski i krzyki z gospody.

O świcie do wioski przygalopowali jeźdźcy i zaczęli głośno odczytywać wieści, z których wynikało, że to czy tamto miasto posłało wszystkich swych mieszkańców do Cezarei, aby stanęli przed prokuratorem, domagając się usunięcia cesarskich insygniów.

Niektórzy starsi mężczyźni z Nazaretu także ubrali się do drogi, wzięli do rąk laski i dołączyli do tych, którzy szli przez wioskę.

Nawet kilku starców, opatulonych w derki aż po nos, wyruszyło na osłach do Cezarei.

Jakub pracował bez słowa, waląc młotkiem z taką siłą, że przybiłby nie jeden, a dziesięć gwoździ.

Miriam, żona Małego Kleofasa, cały czas szlochała. Do Cezarei poszedł nie tylko jej mąż, ale i Lewi, jej ojciec, a także bracia. Do miasteczka dochodziły też wieści, że każdy, kto mieni się mężczyzną, jest w drodze do Cezarei.

— No, nie każdy — odezwał się Jakub. — Rzucił drewniany kloc na wóz. — Nie ma sensu dalej teraz pracować — dodał. — To może zaczekać. Wszystko może zaczekać, tak samo jak i my czekamy, aż otworzą się zawory nieba.

A niebo było stalowoszare. Wiatr niósł z sobą zapach dziedzińców i brudnych, dawno nieczyszczonych stajni, wyschniętych pól i murów, gdzie oddawali mocz mężczyźni, co przyciągało setki much.

Następna noc była już spokojna. Wszyscy już przeszli. Cóż więcej mogły nam powiedzieć sygnały przesyłane za pomocą ognisk poza tym, że na drogi i gościńce wylegli wszyscy i nadszali z północy i z południa, ze wschodu i z zachodu? I jeszcze to, że cesarskie insygnia wciąż pozostawały w Świątym Mieście.

O świcie Jakub powiedział mi:

— Kiedyś myślałem, że wszystko to zmienisz.

— Opamiętaj się — wtrąciła moja matka. Przyniosła nam chleb i oliwki i naląła wody do kubków.

— Naprawdę tak myślałem — ciągnął Jakub, wbijając we mnie nieprzyjazny wzrok. — Sądziłem, że wszystko to zmienisz. Wierzyłem w to, co widziałem na własne oczy. Widziałem dary magów leżące w słomie i twarze pasterzy, którzy słyszeli, jak aniołowie śpiewają na niebie. Kiedyś wierzyłem w to wszystko.

— Jakubie, błagam cię — odezwała się po raz drugi matka.

— Niech sobie mówi — powiedział łagodnie Józef. — Jakub powtarzał to już wiele razy, więc i tym razem wytrzymamy.

— A ty, ojczu, nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, co to wszystko miało znaczyć? — spytał Jakub.



— Pan stworzył czas — odrzekł Józef — i Pan, gdy nadejdzie czas, objawi wszystko, gdy zechce.

— Do tej pory moi synowie umrą — odparł Jakub z przekąsem. — Moi synowie umrą, podobnie jak przedtem wszyscy inni ludzie. I po co?

Do izby weszły Abigail z Cichą Anną, a za nimi, jak zwykle, gromadka dzieci.

— Nie mówcie już o tym, proszę — poprosiła ciotka Estera.

— Mój ojciec powiedział, że cały świat udał się do Cezarei — odezwała się Abigail. — Dostaliśmy list od naszych kuzynów w Betanii. Od naszych, waszych, wszystkich, co tam mieszkają. Oni też poszli do Cezarei. — Wybuchnęła płaczem.

Wszystkie maluchy stłoczyły się wokół niej, aby ją pocieszyć.

— Nie płacz, wszyscy wrócą do domu — mówił Izaak, jej mały obrońca i pocieszyciel, po czym tuląc się do niej, dodał: — Obiecuję ci, Abigail. Daję ci na to moje słowo. Wrócą na pewno. Wszyscy moi bracia wrócą. A teraz przestań. Popatrz, za chwilę rozplacze się Cicha Anna.

— A w Nazarecie wielu zostało? — spytał z goryczą w głosie Jakub. Po czym odwrócił się do mnie, jakby widząc mnie pierwszy raz, i dodał z udanym zdziwieniem i kpina: — Aha, został Jezua Bezgrzeszny.

Abigail na te słowa podniosła gwałtownie głowę. Spojrzała po twarzach siedzących w izbie mężczyzn i kobiet, a potem na mnie.

— A z nim Jakub Sprawiedliwy — docięła mu ciotka Estera.

— Chyba Jakub Bezłitosny — wtrąciła ciotka Salome i dodała: — Albo się uspokój, albo sam idź do Cezarei.

— Uspokójcie się i przestańcie się kłócić — powiedziała łagodnym głosem moja matka.

— Tak, przestańcie, ja wcale nie chciałam... przepraszam — zaczęła się usprawiedliwiać Abigail.

— Nic nie zrobiłaś — zapewniłem ją.

I tak minął dzień.

Potem następny.

I jeszcze jeden.

## IX

Rabusie napadli na wioskę o świcie.

Jakub i ja właśnie wychodziliśmy z domu rabbiego. Staliśmy na wzgórzu, kiedy ich zobaczyliśmy: dwóch jeźdźców w łachmanach, galopujących w stronę strumienia.

Kobiety niosące dzbany i kosze z praniem oraz towarzyszące im dzieci rozpierzchły się z krzykiem na wszystkie strony.

Rozkazaliśmy dać w róg na alarm i pobiegliśmy w tamtą stronę.

Ze wszystkich domów zaczęli wybiegać ludzie. Jeden z jeźdźców zawrócił, pogalopował pod górę, w naszą stronę, i skierował konia prosto na nas, tak że odskoczyliśmy, upadliśmy na ziemię i niewiele brakowało, aby stratowały nas końskie kopyta.

— Abigail! — krzyknął Jakub. — Abigail! — zawołał drugi raz, a potem trzeci. Kiedy podniosłem się z ziemi, czując, jak z dłoni sączy mi się krew, ujrzałem to, co wszyscy: drugi jeździec zawrócił przy strumieniu, nachylił się, objął w pół Abigail, podniósł i próbował wciągnąć ją na konia. Dzieci zaczęły ciskać w niego kamieniami, a Izaak podbiegł i zaczął szarpać go za rękę.

Abigail krzyczała i kopała, a dzieci przytrzymały ją za kostki i ciągnęły w swoją stronę.

Wszystkie kobiety ruszyły tam i zaczęły rzucać dzbanami w wierzchowca i jeźdźca.

Gdy dobiegliśmy do strumienia, mężczyzna, atakowany ze wszystkich stron, puścił w końcu Abigail, która upadła na ziemię, przy czym spadł jej z głowy welon, a jeździec zdał jej wierzchnie okrycie. Wymachując nimi niczym sztandarem, pochylił się w siodle, by uniknąć gradu kamieni, ścisnął konia łydkami i odjechał galopem, najszybciej jak mógł.

Abigail usiadła szybko w kucki i podciągnęła kolana pod brodę. Siedziała skulona, mając na sobie tylko tunikę z długimi rękawami, a rozpuszczone włosy opadały jej na twarz i ramiona. Mały Izaak podbiegł do niej i próbował zasłonić, by uchronić ją przed spojrzzeniami ludzi.

Ruszyłem do niej, upadłem na kolana i objąłem za ramiona.

Przestraszona wykrzyknęła moje imię i przycisnęła się do mnie kurczowo. Krew odpłynęła jej z twarzy i policzków.

— Uciekli już! — zawołał Jakub.

Otoczyły nas kobiety. Moja ciotka Estera krzyczała, że trafiła rabusia dzbanem i rozbiła mu go na głowie. Dzieci szlochały, przestraszone, biegając tam i z powrotem.

Ze wzgórza dobiegły nas krzyki.

— Ten drugi też uciekł. Miał nas zmylić — powiedział Jakub. — Chcieli tylko kobiety, bezbożni poganie! Popatrzcie, co narobili, tylko popatrzcie!

— Już po wszystkim — szepnąłem do Abigail. — Pokaż twarz i ręce. To tylko siniaki i zadrapania.

Kiwnęła głową, ciągle nie mogąc wydobyć z siebie głosu, ale rozumiała, co do niej mówię.

Wtedy usłyszałem nad głową zdecydowany głos:

— Odsuń się natychmiast i zabierz ręce od mojej córki!

W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć, że te słowa są skierowane do mnie.

Ciotka Estera gestem nakazała mi, abym odsunął się od dziewczyny. Stała obok niej i pomogła jej wstać.

— Nic się jej nie stało — powiedziała. — Byłyśmy tu wszystkie i obrzuciłyśmy go kamieniami, tak że długo nas popamięta.

Pozostałe kobiety przytaknęły zgodnym chórem.

Szemajach wpatrywał się w Abigail, która stała, dygocąc, w długiej wełnianej tunice, z rozczochranymi włosami, z podrapaną do krwi twarzą.

Zdjąłem płaszcz i szybko zarzuciłem go jej na ramiona, ale w tej samej chwili Szemajach odepchnął mnie, tak że straciłem równowagę. Kobiety pospiesznie poprawiły płaszcz na ramionach Abigail, zupełnie niepotrzebnie, ponieważ tunika zakrywała całe jej ciało. Teraz jednak miała na sobie również wierzchnie okrycie, od ramion aż po kostki, tak jak wymagał tego zwyczaj. Ciotka Salome poprawiła jej włosy.

Szemajach podniósł córkę i wziął ją w ramiona, jak się bierze dziecko, i poniósł w górę zbocza, otoczony chmurą maluchów płaczących mu się pod nogami.

Kobiety pobiegły za nim.

Jakub i ja odczekaliśmy, aż się oddalili, po czym ruszyliśmy za nimi wolnym krokiem.

Kiedy dotarliśmy przed dom Szemajacha, ujrzyliśmy kobiety wpatrujące się w zamknięte drzwi.

— Co się stało? Dlaczego nie wchodzicie do środka? — zapytałem.

— Nie chce nas wpuścić.

Z naszego domu przybyły moja matka ze starą Brurią.

— Co się stało?

Kobiety, jedna przez drugą, zaczęły im opowiadać, co się wydarzyło nad strumieniem.

Stara Bruria zaczęła walić pięściami w drzwi.

— Szemajachu! — zawołała. — Otwórz nam! Ta dziewczyna nas potrzebuje!

Drzwi otworzyły się, ale zamiast Szemajacha ujrzyliśmy Cichą Annę, którą ojciec Abigail pchnął w naszą stronę, jakby wyrzucał stare ubranie.

W następnej chwili drzwi się zamknęły.

Cicha Anna była przerażona.

Zastukałem i przystawiłem głowę do drzwi, pokazując zdecydowanym gestem Jakubowi, by nie próbował mnie odciągać ani powstrzymywać.

— Szemajachu! — zawołałem. — Te kobiety przyszły tutaj, by zaopiekować się Abigail. Wpuść je!

— Nie została pohańbiona! — zawołała moja ciotka Salome. — Wszyscy to widzieliśmy. Opierała mu się, a on puścił ją na ziemię. Przecież wszyscy to widzieliście.

— Tak — potwierdziła ciotka Estera. — A teraz wy, mężczyźni, idźcie już stąd, zostawcie wszystko nam.

Cofnęliśmy się, tak jak nam kazały kobiety. Teraz przyszły kolejne: żona Jakuba, Mara, i Miriam, żona Małego Kleofasa, i żona Sylasa oraz co najmniej tuzin innych. Starsze znowu zaczęły łomotać pięściami w drzwi.

— Wyważmy je! — zawołała Estera i wszystkie zaczęły napierać na drzwi, kopać w nie i walić z całych sił, aż wreszcie drzwi wyskoczyły z zawiasów i wpadły do środka.

Przesunąłem się, by cokolwiek zobaczyć, i ujrzałem pogrążoną w półmroku, słabo oświetloną izbę. Abigail widziałem tylko przez chwilę, bo natychmiast zasłoniły mi ją kobiety. Błada, płacząca, z rozczochranymi włosami i w poszarpanej tunice, leżała na klepisku, niczym ciśnięty w kąt tłumok, a z jej głowy sączyła się krew.

Głosy kobiet zagłuszyły krzyki i protesty Szemajacha. Izaak, Jakim i Cicha Anna także próbowali wejść do środka, ale było to niemożliwe, ponieważ izba była już pełna kobiet.

One same umieściły drzwi z powrotem na zawiasach i zatrzasnęły je przed nami.

Nie pozostało nam nic innego, jak wrócić do domu. Kiedy weszliśmy na dziedziniec, Jakub dał upust swojej złości na Szemajacha.

— Czy on oszalał? — spytałem.

— Czy ty nic nie rozumiesz? — powiedział wuj Kleofas. — Przecież ten bandyta zerwał jej z głowy welon!

— I co z tego? — odparł Jakub. W tej chwili przybiegli do nas zapłakani Izaak i Jakim. — Czy, na imię Pana, ma jakiegokolwiek znaczenie to, że zdarł jej z głowy welon?

— To stary człowiek, a w dodatku głupiec — rzekł Kleofas. — Nie bronię go. Odpowiadam ci tylko na pytanie.

— Uratowaliśmy ją — powiedział Izaak do ojca, ocierając z oczu łzy.

Jakub pocałował syna w głowę i przytulił do siebie.

— Wszyscy dobrze się spisaliście, każdy z was — rzekł. — Jakim, ty i wy także — zwrócił się do małych chłopców stojących niepewnie i wyczekująco. — A teraz chodźcie do środka.

Minęła cała godzina, nim wróciła moja matka, a razem z nią ciotki Estera i Salome.

Ciotka Salome była wściekła.

— Posłał po położną.

— Jak mógł uczynić coś takiego? — krzyknął Jakub. — Przecież cała wioska to widziała. Nic się nie stało. Odpędziliśmy tego łotra i musiał czmychać.

Moja matka siedziała przy piecyku i płakała. Z uliczki dobiegły nas krzyki kobiet. Jakim i Izaak wybiegli z domu, nim ktokolwiek zdołał ich zatrzymać. Stałem bez ruchu. Wreszcie do izby weszła stara Bruria.

— Położna przyszła i poszła — powiedziała. — Niech będzie wiadome temu domowi i każdemu innemu, i wszystkim łotrom, łachudrom i próżniakom w tej wiosce, których by to interesowało i którzy chcieliby o tym plotkować i szeptać po kątach, że dziewczyna nie została pohańbiona.

— To przecież żadna niespodzianka — skwitowała jej słowa ciotka Estera. — Zostawiliście ją samą z nim?

Stara Bruria wykonała gest bezradności, jakby chciała pokazać, że już nic więcej nie można było zrobić, i poszła do swojej izby.

Cicha Anna, która wszystko widziała, podniosła się bezszelestnie i wyszła z izby.

Chciałem pójść za nią. Chciałem zobaczyć, czy Szemajach wpuści ją do domu. Lecz nie zrobiłem tego. Zamiast tego poszła za nią moja matka, wróciła po chwili, skinęła głową i wiedziałem, że na razie cała sprawa jest zamknięta.

W południe Szemajach i jego pomocnicy, którzy najmowali się u niego do pracy w polu, wyjechali na wzgórze, gdzie po grotach chowali się bandyci. W domu z Abigail i Cichą Anną pozostały dwie służące, które zaryglowały mocno od wewnątrz drzwi, jak im przykazał Szemajach.

Wiedzieliśmy, że nie znajdzie bandytów. Modliliśmy się, żeby ich nie znalazł. Nie poradziłby sobie z łotrami uzbrojonymi w miecze i sztylety. Przecież towarzysze, których wziął ze sobą, rekrutowali się spośród starców i schorowanych mężczyzn, którzy nie byli w stanie pójść nawet do Cezarei, by tam bronić swoich praw przed prokuratorem.

Szemajach wrócił jeszcze przed zmrokiem. Świadczył o tym tętent końskich kopyt, rzadko słyszany na naszej uliczce.

Moja matka i ciotki poszły do jego domu i błagały go, by pozwolił im zobaczyć się z Abigail. Nawet im nie otworzył drzwi.

Przez cały następny dzień nikt nie wchodził ani nie wychodził z domu Szemajacha. Rano zgromadzili się przed drzwiami robotnicy, których najmował do prac, ale po dłuższej chwili rozeszli się, nie otrzymawszy żadnych poleceń.

Podobnie było następnego dnia.

Tymczasem co kilka godzin nadchodziły wieści z Cezarei.

Trzeciego dnia od pojawienia się rabusiów w wiosce otrzymaliśmy list pisany ręką Jazona, który odczytano w synagodze i z którego dowiedzieliśmy się, że wszyscy przybyli do Cezarei Żydzi stanęli przed pałacem prokuratora, nie okazując wrogich zamiarów, i gotowi są tam stać bez końca.

Te słowa okazały się pociechą dla rabiego i dla wielu spośród nas. Inni natomiast zastanawiali się, co prokurator zrobi z tłumem, który nie chce opuścić dziedzińca przed jego pałacem.

W synagodze nie zjawił się Szemajach ani nikt z jego domu.

Dopiero następnego dnia o świcie ojciec Abigail wyszedł na pola. Ale kiedy kobiety pod jego nieobecność stuknęły w drzwi, nikt nie odpowiadał. Po południu z domu Szemajacha wymknęła się Cicha Anna.

Przyszła do nas i powiedziała na migi naszym kobietom, że Abigail leży na podłodze, że nic nie jadła ani nie piła. Potem zaraz pobiegła z powrotem, bojąc się, że Szemajach może wrócić i zobaczyć, że jej nie ma. Gdy tylko znalazła się w środku, znowu zaryglowano drzwi.

Dowiedziałem się o tym wszystkim, dopiero kiedy wróciłem z pracy w Seforis. Moja matka powiedziała mi, czego dowiedziała się od Cichej Anny.

W całym domu zapanowało przerażenie.

Józef i Bruria poszli razem do domu Szemajacha i zaczęli stukać do drzwi. Byli najstarsi i takim osobom w wiosce nikt nie powinien się sprzeciwiać. Jednak Szemajach nie otworzył drzwi i Bruria ostrożnie i powoli zaprowadziła Józefa z powrotem do naszego domu.

## X

Następnego ranka udaliśmy się wszyscy do rabiego: Jakub i ja, kobiety, które były przy strumieniu, dzieci, a także inni, którzy wszystko widzieli. Poszli z nami również stara Bruria i Józef, chociaż jemu ciężko było się wspinać. Poprosiliśmy rabiego o spotkanie, poszliśmy razem z nim do synagogi i zamknęliśmy za sobą drzwi.

W synagodze było czysto i cicho, a wpadające do środka promienie porannego słońca sprawiały wrażenie, jakby było w niej cieplej niż na dworze. Józefa posadzono na ławie, a rabbi zajął należne mu miejsce na krześle, na prawo od Józefa.

— Sprawa ma się tak — zacząłem, stając przed rabbim. — Abigail, nasza krewniaczka, nie została pohańbiona. Wszyscy tu obecni widzieli, co się stało. Widzieli, jak Abigail walczyła z napastnikiem i stawiała mu opór; widzieli, jak wypuścił ją i upadła na ziemię. Widzieli, jak ojciec zabrał ją do domu. Teraz mija już prawie tydzień, a z domu Szemajacha wychodzi i wchodzi do niego tylko Cicha Anna i mówi, tak jak umie, że Abigail nic nie je ani nie pije.

Rabbi skinął głową. Ubrany w zdobną szatę, siedział zgarbiony, a w jego oczach widać było smutek.

— Prosimy jedynie o to — mówiłem dalej — by jej kuzynki, obecne tutaj kobiety, mogły do niej pójść, aby ją pielęgnować i opatrzyć jej skaleczenia i rany, których doznała, gdy ten mężczyzna cisnął ją na ziemię. Prosimy, by Szemajach je do niej dopuścił. Aby dopilnowały tego, że coś zje i wypije, tak jak powinna. On tymczasem na to nie pozwala. Służące Szemajacha są już stare i zniedołężniałe. To Abigail się o nie troszczyła. W jaki sposób one miałyby zaopiekować się Abigail? Na pewno Abigail jest teraz przestraszona, płacze i cierpi w samotności.

— Wszystko to wiem — powiedział rabbi smutnym głosem. — Zdajecie sobie z tego sprawę. Jej ojciec ruszył w pogoń za złoczyńcami. Pojechał, aby unurzać swój zardzewiały miecz we krwi. Ale nie tylko on ucierpiał. Te łotry napadły także na Kanę. Tam nie porwali kobiety, za to grabili wszystko, co wpadło im w ręce. Ludzie króla na pewno ich dostaną. Wysłano już kohortę na wzgórze.

— Mniej nas obchodzi kohorta — odparłem. — Nam chodzi przede wszystkim o naszą krewną, Abigail.

— Rabbi, musisz zmusić Szemajacha, żeby nas wpuścił. Ta dziewczyna potrzebuje opieki. Może odchodzi od zmysłów!

— A co gorsza, już zaczynają gadać w wiosce — wtrąciła ciotka Estera.

— Co gadać? O czym ty mówisz? — spytał Jakub.

Moje ciotki spojrzały z oburzeniem na Jakuba, z twarzy mojej matki zaś można było wyczytać, że poruszyły ją słowa Estery.

— Gdybym nie musiała dzisiaj iść na targ, zostałabym w domu — powiedziała znacząco ciotka Estera. Mara, żona Jakuba, przytaknęła i stwierdziła, że uczyniłaby podobnie.

— O czym wy mówicie? — zapytał rabbi zmęczonym głosem. — Jakie gadanie?

— O wszystkim, co tylko ludzie lubią sobie wyobrażać — odparła ciotka Estera. — A czegoż innego tu się spodziewać? Ludzie mówią, że Abigail ciągle chodziła z głową w chmurach, że śpiewała dzieciom piosenki, że tańczyła i że w ten sposób zwracała na siebie uwagę. Piękna Abigail. Abigail obdarzona cudownym głosem. Że nie zadawała się z innymi. Ze zdjęła welon i pokazała włosy. I tak dalej, i tak dalej. Czy coś opuściłam? Nic z tego, nawet jedno słowo z tego,

co mówią, nie jest prawdą! Jest najmłodsza, najpiękniejsza. Na czym polega jej przestępstwo i kto tu zawinił?

Usiadłem na ławie nieopodal Józefa i podparłem głowę dłońmi. Podejrzewałem, że ludzie gadają, ale nie chciałem słuchać tego, co powtarza ciotka Estera. Miałem ochotę zatkać sobie uszy.

Moja matka odezwała się łagodnie:

— Szemajach ściąga hańbę na swój dom takim postępowaniem. Rabbi, proszę cię, idź do niego razem ze starą Brurią i porozmawiaj z nim! Niech się postara, żeby dziewczyna miała towarzystwo, i niech jej pozwoli odwiedzać nas tak jak przedtem.

— Was? — spytał rabbi. — Myślicie, że pozwoli jej przychodzić do waszego domu?

Wszyscy wpatrywali się w niego w milczeniu. Ja także uniosłem głowę i spojrzałem na rabbiego.

Jego twarz była smutna. Spoglądał w dal, zamyślony.

— A dlaczego nie? — spytała ciotka Estera.

— Jeszuo — odezwał się wreszcie rabbi. Wyprostował się na krześle i spojrzał na mnie łagodnym wzrokiem. — Co zrobiłeś przy strumieniu? Jak się zachowałeś wobec Abigail?

— O co ty w ogóle pytasz? — wtrącił się Jakub. — Przecież Jeszua nic nie zrobił! Podeszedł tylko do niej, żeby jej pomóc, tak jak postąpiłby brat! Dał jej swój płaszcz!

— Aha — mruknął rabbi.

— Czy ktoś twierdzi coś innego? — spytał zaczepnie Jakub.

— Czy ktoś coś rozpowiada? — dodała równie zdecydowanym tonem ciotka Estera.

— Czy masz jakieś wątpliwości? — spytała Bruria. — Jacimusie, nie myślisz chyba, że...

— Żadnych. Nie mam żadnych wątpliwości — odparł rabbi. — A więc pomogłeś jej wstać i podałeś płaszcz?

— Tak — potwierdziłem.

— Sam słyszałeś! — powiedziała Bruria.

— Po kolei, wszystko po kolei — rzekł rabbi. — Czy ma sens, aby faryzeusz szedł do kogoś, dla kogo nie liczą się ani faryzeusze, ani saduceusze, ani ktokolwiek, a jedynie ludzie jemu podobni, tacy, którzy na roli zakopują złoto? Jaki sens miałyby, gdybym poszedł do Szemajacha?

— Ale Abigail! To biedne dziecko zamknięte w czterech ścianach, sam na sam z człowiekiem, który nie potrafi sklecić trzech słów, chyba że w wielkim gniewie! — zaoponowała Bruria.

— Poczekajcie — odparł rabbi. — Musicie poczekać.

— Dziewczyna powinna już dawno wyjść! Trzeba się nią zająć, powinna wyjść z domu, odwiedzić krewnych, powinna spokojnie opowiedzieć o wszystkim najbliższym, potem powinna pójść do strumienia w towarzystwie swoich krewnych, wejść do wody i wyjść! Co to znaczy, że siedzi zamknięta, jakby nikt nie miał jej widzieć?

— Wszystko to wiem, Brurio — powiedział rabbi poważnym głosem. — Wiem także, że jesteście jej krewnymi.

— Ilu świadków trzeba? — spytał wuj Kleofas. — Przecież ta dziewczyna nic nie zrobiła! Nic się jej nie stało, poza tym, że ktoś chciał ją skrzywdzić, ale go powstrzymano.

— Świadkowie to kobiety i dzieci — stwierdził rabbi.

— Nieprawda! — zawołał Jakub. — Mój brat i ja widzieliśmy wszystko. Mój brat... — Przerwał w pół słowa i spojrzał na mnie znacząco.

Podniosłem wzrok. Nie musiałem nic mówić. Rozumiał wszystko.

— Nie przerywaj! Mów do końca, cokolwiek masz do powiedzenia — poprosiła Bruria, spoglądając najpierw na mnie, potem na Jakuba, wreszcie na rabbiego. — Powiedz to głośno.

— Jeszuo... — zaczął rabbi — gdybyś wtedy nie podeszedł do Abigail i jej nie objął...

— Ależ rabbi — zaproponował Jakub. — To chore! Postąpił w sposób naturalny. Zrobił to, co należało.

Moja matka pokręciła z niedowierzaniem głową.

— Przecież jesteśmy rodziną — wyszeptwała.

— Wiem o tym — odparł rabbi. — Ale ów człowiek, Szemajach, nie jest waszą rodziną. Jego żona jest waszą krewną, podobnie jak jego córka. Ale ten mężczyzna nie jest waszym krewniakiem i nie odznacza się zbyt subtelnym rozumem.

— Nie pojmuję tego, po prostu nie pojmuję — odezwał się Jakub. — Miej dla mnie wyrozumiałość, rabbi, ale czy chcesz powiedzieć, że ten człowiek sądzi, że mój brat pohańbił Abigail?

— Tego nie chcę powiedzieć. Jednak na zbyt dużo sobie pozwolił...

— Na zbyt dużo sobie pozwolił?! — krzyknął Jakub.

— Ja tak nie uważam — ciągnął dalej spokojnie rabbi. — Tłumaczę wam jedynie, dlaczego ten człowiek nie chce was wpuścić, a ponieważ jesteście krewnymi Abigail, i to jedynymi krewnymi w Nazarecie, powiadam wam, byście zaczekali, ponieważ możecie jedynie czekać, aż Szemajach zmieni zdanie.

— A co z jej krewnymi mieszkającymi gdzie indziej? — spytała Bruria.

— Cóż my możemy zrobić? — spytał głośno samego siebie i nas rabbi. — Czy napiszemy do jej krewnych w Betanii? Do domu Józefa Kajfasza? Zanim list do nich dotrze, minie wiele dni, a poza tym najwyższy kapłan i jego rodzina mają ważniejsze sprawy na głowie niż to, co się dzieje w Nazarecie, czy muszę wam o tym przypominać? A poza tym, co mogą tu pomóc jej krewni z Betanii?

Ze słów rabbiego przebijał spokój i rozsądek. Józef siedział z przymkniętymi oczyma i sprawiał wrażenie, jakby spał. Bruria mówiła cały czas, jakby cała ta sprawa była dla niej jak węzeł, który da się rozsupłać, jeśli tylko człowiek będzie miał dość cierpliwości.

Słyszałem ich głosy, ale dochodziły one do mnie jakby przez ścianę. Siedziałem na ławie, wpatrywałem się w drobinki kurzu tańczące w promieniach słońca wpadających do synagogi i myślałem tylko o jednym: zhańbiłem Abigail. Swoim postępowaniem przyczyniłem jej jedynie jeszcze większego cierpienia. Napadnięto ją i zawstydzono, a ja pogorszyłem sytuację. Ja, nikt inny. Należało coś zrobić.

Podniosłem się z ławy i poprosiłem wszystkich o ciszę.

— Słuchamy, Jezuo, co chcesz nam powiedzieć? — zwrócił się do mnie rabbi.

— Wiecie, że jestem gotów pójść i przeprosić Szemajacha — zacząłem — ale on nigdy się na to nie zgodzi.

— To prawda.

— Mógłbym tam pójść z moim ojcem i on także by go błagał, ale ten człowiek nie pozwoli nam nawet przestąpić progu swego domu.

— To prawda.

— Ale mówiłeś o krewnych. Krewnych w innych miastach i wioskach.

— Tak.

— Jeśli chodzi o krewnych jej matki, a więc z naszej strony, to mamy kuzynów w Seforis. Ale mam na myśli kuzynów z Kany, których znasz bardzo dobrze. Hananel z Kany to twój stary przyjaciel. On pierwszy przychodzi mi do głowy, ale są jeszcze inni. Hananel ma dar przekonywania i potrafi mówić.

Wszyscy przytaknęli moim słowom. Każdy znał Hananela.

Mówiłem dalej do rabbiego:



— Dobrych kilka lat temu kładliśmy marmurową posadzkę w jego domu. W czasie wielu pielgrzymek do Jerozolimy, na święto, nieraz z nim rozmawiałem, podobnie jak ty.

— Tak, pamiętam. Ostatni raz, kiedy szliśmy razem, Hananel nazwał mojego siostrzeńca Jazona utrapięncem i przeklętym człowiekiem, mam rację?

— Nie mówię tego w związku z Jazonem, rabbi — odparłem. — Chodzi mi o Abigail. Hananel jest już stary i pewnie przebywa w domu. Gdyby poszedł do Cezarei z innymi, dowiedzielibyśmy się o tym, ale nikt o tym nie mówił. On dobrze zna całą rodzinę matki Abigail i sam jest bardziej spokrewniony z nią niż ktokolwiek z nas.

— Prawda — wtrącił Jakub — ale to stary człowiek, który mieszka sam, bez synów, a jego wnuk wędruje gdzieś po świecie, Niebo jedynie wie gdzie. Co możemy zrobić?

— Hananel może pójść do Szemajacha i przemówić mu do rozumu. Może napisać do krewnych Abigail w Galilei i Judei, których nie znamy, i spróbować wysłać ją do któregoś z nich. Przecież ona nie może się zagłodzić na śmierć w tej wiosce! Tego nie możemy tolerować. Może się udać do krewnych w Seforis, w Kafarnaum lub w Jerozolimie. Hananel z pewnością ich zna. Jest uczonym w Piśmie i sędzią. Może przemawiać tam, gdzie nas nikt nie będzie chciał słuchać.

— To może być jakieś wyjście — zamruczał pod nosem rabbi.

— Pójdę do niego — powiedziałem. — Wyjaśnię mu, co się stało. Wyłożę przed nim całą rzecz tak, jak to widziałem, i powiem o moim niezręcznym zachowaniu. Na pewno zrozumie.

— Jeszuo, jesteś dzielny jak Daniel, skoro wkładasz głowę w paszczę lwa — powiedział rabbi — pamiętaj jednak...

— Pójdę do Hananela — nie dałem mu dokończyć. — Droga do Kany nie zajmie mi więcej niż godzinę. Co może mi zrobić? Najwyżej odprawi mnie z kwitkiem.

— Ma ostry język, Jeszuo. Szemajach to przy nim sam miód i słodycz. Hananel nic nie robi, tylko uskarża się na wnuka, który włóczy się po świecie, i obwinia o to i o wszystko inne Jazona. Mówi, że to wina Jazona, że jego wnuk rozprawia teraz z poganami o Bogu w jakimś portyku w Atenach.

— Nie boję się tego, rabbi — odparłem. — Może mnie obrzucić wyzwiskami. Wiem, że ma cięty język, jest nieustraszony i nie ma cierpliwości do ludzi takich jak Szemajach. Ale myślę, że przede wszystkim przypomni sobie o swojej kuzynce Abigail.

Józef podniósł dłoń.

— Głowę dam, że przypomni sobie o swojej kuzynce Abigail — odezwał się cichym głosem. — My, starzy — zaczął i przerwał, jak gdyby zapomniał, co chciał powiedzieć, po czym spojrzął w dal niewidzącymi oczyma. — Przyglądamy się młodym w czasie pielgrzymek, strzegąc ich niczym stadka kurcząt, by się nie rozpierchły. Widziałem go, jak wiele razy uśmiechał się do niej. Kiedy dziewczęta zaczynały śpiewać, słuchał tylko Abigail. Widziałem to. A któregoś razu, kiedy siedzieliśmy w ostatni dzień święta na dziedzińcu Świątyni i piliśmy wino, zwierzył mi się, że słyszał jej głos we śnie. Wszystko to było nie tak dawno temu. Może przed dwoma laty.

Dokładnie to samo widziałem i ja.

— W takim razie pójdę — powiedziałem. — Poproszę Hananela, żeby znalazł dom dla Abigail, daleko od Nazaretu, gdzie się o nią zatroszczą i gdzie będzie mogła odpocząć.

Józef spojrzął na mnie.

— Bądź ostrożny, synu. Hananel będzie miły i dobry dla Abigail, ale nie dla ciebie. Będzie próbował wziąć cię na haczyk, będzie się starał rozżłościć cię swymi argumentami i zapędzić w kozł róg pytaniami. Nie ma nic innego do roboty w swojej bibliotece. I nieustannie cierpi z powodu utraty wnuka, chociaż sam wypędził tego chłopca.

— Daj mi zatem jakiś oręż na drogę, mój panie — powiedziałem nieśmiało do rabiego.

— Będiesz wiedział, co powie — odparł rabbi. — Wyjaśnisz Hananelowi wszystko tak jak nam tutaj. Tylko nie pozwól się wyprosić za drzwi. Gdybym poszedł z tobą, natychmiast doszłoby między nami do kłótni.

— Poproś go, żeby napisał list do tej rodziny, która będzie najlepsza dla Abigail — powiedział Józef. — A kiedy wszystko będzie już ustalone, kiedy znajdzie dla niej miejsce, niech on sam przyjdzie do Nazaretu. Niech tu przyjdzie, a wtedy i rabbi, i ja pójdziemy z nim do Szemajacha.

— Racja — przytaknął rabbi. — Przed Hananelem nie może zamknąć drzwi.

— Hananel! Umie tylko obrażać innych! — burknął pod nosem Jakub. — Kiedy pracowałem przy jego domu, powiedział mi, że gdyby tylko mógł, przeniósłby Kanę, kamień po kamieniu, w inne miejsce, byle dalej od Nazaretu.

Rabbi się roześmiał.

— Może w takim razie będzie dumny z tego, że udało mu się wyrwać ukochane dziecko z tego okropnego miejsca — wtrąciła Bruria.

Józef uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo do Brurii. Potem spojrzał na mnie i wyszeptał:

— Być może tędy wiedzie droga do serca tego człowieka...

Wyszedłem z synagogi, a pozostali za mną. Na drogę do Kany potrzebowałem lepszych sandałów i świeżego ubrania. Kana nie leżała daleko, ale zimą wiały dokuczliwe wiatry.

Kiedy się przebrałem i byłem już gotowy do drogi, matka, na oczach moich braci przygotowujących się do kolejnego dnia pracy, wzięła mnie na bok i powiedziała:

— Posłuchaj jeszcze raz. To, co zrobiłeś przy strumieniu, było właściwe. Nigdy nie sądz, że postąpiłeś wówczas źle.

Skinąłem głową.

— Chodzi o to, że Abigail... Abigail prosiła ojca, podobnie jak nas... Prosiła ojca, żeby spojrzał na ciebie łaskawie. To było jeszcze, nim rozmawiała o tym z nami i zanim powiedzieliśmy jej, że nic z tego nie będzie.

— Rozumiem.

— Czy cię zraniłam?

— Nie, wszystko rozumiem. To był dla niego podwójny wstyd.

— Zgadza się. A poza tym ten człowiek nie jest ani mądry, ani cierpliwy.

A co z nią, co z moją Abigail? Co się z nią dzieje w tej właśnie chwili, gdy słońce rozświetla swymi promieniami gwarne miasto, a ona siedzi zamknięta w mrocznej izbie?

Wziąłem do ręki laskę, dla lepszego samopoczucia, i ruszyłem do Kany.

## XI

W Izraelu byli skrybowie i uczeni w Piśmie. Ci pierwsi, których można było znaleźć w każdej wiosce, spisywali kontrakty ślubne, akty sprzedaży, prośby o posłuchanie na dworze u króla lub przed Sanhedrynem w Jerozolimie. Skryba pisał listy dla każdego, kto mu za to zapłacił, i czytał na głos adresatom, którzy nie posiadli sztuki czytania, upewniając się, że rozumieją. Wśród naszego ludu niemal wszyscy umieli czytać, jednak pisanie wymagało umiejętności i doświadczenia. Dlatego mieliśmy skrybów. W Nazarecie było ich trzech lub czterech.

Byli też uczeni w Piśmie, którzy studiowali Prawo i spędzali całe życie w bibliotekach Świątyni, znali tradycje faryzeuszów i byli w stanie podjąć dysputę z esseńczykami, gdy ci krytykowali Świątynię lub zasadność kapłaństwa; dawali też pouczenia chłopcom przybywającym do Świątyni, by uczyć się wszystkiego, co zawarte było w Prawie, u Proroków oraz w Psalmach, a także w setkach innych pism.

Takim właśnie uczonym w Piśmie był Hananel. Młodzieńcze lata spędził w Świątyni i przez wiele lat był sędzią w trybunałach, które rozstrzygały wiele spraw, od Kafarnaum po Seforis.

Teraz jednak był za stary na to, by być sędzią. Już dawno temu przygotował się na taki dzień i dlatego zbudował dla siebie największy i najpiękniejszy dom w Kanie. Dom był ogromny, ponieważ musiał pomieścić wszystkie jego księgi, których liczba szła w tysiące. Kiedyś były w nim także pokoje dla jego synów i córek. Dzieci jednak już dawno pomarły, zostawiając go samego na tym świecie, i tylko czasami przychodziły do niego listy od wnuczki, która mieszkała w Jerozolimie, oraz od wnuka (czy na pewno od niego — tego nikt nie wiedział), który opuścił dom dziadka w strasznym gniewie przed dwoma laty, nie godząc się z panującymi w nim regułami.

Jakub, Mały Józef, Mały Szymon, Mały Juda, moi kuzyni i bratankowie oraz ja — wszyscy budowaliśmy dom Hananela. Były to radosne dni. Kładliśmy posadzki ze wspaniałego marmuru i malowaliśmy ściany w bogatych kolorach czerwieni i błękitu, a przy suficie malowaliśmy zdobne pasy z motywem kwiatów i wijącego się bluszczu.

Dom był przestronny, zaprojektowany na grecką modłę, z wewnętrznym dziedzińcem, na który wychodziły pokoje, zapewniając tym samym doskonale miejsce do spotkań i rozmów dla znakomitych gości Hananela. Odwiedzali go wysoko urodzeni mężczyźni z Galilei, uczeni z Aleksandrii, faryzeusze i uczeni w Piśmie z Babilonu. Przez wiele lat przez dom przewinęło się mnóstwo osób i czymś zwyczajnym byli w nim podróżni, którzy przybywali w gościnę do Hananela, przynosząc dla niego księgi, po czym siadywali w ogrodach lub pokojach o pięknie malowanych sufitach i rozmawiali z gospodarzem o tym, co się dzieje na świecie, lub o zawiłościach Prawa, o czym tak bardzo lubią dyskutować mężczyźni, kiedy zbiorą się razem.

Kiedy jednak śmierć zabrała większość domowników, kiedy wnuczka w Jerozolimie została bezdzietną wdową i musiała zamieszkać z rodziną męża, dom Hananela opustoszał, a starca zaczynała otaczać coraz większa cisza.

Dom zaś trwał — świadectwo życia, jakie mogło się stać udziałem Hananela, chociaż nigdy się nie stało; lśniąca w słońcu, położona na wzgórzu forteca górująca nad garstką lepianek, z których składała się Kana.

Stojąc przy kutej bramie, którą zamocowałem razem z braćmi, spojrzałem wokół, na ziemię należącą do Hananela. Wszystko, dokąd sięgał wzrok, należało do niego. A za jego polami, wokół Nazaretu, rozciągała się ziemia Szemajacha.

Bardzo wielu mieszkańców okolicznych miast pracowało na tych polach, orząc, troszcząc się o sady, trudząc się w winnicach. Jednak największym powodem do dumy dla Szemajacha i Hananela były gaje oliwne. Było ich bez liku, a obok każdego znajdowała się mykwa, gdzie ludzie kapali się przed zbiorami, ponieważ oliwa z oliwek musiała być czysta, jeśli miała się znaleźć w Świątyni i trafić potem do pobożnych Żydów z Galilei, Judei i wielu miast cesarstwa.

Od czasu do czasu do Hananela przychodzili uczniowie, ale powiadano, że jako nauczyciel nie ma cierpliwości.

Gdy wszedłem do domu, ujrzałem jednego z uczniów, młodego Natanaela, siedzącego u stóp Hananela w sali, gdzie przyjmował gości, po drugiej stronie dziedzińca. Niewiele wiedziałem o Natanaelu poza tym, że widywałem go od czasu do czasu na pielgrzymkach.

Siedząc w pewnym oddaleniu, widziałem bardzo dobrze ich obu. Niewolnik Hananela obmył mi stopy, a ja napiłem się wody z wapiennego kubka i oddałem mu go z wdzięcznością.

— Uważaj, Jeszuo — ostrzegł mnie cicho niewolnik. — Mój pan dzisiaj kipi ze złości. Nie wiem, dlaczego posłał po ciebie, ale miej się na baczności.

— Nie posłał po mnie, przyjacielu. Idź, proszę, do niego i powiedz mu, że muszę się z nim rozmówić. Będę czekał tak długo, jak to będzie konieczne.

Niewolnik odszedł, kręcąc z niedowierzaniem głową, a ja siedziałem, radując się ciepłymi promieniami słońca wpadającymi przez drewnianą kratownicę nad drzwiami. Mozaika na dziedzińcu była naszym dziełem i mogliśmy być z niego dumni. Przyglądałem się jej przez chwilę, a następnie przeniósłem wzrok na drzewa w donicach odbijające się w sadzawce znajdującej się na samym środku dziedzińca.

Ścian ani posadzek nie zdobiły pogańskie nimfy ani greccy bogowie. Nie było dla nich miejsca w domu pobożnego Żyda. Tylko to, na co zezwalało Prawo: okręgi, różne zakrętasy, lilie, wszystko, co tak starannie ułożyliśmy, by stworzyć piękny i symetryczny wzór.

Dziedziniec nie był zadaszony i gdy zadarłem głowę, widziałem niebo, z którego od dawna nie spadła ani kropla deszczu, za to unosiły się tumany kurzu i pyłu. Było zimno. Przez chwilę można było zapomnieć o suszy, przyglądać się błyszczącej wodzie w sadzawce, owocom lśniącym na drzewach, spryskanych wodą przez pracowitego niewolnika, i poddać się złudzeniu, że świat na zewnątrz nie usycha i nie umiera z pragnienia. Można było nie myśleć o tym, że młodzi ludzie wciąż płyną szerokim strumieniem do Cezarei.

Słońce ogrzało ściany i posadzki, było tu ciepło i przytulnie. Siedząc w cieniu, czułem, jak ciepło rozlewa się przyjemnie po moich dłoniach i ogarnia stopy.

Wreszcie Natanael wstał i wyszedł, nawet mnie nie spostrzegłszy. Brama za nim zamknęła się z delikatnym stukiem.

Odmówiłem po cichu modlitwę i podążyłem za niewolnikiem, który poprowadził mnie do biblioteki przez mały gaj obficie podlanych figowców i palm.

Przygotowano tam dla mnie zydel. Prosty, składany stołek z siedziskiem ze skóry i ramą z polerowanego drewna, pięknie zdobiony i bardzo wygodny.

Ja jednak nie usiadłem na nim, lecz stałem.

Stary Hananel siedział przy swoim stole, na rzymskim krześle o skrzyżowanych nogach, tyłem do drewnianej kratownicy. Na posadzce leżały jedwabne poduszki i kobierce z Babilonu, przed gospodarzem piętrzyły się zwoje i pęczniały od nich także stojące wokół półki, które zakrywały całe ściany. Na stole znajdował się atrament, kilka piór, skrawki papirusu i woskowa tabliczka. Były także kodeksy: dziwne księgi z pergaminowymi kartami, pociętymi i związanymi, które Rzymianie zwali *membrane*.

Słońce prześwitywało przez gęstą, drewnianą kratownicę, o którą ocierały się liście palm.

Stary Hananel już zupełnie wyłysiał, a jego oczy były szare i pozbawione blasku. Widać było, że jest mu zimno, chociaż piecyk załadowany był drewnem i wokół rozchodziło się ciepło; w powietrzu czuć było także woń cedru.

— Podejdz bliżej — zwrócił się do mnie gospodarz. Zrobiłem, jak kazał, i skłoniłem się przed nim.

— Jeszua bar Józef — powiedziałem — z Nazaretu, przybyłem, aby spotkać się z tobą, mój panie. Jestem wdzięczny, że zechciałeś mnie przyjąć.

— Czego chcesz? — rzucił ostrym tonem. — Powiedzże, nie zwlekaj!

— Przychodzę w sprawie naszego wspólnego krewnego, panie — odparłem. — Szemajacha bar Hyrkanusa i jego córki Abigail.

Usiadł głębiej w krześle, a właściwie powinienem powiedzieć, zapadł się w derki, którymi był opatulony. Spojrzał w dal, ponad moją głowę, po czym jeszcze mocniej owinął się derką.

— Jakie masz wieści z Cezarei? — spytał.

— Nie mam żadnych wieści, o których ty byś nie wiedział tutaj, w Kanie. Żydzi zgromadzili się tłumnie przed pałacem Piłata. To stało się już wiele dni temu. Piłat natomiast nie chce wyjść i do nich przemówić. To ostatnie wieści, jakie słyszałem przed opuszczeniem Nazaretu.

— Nazaret — powtórzył ze złością. — Gdzie kamieniuje się dzieci na podstawie bzdur, które naplotły inne dzieci.

Schyliłem głowę.

— Jeszuo, usiądź na zydlu. Nie stój przede mną jak sługa. Przecież nie przyszedłeś tutaj naprawić posadzki, prawda? Przybyłeś w sprawie naszych rodzin.

Usiadłem na zydlu, jak mi kazał Hananel. Dzieliły nas może cztery kroki. Spoglądał na mnie z góry, siedząc na kilku poduszkach, i widziałem wyraźnie jego wychudłe dłonie obciążone suchą skórą oraz pociągłą twarz.

Tu, przy piecyku, było tak gorąco, że niemal kręciło mi się w głowie. Na twarzy i głowie czułem także ciepłe promienie słońca.

— Mój panie, zjawiam się tutaj z przykrą misją — zacząłem.

— Ten głupiec Jazon — przerwał mi Hananel — bratanek Jacimusa, też jest w Cezarei?

— Tak, panie — odparłem.

— Przysłał już jakiś list?

— Przyszły tylko te wieści, które ci przekazałem, panie. Rozmawiałem z naszym rabbim dzisiaj rano.

Zapadła cisza. Oczekałem długą chwilę, wreszcie powiedziałem:

— Mój panie, co chciałbyś wiedzieć?

— Tylko to, czy Jazon miał jakieś wiadomości od mojego wnuka Rubena. Czy mówił cokolwiek o moim wnuku. Nie będę się przecież zniżał do tego, by takiego łotra pytać o te rzeczy, ciebie jednak zapytam w zaufaniu, ponieważ przebywasz pod moim dachem, w moim domu. Czy ten niespokojny duch, który dał się uwieść Grekom, pisze cośkolwiek o moim wnuku Rubenie?

— Nie, mój panie. Wiem, że pozostawali w przyjaźni. To wszystko, co wiem.

— A mój wnuk tymczasem być może właśnie dzisiaj żeni się w Rzymie, Antiochii lub w jakimś innym mieście z obcą kobietą, tylko po to, by zrobić mi na złość. — Opuścił głowę na piersi. Zachowywał się teraz inaczej niż przed chwilą. Miałem wrażenie, jakby przestał być świadomy mojej obecności lub też było mu zupełnie obojętne, czy ktoś jest teraz obok niego i kim jest ta osoba. — Sam to na siebie sprowadziłem — mówił dalej, bardziej do siebie niż do mnie. — Sam oddzieliłem się od niego morzem, położyłem świat cały między mnie a kobietę, którą poślubi, i owoc jej łona. Ja to uczyniłem.

Czekałem w milczeniu.

Wreszcie Hananel odwrócił się i spojrział na mnie tak, jakby budził się z głębokiego snu.

— Więc przyszedłeś do mnie pomówić o tej biednej dziewczynie, Abigail, tym dziecku, które bandyci porwali na konia i śmiertelnie przestraszyli?

— Tak, mój panie — odparłem.

— Dlaczego? Dlaczego przychodzisz z tym do mnie i dlaczego właśnie ty? I co chcesz, abym uczynił? Czy sądzisz, że moje serce nie płacze z powodu tej dziewczyny? Można tylko żałować człowieka, który ma córkę o takiej urodzie, o takim dźwięcznym śmiechu, obdarzoną darem pięknego śpiewu i przemawiania. W czasie kolejnych pielgrzymek do Jerozolimy widziałem, jak z każdym rokiem ta dziewczyna rośnie i dojrzewa. Dobrze więc, czego w takim razie chcesz ode mnie?

— Przepraszam, panie, że zadaję ci ból i cierpienie, ale...

— Och, przestań już i mów wreszcie! Dlaczego tu przyszedłeś, Jezu bezgrzeszny?

— Mój panie, ta dziewczyna umiera w swoim domu. Nie przyjmuje jedzenia, nie pije. Nie została pohańbiona, jeśli nie liczyć zniewagi, jakiej doznali ona i jej ojciec z powodu tego, co się stało.

— Stary głupiec! — rzucił z odrazą Hananel. — Posyłać po położną dla własnej córki! Nie wierzyć własnej córce!

Znowu czekałem w milczeniu.

— Czy wiesz, dlaczego mój wnuk Ruben wyjechał do Rzymu, Jezu bar Józefie? Czy ten szalony Jazon kiedyś ci może powiedział?

— Nie, mój panie, nigdy mi o tym nie wspomiano...

— Ale przecież wiedziałeś, że wyjechał, i to na dobre.

— To prawda, ale nie wiedziałem dlaczego.

— Ponieważ chciał się żenić — powiedział starzec, a jego oczy zaszkliły się. Odwrócił głowę. — Chciał się żenić, ale nie chciał wejść do bogatej rodziny w Jerozolimie, którą specjalnie dla niego wybrałem i którą mu wskazałem, lecz chciał poślubić dziewczynę ze wsi. Śliczną, wiejską dziewczynę. Abigail.

Spuściłem wzrok, nadal siedząc nieruchomo. Znowu czekałem, aż skończy mówić.

— Nie wiedziałeś o tym?

— Nie, mój panie. Nikt mi nie powiedział. Być może nikt nie wie.

— Och, wszyscy dobrze wiedzą — odparł Hananel. — Jacimus na pewno wie.

— Jesteś pewien?

— Ależ oczywiście! Wie teraz i wiedział wtedy, a tymczasem mój wnuk, zupełnie sam, bez mojego błogosławieństwa, udał się do Szemajacha, gdy ta dziewczyna miała nie więcej niż trzynaście lat. — Spojrzał niewidzącymi oczyma. — A wówczas ja powiedziałem: „Nie. Nie poślubisz takiej młodej dziewczyny, dziecka jeszcze, a na pewno nie z Nazaretu. Nie obchodzi mnie, że jej ojciec jest bogaty, jej matka była bogata, że ona jest bogata. To mnie nie obchodzi. Poślubisz dziewczynę wybraną przeze mnie spośród naszych krewnych w Jerozolimie”. A teraz to! Przychodzisz do mnie, by mi o tym wszystkim opowiedzieć.

Jego oczy spoczęły na mnie i spoglądał tak, jakby ujrzał mnie pierwszy raz w życiu. Nie odwracałem wzroku.

— Widzę, że wciąż odgrywasz rolę wioskowego głupca — stwierdził. Wpatrywał się we mnie, jakby chciał utrwalić w pamięci rysy mojej twarzy.

— Mój panie, napisz, proszę, list w sprawie Abigail do naszych krewnych w Jerozolimie lub Seforis, lub do kogokolwiek, kto mógłby ją przyjąć do siebie i zapewnić jej dom. Ta dziewczyna

jest całkowicie bez winy. Jest mądra, miła w obejściu i łagodnego usposobienia. I na dodatek bardzo skromna.

Hananel słuchał całkowicie zaskoczony, wreszcie roześmiał się.

— Na jakiej podstawie sądzisz, że Szemajach w ogóle ją wypuści?

— Mój panie, jeśli napiszesz list, w którym opiszesz całą sprawę, i jeśli ty sam, sędzia Hananel, pójdziesz z nami, naszym rabbim i moim ojcem Józefem, na pewno uda nam się sprawić, że Abigail cała i zdrowa opuści dom swego ojca i przeniesie się do jakiejś rodziny z dala od Nazaretu. Nikt nie może sprzeciwić się rabbiemu z Nazaretu. On sam nie może wystąpić przeciwko starszym w wiosce. Nie jest także łatwo sprzeciwiać się Hananelowi z Kany, niezależnie od tego, co się wydarzyło wcześniej, a nie sądzę, by Szemajach wiedział cokolwiek o zamiarach twojego wnuka i o tym, co zaszło między tobą a nim.

— Ależ on był za tym małżeństwem — padła natychmiastowa odpowiedź. — Był za nim aż do chwili, kiedy mój wnuk przyznał się, że nie otrzymał ani mojej zgody, ani błogosławieństwa.

— Panie mój, ktoś musi coś zrobić, by ocalić to dziecko. Ona umiera.

Podniosłem się z zydła i mówiłem dalej:

— Powiedz mi tylko, do kogo mam się udać, do jakich krewnych w Seforis! Daj mi list polecający! Powiedz, który dom. Pójdę tam.

— Nie udawaj świętego oburzenia — odparł z kpina w głosie Hananel. — Usiądź, uspokój się. Znajdę dla niej dobre miejsce. Znam nawet niejedno.

Westchnąłem z ulgą i wymruczałem pod nosem dziękczynną modlitwę.

— Lepiej powiedz mi, pobożny — zaczął Hananel — dlaczego sam nie poprosiłeś o jej rękę? Tylko mi nie mów, że jest zbyt dobra dla cieśli. Teraz to ona nie jest już dobra dla nikogo.

— To nieprawda! Jest bez winy!

— Lepiej powiedz mi, dziecko, synu Miriam, córki Joachima i Anny, powiedz mi, bo zawsze chciałem to wiedzieć. Czy tam, pod szatą, jesteś mężczyzną? Wiesz, co mam na myśli?

Wpatrywałem się w niego bez słowa. Czulem, jak na twarz wypływa mi rumieniec. Czulem, jak moje ciało dygoce, jednak nie do tego stopnia, by było to widoczne dla starca. Mimo to wytrzymałem jego spojrzenie.

— Czy jesteś mężczyzną jak inni? — naciskał. — Dobrze wiesz, dlaczego pytam. Rzecz nie w tym, że jeszcze się nie ożeniłeś. Prorok Jeremiasz także się nie ożenił. Jeśli jednak pamięć mnie nie zawodzi, a ona nigdy mnie nie zawodzi, wierz mi, pamiętam, jak rozmawiałem w tym mieście, chociaż nie w tym domu, lecz w innym, z twoim dziadkiem Joachimem, i jeśli mnie pamięć nie myli, a jak dotąd nigdy się tak nie stało, anioł, który obwieścił twoje narodziny twojej przerażonej matce, kiedy była jeszcze dziewczyną, nie był zwykłym aniołem strąconym z niebieskiego dworu, lecz był to sam anioł Gabriel.

Milczałem. Hananel wpatrywał się we mnie, a ja w niego.

— Gabriel — powtórzył. Zadarł podbródek i zmarszczył brwi. — Sam Gabriel... Przybył, by rozmawiać z twoją matką, nie z nikim innym, jeśli nie liczyć oczywiście proroka Daniela.

Moje policzki płonęły. Żar rozsadał mi pierś. Czulem gorąco w koniuszkach palców.

— Wyciskasz mnie, panie, niczym winorośl w tłoczni. — *A ja dobrze wiem, że jeśli ktoś zwraca się do mnie w ten sposób, bywa, że mówię dziwne rzeczy, które nawet nie przychodzą mi na myśl w mojej codziennej pracy. Myśli, które nie pojawiają się nigdy w mojej głowie, ani kiedy jestem sam, ani kiedy śnię.*

— Masz absolutną rację. Robię to, ponieważ tobą pogardzam.

— Tak mi się właśnie wydaje, mój panie.

— Dlaczego nie zerwiesz się na równe nogi, jak przed chwilą?

— Zostanę, bo wiem, że chcesz mnie posłać. Zaśmiał się z nieskrywaną satysfakcją. Kręcił młynka palcami i rozglądał się dokoła, ale jego wzrok nie zatrzymał się ani na stosach zwojów, ani na kratownicach oplecionych zielonymi liśćmi, przez które przesączały się promyki słońca, ani na plamach światła na marmurowej posadzce, ani na strużce dymu o słodkim zapachu unoszącej się znad piecyka.

*Jaką trzeba zapłacić cenę, by wykupić z niewoli Abigail?*

— Na pewno kochasz to dziecko, prawda? — spytał. — Albo ją kochasz, albo rzeczywiście jesteś głupcem, jak twierdzą ludzie, ale tylko niektórzy, dodajmy od razu.

— Co musimy zrobić, by jej pomóc?

— Nie chcesz wiedzieć, czemu tobą pogardzam?

— Czy życzysz sobie, abym to wiedział?

— Znam wszystkie historie o tobie, i te dzisiejsze, i te dawne.

— Tak przypuszczam.

— Wiem o dziwnych wydarzeniach towarzyszących twoim narodzinom, o tym, jak twoja rodzina musiała uciekać do Egiptu, o rzezi niemowląt w Betlejem, której dokonał szaleniec zwący się naszym królem, i o tym, co potrafisz.

— Co potrafisz? Potrafię położyć marmurową posadzkę — odparłem. — Jestem cieślą i umiem robić to, co cieśle.

— Właśnie — rzekł. — I dlatego mam cię za nic. Tak samo myślałby na moim miejscu każdy, kto pamiętałby to wszystko, co ja. — Podniósł palec, jakby mnie pouczał. — Narodziny Samsona też zostały przepowiedziane. Nie przez Gabriela, lecz bez wątpienia przez anioła. A Samson był mężczyzną. Wszyscy znamy jego wspaniałe czyny i powtarzamy wieść o nich z pokolenia na pokolenie. A gdzie twoje czyny? Gdzie stosy martwych wrogów, których pokonałeś, gdzie ruiny pogańskich świątyń, które zburzyłeś mocą twego ramienia?

Żar w moim wnętrzu oslepił mnie. Zerwałem się na równe nogi, przewracając zydel. Stałem przed Hananelem, lecz nie widziałem go, podobnie jak niczego wokół siebie.

Miałem wrażenie, jakbym przypominał sobie coś, o czym zapomniałem i co pozostawało całe moje życie w niepamięci. Nie było to jednak wspomnienie jakiegoś przeszłego wydarzenia. Nie, było to coś całkiem innego.

*Pogańskie świątynie, gdzie są twoje pogańskie świątynie?* Widziałem świątynie, w nieokreślonym miejscu i czasie, słyszałem, jak wał się w gruzy i tracą swój kształt, jak zmienia się światło wokół nich i rozchodzi podmuch powietrza, słyszałem, jak upadają z hukiem kolumny, wzbijając tumany pyłu, które zasłaniają niebo, tak że wygląda, jakby się miało na burzę, i takie niebo trwa bez końca, ogłuszający huk zaś i upadek potężnych budowli przepływają przez moją świadomość niczym niestrudzone morskie fale.

Zamknąłem oczy. Jasny obraz w mojej głowie zakłóciły wspomnienia. Przypomniało mi się dzieciństwo w Aleksandrii, procesje ku czci pogańskich bóstw zmierzające w stronę świątyń, w czasie których rzucano płatki róż, uderzano w bębenki i potrząsano sistrum. Słyszałem śpiew kobiet i widziałem złoty posąg bóstwa płynącego pod kołyszącym się baldachimem, a wówczas wrócił do mnie poprzedni obraz, zawładnął moją pamięcią i przeobraził się w wizję potężną i nieokreśloną, tak że miałem wrażenie, jakby cały świat zatrząsł się w posadach, a góry otaczające ogromne morze zaczęły się rozsypywać, plując ogniem, i upadały ołtarze, roztrzaskując się na kawałki.

Wszystko to nagle zniknęło i znów byłem w bibliotece Hananela.

Rozejrzałem się dokoła, a potem spojrzałem na starca. Był wychudły, sama skóra i kości. W jego twarzy nie dostrzegałem złości. Sprawiał wrażenie kruchej i przypominał lilie umieszczoną zbyt blisko piecyka, był podobny do uschłej rośliny, która zaraz spłonie w ogniu.



Pojawiła się we mnie bolesna i dojmująca świadomość jego budzącego litość położenia, lat, które spędził w samotności, dręczony smutkiem z powodu utraty najbliższych oraz lękiem, że zawodzi go wzrok, że palce nie są już tak sprawne, że opuszcza go rozum i odchodzi nadzieja.

*To nie do zniesienia.*

Do moich uszu doszedł dziwny szum. Dobiegał z każdego miejsca biblioteki, spoza domu, ze wszystkich izb i wszystkich sal domów i pałaców — to głos słabych i wątłych, chorych i zmęczonych, cierpiących i zgorzkniałych.

*To nie do zniesienia.* Ale ja to zniosę. Zniosę i to.

Wpatrywałem się długą chwilę w Hananela, lecz dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak bardzo jest przybity smutkiem i boleścią. W jego wzroku mogłem wyczytać niemą prośbę i błaganie.

— Podejdz tu do mnie — powiedział.

Zrobiłem krok w jego stronę, potem jeszcze jeden. Przyglądałem się bez oporu, jak sięga po moją rękę i ją podnosi. Jego dłoń była jedwabista w dotyku, a skóra delikatna. Spojrzał na mnie.

— Kiedy miałeś dwanaście lat — powiedział — kiedy przybyłeś do Świątyni, by się przedstawić Izraelowi, byłem tam. Byłem jednym z uczonych w Piśmie, którzy wówczas przepytawali ciebie i innych chłopców. Pamiętasz mnie?

Nie odpowiedziałem.

— Pytaliśmy wszystkich chłopców o Księgę Samuela, pamiętasz? — zapytał.

Mówił teraz podekscytowany, starannie dobierając słowa, trzymając mnie kurczowo za rękę.

— Rozmawialiśmy o Saulu, o tym, jak został namaszczoney na króla przez proroka Samuela... Jeszcze nim ktokolwiek wiedział, że będzie królem. — Przerwał na chwilę i oblizał wargi, cały czas przewiercając mnie wzrokiem. — Saul, jak pamiętasz, przyłączył się do grupy proroków, opanował go Duch i wpadł w ekstazę, i prorokował wraz z nimi. A jeden z tych, którzy to widzieli, spytał: „Któż jest ich ojcem?”

Słuchałem bez słowa.

— Poprosiliśmy wówczas każdego z was, aby pomyślał chwilę i powiedział, co mogą znaczyć te słowa: „Któż jest ich ojcem?” Wszyscy chłopcy odpowiedzieli natychmiast, że prorocy pewnie pochodzili z rodzin prorockich, podczas gdy Saul nie pochodził z takiej rodziny i dlatego było zupełnie naturalne spytać, kto jest jego ojcem.

Milczałem.

— Twoja odpowiedź była inna — mówił dalej Hananel. — Pamiętasz? Powiedziałeś, że w tym pytaniu kryło się szyderstwo tych, którzy nigdy nie doświadczyli ekstazy ani mocy Ducha, drwina tych, którzy zazdrościli ludziom mającym ten dar. Ten, który zadał to pytanie, chciał w ten sposób powiedzieć: „Kimże ty jesteś, Saulu, i jakie masz prawo przebywać między prorokami?”

Przyglądał mi się uważnie, ściskając moją dłoń.

— Pamiętasz?

— Tak.

— Powiedziałeś wtedy: „Ludzie gardzą tym, czego nie potrafią pojąć. Cierpią, bo pragną tego, co dla nich niedostępne”.

Nic nie powiedziałem.

Wyjął lewą dłoń z fałd szaty i ujął moje rękę.

— Dlaczego wówczas nie zostałeś z nami w Świątyni? Błagaliśmy, żebyś to uczynił. — Westchnął. — Pomyśl, co byś osiągnął, gdybyś został w Świątyni i studiował Pisma! Przypomnij sobie, jakim byłeś zdolnym chłopcem! Gdybyś wówczas poświęcił się nauce, pomyśl tylko, ile byś osiągnął! Zachwyciłeś mnie wówczas, zachwyciłeś wszystkich, a stary Berechiasz i

Szerebiasz z Nazaretu, jak wielką darzyli cię miłością i pragnęli, byś został z nami. A ty co zrobiłeś? Jesteś cieślą i pracujesz z innymi cieślami! Z ludźmi, którzy robią posadzki, murują ściany, zbijają ławy i stoły.

Staralem się delikatnie wyzwolnić dłonie, lecz nie chciałem ich puścić. Słońce oświetlało teraz jego twarz i zadarty podbródek.

— Świat cię pochłonał — dodał z goryczą. — Kiedy opuściłeś Świątynię, pochłonał cię świat i tyle. To właśnie świat robi z ludźmi. Zagarnia dla siebie wszystko i wszystkich. Kobieta mówi o odwiedzinach anioła, a dla innych to powód do szyderstwa i kpiny. Trawa porasta rozsypujące się domy opuszczonej wioski, aż zakryje je całkowicie, a tam, gdzie kiedyś stały domy tak ogromne jak ten, rosną dzisiaj drzewa. Wszystkie te księgi wokół nas także rozpadną się kiedyś na proch, czy nie tak? Spójrz na te drobiny pergaminu na mojej szacie. Tak świat pochłania i pożera Słowo Boga. Powinieneś być wówczas zostać z nami w Świątyni i studiować Torę! Co by powiedział twój dziadek Joachim, gdyby się dowiedział, kim się stałeś w dorosłym życiu!

Opadł na krzesło, wypuszczając moje dłonie. Jego usta wykrzywił szyderczy grymas. Spojrzał na mnie, marszcząc brwi, po czym ruchem ręki nakazał mi odejść.

Ja jednak stałem.

— Dlaczego świat pochłania i pożera Słowo Boga? — spytałem z rozgorączkowaniem w głosie, którego na szczęście nie słyszał. — Dlaczego? — powtórzyłem. — Czyż nie jesteśmy ludem świętym, czyż nie mamy być światłem dla narodów? Czyż nie mamy przynieść zbawienia całemu światu?

— Ależ tacy właśnie jesteśmy! — powiedział. — Nasza Świątynia jest największa w całym imperium. Któż by tego nie wiedział!

— Nasza Świątynia jest jedną z tysięcy świątyń, mój panie — zauważyłem.

I znów, przez krótką chwilę, w mojej głowie obudziła się nie tyle pamięć, ile świadomość jakiegoś doniosłego wydarzenia.

— Na świecie są tysiące świątyń — powiedziałem — i każdego dnia składane są ofiary różnym bogom cesarstwa, od zachodnich granic, po wschodni kraniec.

Spojrzenie Hananela stało się nagle niechętnie i wrogie, ja jednak mówiłem dalej:

— Znajdziesz taką świątynię w każdym miejscu królestwa, także na ziemi Izraela. Są w Tyrze, w Sydonie i Aszkelonie. Są w Cezarei Filipowej i Tyberiadzie. I w Antiochii, i w Koryncie, i w Rzymie, i w lasach na północy, i w dzikich ostępach Brytanii. — Wziąłem głęboki oddech i dodałem: — Czy naprawdę sądzisz, że jesteśmy światłością narodów, panie?

— Co to wszystko ma wspólnego z nami? — odparował.

— Co to ma wspólnego? Egipt, Italia, Grecja, Germania, Azja. Co to ma wspólnego? To właśnie świat, mój panie. Dlatego ma to wiele wspólnego z nami. To właśnie świat, dla którego mamy być światłością. Nasz lud!

Moja odpowiedź go rozzłościła.

— Co ty wygadujesz?

— W takim właśnie świecie żyję, mój panie — odparłem. — Nie w Świątyni, ale w świecie. Dzięki temu, że byłem w świecie, dowiedziałem się, czym on jest, i poznałem to, czego uczy, i dlatego jestem ze świata. Świat uczyniony z drewna, kamienia i żelaza, a ja w nim pracuję. Nie w Świątyni, lecz w świecie. Studiuję Torę, modlę się razem z całym zgromadzeniem, w czasie świąt idę z pielgrzymką do Jerozolimy, by stanąć przed Panem — w jego Świątyni — ale i tak wszystko dzieje się w świecie. A kiedy nadejdzie czas przygotowany dla mnie przez Pana, bym czynił to, do czego zostałem posłany, ten świat, który należy do Niego, świat z drewna, kamienia i z żelaza objawi mi swą wolę. A co jeszcze zbuduje tego dnia w tym świecie cieśla z Nazaretu, Pan tylko wie i sam Pan to objawi.

Hananel słuchał oniemiały.

Cofnąłem się o krok. Odwróciłem się i spojrzałem w dal, przed siebie. Widziałem pył unoszący się w promieniach popołudniowego słońca. Drobinę odbijającą słoneczne promienie w kratownicach nad półkami wypełnionymi zwojami. Zdawało mi się, że drobinę układają się w obrazy przedstawiające rzeczy i stworzenia poruszające się w powietrzu, ogromne, a jednak stateczne i cierpliwe w swoich ruchach.

Miałem wrażenie, że całe pomieszczenie pełne jest innych istot, że słyszę bicie ich serc, chociaż same serca były niewidzialne, a może one wcale nie miały serc. Nie miały serca takiego jak ja albo Hananel, z ciała i krwi.

W zagłębieniach okien szeleściły zeschnięte liście, a od posadzki wiało chłodem. Miałem wrażenie, jakbym znajdował się teraz gdzie indziej, jednocześnie będąc tutaj, w tym miejscu, pod dachem Hananela, stojąc przed nim odwrócony do niego plecami; tak jakbym był statkiem, który zakotwiczony, unosi się na wodzie. I było mi z tym dobrze.

Odszedł już mnie wszelki gniew.

Odwróciłem się i spojrzałem na Hananela.

Miał spokojną twarz i widać było, że się nad czymś zastanawia. Siedział całkowicie opanowany, opatulony w derki. Spoglądał na mnie jakby z oddali, z bezpiecznego dystansu.

Kiedy wreszcie się odezwał, mówił cicho, niemal mamrotał:

— Kiedy przez wszystkie te lata przyglądałem ci się w czasie pielgrzymek do Jerozolimy, zastanawiałem się: „O czym on myśli?”, „Co wie?”

— I już wiesz?

— Mam nadzieję — wyszeptał.

Pomyślałem przez chwilę, po czym wolno skinąłem głową.

— Dzisiaj po południu napiszę list — powiedział. — Mam tutaj ucznia, któremu zawsze dyktuję pisma. Dzisiaj wieczorem list otrzymają moje krewne w Seforis. To wdowy. Są dobre i chętnie przyjmą Abigail.

Skłoniłem się, składając dłonie, by okazać mu szacunek i wdzięczność. Po czym odwróciłem się, gotów do wyjścia.

— Przyjdź znowu za trzy dni — rzekł. — Będę miał wówczas odpowiedź od nich albo od kogoś innego. Dopilnuję tej sprawy. I pójdę z tobą do Szemajacha. A jeśli będziesz widział dziewczynę, powiedz jej, że cała jej rodzina, my wszyscy, o nią pytamy.

— Dziękuję ci, mój panie. Ruszyłem pospiesznie do Seforis.

Chciałem być z moimi braćmi, chciałem już zacząć pracę. Chciałem kłaść kamienie, wylewać zaprawę, wygładzać deski i przybijać gwoździe. Chciałem robić cokolwiek, byleby nie przebywać ani chwili dłużej z tym człowiekiem, który nie przebierał w słowach.

Ale czy powiedział coś takiego, czego nie powiedzieliby mi wcześniej na swój sposób moi bracia albo Jazon? Z drugiej strony Hananel znał wielu możnych ludzi, był bogaty, miał władzę nad innymi i dzięki niej mógł pomóc Abigail.

Ale przecież oni zadawali mi te same pytania. Mówili te same rzeczy.

Nie chciałem znowu o tym wszystkim myśleć. Nie chciałem roztrząsać tego, co mówi Hananel, ani tego, co czułem i widziałem. Nie chciałem zastanawiać się nad tym, co sam mu powiedziałem.

Kiedy jednak dotarłem do miasta, kiedy zagarnęły mnie jego gwar, stuki, krzyki, skrzypienie wozów i odgłosy zwierząt, w moim umyśle pojawiła się pewna myśl.

Była nowa i przypominała rozmowę z Hananelem.

Cały czas czekałem, aż spadnie deszcz, i wyglądałem jego oznak. Spoglądałem w niebo, kierowałem wzrok w dal, ku drzewom, próbowałem wyczuć, skąd wieje wiatr i czy jest chłodny, i cały czas miałem nadzieję, że poczuję na twarzy pocałunek wilgoci.

Ale może w rzeczywistości wypatrywałem znaków czegoś zupełnie innego. Coś rzeczywiście nadciągało. Musiało przyjść. Wszędzie wokół widać było oznaki tego, co zbliżało się nieodwołalnie. Czasem była to budowla, czasem wewnętrzna presja, kolejne oznaki czegoś nieuchronnego, podobnego do deszczu, o który wszyscy się modliliśmy, a zarazem znacznie ważniejszego i większego niż deszcz — czegoś, co weźmie w swe władanie dziesiątki lat mego dotychczasowego życia, wszystkie te lata odliczane cyklem świąt i nowiu księżyca, wszystkie godziny, minuty, a nawet sekundy, które przeżyłem do tej pory — i uczyni z nich użytek.

## XII

Następnego dnia rano Stara Bruria i ciotka Estera próbowały dowiedzieć się czegoś od Abigail, ale nie uzyskały od niej żadnej odpowiedzi.

Gdy wieczorem wróciliśmy z pracy w mieście, zobaczyliśmy w izbie Cichą Annę. Siedziała obok Józefa, skulona, trzęsąc się i szlochając, a Józef gładził ją po głowie. W welonie wyglądała jak drobna kobieta, nie dziewczyna.

— Co się jej stało? — spytał Jakub.

— Mówi, że Abigail umiera — odparła moja matka.

— Dajcie mi trochę wody, żebym umył sobie ręce — poprosiłem. — Przynieście mi także atrament i papirus.

Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami i położyłem na kolanach deskę. Chwyciłem pióro i dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, ile trudu sprawia mi pisanie. Upłynęło sporo czasu, odkąd to robiłem. Skórę miałem zgrubiałą od pracy, a ręka niepewnie trzymała pióro. Bardzo niepewnie.

Było to dla mnie ogromnym zaskoczeniem.

Zanurzyłem pióro i wyskrobałem słowa w najprostszy i najszybszy sposób, starając się stawiać jak najmniejsze litery. „Musisz teraz jeść i pić, ponieważ ja tak mówię. Wstaniesz i napijesz się wody, ile zdołasz, ponieważ ja tak mówię. Jedz, co możesz. Robię teraz dla ciebie, co w mojej mocy, a ty zrób to samo dla mnie i tych, którzy cię kochają. Wysłano już listy od twoich krewnych do innych twoich bliskich. Już wkrótce opuścisz to miejsce i będziesz daleko stąd. Nie mów nic ojcu. Rób, jak ci każe.

Podszedłem do Cichej Anny i podałem jej zwitek papirusu. Gestykułując, powiedziałem:

— Ode mnie dla Abigail. Ode mnie. Daj jej to.

Pokręciła głową, spoglądając na mnie z przestrawieniem w oczach.

Wykonałem groźny gest oznaczający zagniewanego Szemajacha. Wskazałem na oczy i powiedziałem:

— On nie będzie umiał tego przeczytać. Zobacz. Widzisz, jakie małe litery? Daj to Abigail.

Dziewczyna podniosła się i szybko wybiegła z izby.

Mijały godziny, a ona ciągle nie wracała.

Gdy już prawie zasypialiśmy, obudziły nas głośne krzyki na zewnątrz. Wybiegliśmy przed dom, gdzie ludzie nam powiedzieli, że za pomocą ognisk przyszła wiadomość: „Pokój w Cezarei”.

A także, że Poncjusz Piłat posłał słowo do Jerozolimy, by usunąć z miasta obraźliwe dla Żydów insygnia.

Wkrótce nasza uliczka była jasna od pochodni, tak samo jak tej nocy, kiedy mężczyźni ruszyli do Cezarei. Ludzie pili wino, tańczyli i obejmowali się z radości. Nikt jeszcze nie znał szczegółów ani nie spodziewał się poznać ich szybko. Za pomocą ognisk przesyłano wiadomość, że ludzie z całego kraju wracają do domów.

Jednak w domu Szemajacha nie było widać oznak życia. Ze szpary pod drzwiami ani ze szczelin w oknach nie wypływał najmniejszy promyk światła.

Moje ciotki, korzystając ze świątecznej okazji, zaczęły łomotać w drzwi.

Wszystko na nic.

— Modlę się tylko, żeby Cicha Anna była przy niej — powiedziała moja matka.

Rabbi wezwał nas wszystkich do synagogi, byśmy tam podziękowali za pokój.

Wszyscy jednak byli niespokojni aż do następnego dnia, kiedy to po południu zjawił się Jazon i kilku innych mężczyzn, którzy, aby przybyć jak najszybciej do Nazaretu, wynajęli konie.

Porzuciliśmy nasze zajęcia, napiliśmy wierzchowce i udaliśmy się pospiesznie do synagogi, aby się pomodlić i posłuchać, co się wydarzyło w Cezarei.

Tak jak poprzednim razem, tłum był ogromny, tak że nie wszyscy zdołali wejść do środka. Na uliczkach pozapalano pochodnie i latarnie, ponieważ noc zapadała bardzo szybko.

Dostrzegłem w przelocie Jazona, który w ogromnym podnieceniu opowiadał coś swemu wujowi, cały czas gestykulując. Wszyscy jednak prosili go, by poczekał z nowinami, wszedł do synagogi i podzielił się nimi ze wszystkimi.

Wreszcie z synagogi wyniesiono ławy i ustawiono je na zboczu, a na otwartej przestrzeni, pochodnia obok pochodni, stłoczyły się setki mężczyzn i kobiet, podczas gdy Jazon zajął honorowe miejsce, otoczony swymi towarzyszami.

Nigdzie nie widziałem Cichej Anny. To zrozumiałe, że nie było tu Szemajacha i na pewno nie było Abigail. Chociaż z drugiej strony, w tej ciżbie trudno było to stwierdzić.

Ludzie ściskali się, klaskali, obcałowywali się i tańczyli z radości. Dzieci biegały wokół szczęśliwe. Jakub płakał. Moi bracia przynieśli powoli Józefa i Alfeusza. Inni starsi jeszcze nie przybyli.

Jazon czekał. Stał na ławie, obejmując jednego ze swych towarzyszy, i dopiero kiedy przybliżono do nich pochodnie, wyraźnie oświetlające ich twarze, dostrzegłem, że obok niego stoi wnuk Hananela, Ruben.

Także matka go rozpoznała i natychmiast wiadomość ta rozeszła się w tłumie.

Nie powiedziałem im, co mi mówił Hananel. Nie spytałem nawet naszego rabbiego, dlaczego mnie nie uprzedził, że wnuk Hananela starał się o Abigail.

Wszyscy wiedzieli, jak bardzo Hananel tęsknił za wnukiem i jak przez dwa lata płakał z powodu tego, że opuścił on nasz kraj, i po chwili wszystkie usta szeptały: „To Ruben bar Daniel bar Hananel”.

Ruben był przystojnym mężczyzną. Ubrany w piękne, lniane szaty, podobnie jak Jazon, tak jak on miał przystrzyżoną brodę i włosy namaszczone olejkiem. Po obu znać było trudy długiej jazdy, oni jednak zdawali się tym nie przejmować.

Wreszcie całe miasteczko zaczęło krzykiem domagać się, by opowiedzieli, co się wydarzyło w Cezarei.

— Sześć dni! — zaczął Jazon, wyciągając palce dłoni w stronę tłumy. — Sześć dni staliśmy pod pałacem prokuratora, domagając się, by usunął bluźniercze i bezwstydne wizerunki z naszego Świętego Miasta!

Przez tłum przepłynął szmer zachwyty i aprobaty.

— „Nie, bo w ten sposób znieważymy naszego wielkiego Tyberiusza” — powiedział ów człowiek. A my odrzekliśmy: „On zawsze w przeszłości szanował nasze prawa”. I musicie wiedzieć, że każdego dnia, gdy trwalibyśmy nieustępliwie, dołączało do nas coraz więcej mężczyzn i kobiet. Cezarea była pełna Żydów! Do pałacu wchodził i wychodził zeń bez przerwy ludźmi, przedstawiając nasze petycje, i gdy tylko ich odsyłano, wracali z powrotem i przedstawiali je jeszcze raz, aż wreszcie miał już tego dość.

I cały czas przybywali żołnierze. Stali przy każdej bramie, każdym przejściu i wzdłuż murów oddzielających dziedziniec od miejsca, gdzie prokurator sprawował sąd.

Tłum zaczął krzyczeć tak głośno, że zagłuszył słowa Jazona, on jednak gestem uspokoił ich i mówił dalej:

— W końcu, siedząc przed tak licznie zebranymi ludźmi naszego narodu, oświadczył nam, że nie usunie insygniów. I dał znak żołnierzom, aby na nas ruszyli. Ci wyjęli miecze, a my wiedzieliśmy, że jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron i że śmierć zagląda nam w oczy.

Przerwał na chwilę. Od strony zgromadzonych popłynął najpierw szmer, następnie krzyki, wreszcie tłum wybuchnął entuzjazmem. Jazon jeszcze raz dał znak ręką, prosząc o ciszę, i dokończył swoją relację:

— Czy zapomnieliśmy rady starszych? — spytał retorycznie. — Czy nie mówili nam po wielokroć, że jesteśmy ludźmi pokoju? Czy nie ostrzegali nas, że rzymscy żołnierze w każdej chwili gotowi są pozbawić nas życia, choćby nie wiadomo ilu nas się zebrało?

Ze wszystkich stron rozlegały się krzyki.

— I dlatego wszyscy, jak na komendę, padliśmy na ziemię! — krzyknął Jazon. — Padliśmy na kolana, pochyliliśmy głowy i odsłoniliśmy karki, gotowi na przyjęcie miecza; każdy bez wyjątku. Uczyniły tak setki z nas, tysiące, powiadam wam. Podaliśmy głowy pod miecz, wszyscy, co do jednego, bez lęku i bez słowa, ci zaś, którym pozwoło — no rozmawiać z prokuratorem, powiedzieli mu to, co już wiedział: że prędzej wszyscy gotowi jesteśmy umrzeć, niż mielibyśmy widzieć, jak łamane są nasze prawa i deptane nasze zwyczaje!

Jazon założył dłonie na piersi i rozejrzał się dokoła, a okrzyki tłumu, najpierw pojedyncze, stawały się coraz częstsze, wreszcie przerodziły się we wspólną pieśń radości. Uśmiechając się i kiwając głową, pomachał ręką chłopcom, którzy stojąc na jednej z ław, tupali ze wszystkich sił. A na twarzy stojącego obok Rubena malowało się bezgraniczne szczęście.

Mój wuj Kleofas płakał, tak samo Jakub i wszyscy pozostali mężczyźni.

— A co zrobił dostojny rzymski prokurator, kiedy to ujrzął?! — krzyknął gardłowo Jazon. — Widząc tak niezaprzeczalny dowód męstwa ze strony tak wielu, gotowych oddać życie w obronie naszych najświętszych praw, człowiek ów powstał i rozkazał żołnierzom odłożyć broń, którą już nam przyłożyli do karków, i nagle wszędzie załśniły chowane do pochew miecze. „Ci ludzie nie zginą!”, krzyknął. „Nie zginą za swą pobożność. Nie przeleję ich krwi! Ani kropli! Dajcie znak! Żołnierze mają usunąć nasze insygnia z obrębu murów ich Świętego Miasta!”

Zewsząd rozbrzmiewały okrzyki wdzięczności. Niektórzy głośno się modlili i chwalili Boga. Inni upadli na kolana. Wrzawa była tak wielka, że trudno było usłyszeć jeszcze jakiegokolwiek słowa Jazona, Rubena lub kogoś innego.

Ludzie wymachiwali rękoma, tańczyli, kobiety szłochały i rzucały się sobie w ramiona, jakby dopiero teraz, upadłszy na trawę, były w stanie wyrzucić z serca lęk, który nosiły w sobie od wielu dni.

Rabbi, który stał obok Jazona i Rubena, pochylił nisko głowę i zaczął się modlić, ale nie słysząc było słów z powodu wrzawy. Ludzie zaczęli śpiewać psalmy dziękczynne. Do naszych uszu dochodziły, mieszając się ze sobą, strzępy modlitw i pieśni.

Mała Miriam płakała, przytuliwszy się do piersi Kleofasa, swego teścia, natomiast Jakub obejmował żonę, całując delikatnie i w milczeniu jej czoło, a po twarzy spływały mu łzy. Ja z kolei objąłem i przytuliłem Małego Izaaka i Jakima, i wszystkie dzieci, które zawsze gromadziły się wokół Abigail, a teraz były z nami. Ich obecność stanowiła pośredni dowód na to, że nie ma tutaj ani Cichej Anny, ani Abigail, nawet w tak znaczącej chwili.

Obcałowaliśmy się nawzajem. Podawano sobie z rąk do rąk bukłaki z winem. Ludzie zaczęli opowiadać, co każdy czuł przez wszystkie te dni, a Jazon i Ruben przepychali się przez ciszę, zewsząd zaś napierali na nich ludzie, dopytując się o szczegóły, chociaż widać było teraz, że obaj mężczyźni są śmiertelnie wyczerpani i marzą tylko o tym, by paść na ziemię i zasnąć.

Józef ścisnął kurczowo ręce moje i Jakuba. Nasi bracia i ich żony utworzyli krąg, z dziećmi w środku. Poczulem, jak moja matka, stojąc za mną, położyła mi ręce na ramionach i oparła głowę na plecach.

— Nie chciałeś ofiary krwawej ani obiady — zaczął recytować psalm Józef — lecz otwarłeś mi uszy; całopalenia i żertwy za grzech nie żądałeś. Wtedy powiedziałem: „Oto przychodzę; w zwoju księgi o mnie napisano: »Jest moją radością, mój Boże, czynić Twoją wolę, a Prawo Twoje mieszka w moim wnętrzu.«” Głosiłem Twoją sprawiedliwość w wielkim zgromadzeniu.

Długo trwała nasza droga do domu w tamtą noc.

Uliczkę wypełniali świętujący ludzie i zobaczyliśmy, że powrócili także inni, którzy również wynajęli konie na drogę powrotną, i słyhać było radosne okrzyki mężów i żon, ojców i dzieci, znowu będących razem.

W tej chwili dogonił nas Jazon. Jego twarz promieniowała radością i czuć było od niego wino. Obejmując ramieniem, Jakuba, powiedział:

— Twoim chłopcom nic się nie stało; byli bardzo dzielni i cały czas stali mężnie przy nas, Menachem i Szabi. Zresztą wszyscy z twego domu byli mężni i nie okazali wahania. Jeśli chodzi o Sylasa i Lewiego, to oczywiście spodziewałem się tego, ale jeśli chodzi o Małego Szabiego, Małego Kleofasa i pozostałych, to mówię ci... — i rozprawiał dalej, całując Jakuba, potem moich wujów, na końcu dłonie Józefa, który je wyciągnął, by go pobłogosławić.

Już dochodziliśmy do domu, kiedy dogonił nas Ruben, który próbował się teraz odłączyć od Jazona, lecz ten chciał go zatrzymać przy sobie. Obaj podawali sobie bukłak z winem i częstowali także nas, ale ja odmówiłem.

— Dlaczego się nie cieszysz? — spytał Jazon.

— Cieszymy się, wszyscy się cieszymy — odparłem. — Wejdz, Rubenie, nie widzieliśmy się już tyle lat. Wejdz do środka, odśwież się.

— Nie, Ruben idzie ze mną — zaproponował Jazon. — Mój wuj nawet nie chce słyszeć, aby miał się zatrzymać u kogokolwiek innego. No właśnie, Rubenie, co zamierzasz? Przecież nie możesz od razu jechać do Kany!

— Dobrze wiesz, że właśnie tak muszę zrobić — odparł Ruben. Spojrzał na nas, zbierając się do odejścia, i skinął na pożegnanie głową. — Mój dziadek widział mnie ostatnio dwa lata temu — dodał.

Józef także się skłonił i podobnie uczynili wszyscy starsi mężczyźni.

Jazon wzruszył ramionami.

— Nie przychodź do mnie jutro — powiedział — i nie opowiadaj ze smutkiem, jak się obudziłeś i znalazłeś we wspianym mieście Kanie!

Wszyscy stojący wokół młodzi mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Ruben zniknął powoli w mrokach nocy, żegnany radosnymi okrzykami tych, którzy chcieli uścisnąć dłonie jego i Jazona, a jego sylwetka wtopiła się w tłum przepychających się ludzi, którzy wchodzili na nasz dziedziniec lub go opuszczali.

Wreszcie, pożegnawszy się chyba pięćdziesiąty raz ze wszystkimi, weszliśmy do domu.

Stara Bruria, która wróciła wcześniej, rozpałała już ogień i w całym domu unosił się intensywny i smakowity zapach polewki.

Kiedy pomagałem Józefowi usadowić się pod ścianą, ujrzałem Cichą Annę. Podczas gdy wszyscy chodzili tam i z powrotem, ona stała nieruchomo jak żona Lota, wpatrując się tylko we mnie i nie zwracając najmniejszej uwagi na tych, którzy ją mijali, czasem potrącając.

Widać było, że jest zmęczona, i kiedy siedziała, przyciskając do welonu dłonie zwinięte w pięści, wyglądała jak stara kobieta, wychudła, przygarbiona. Pokręciła głową, co znaczyło tylko jedno: nie. W tym geście widać było rozpacz.



— Dałaś jej mój list? — spytałem. — Przeczytała go?

Jej twarz pozbawiona była wyrazu. Wykonała prawą ręką kilkakrotnie dziwny gest, jakby rozdrapywała powietrze.

— Dała list Abigail, ale nie wie, czy go przeczytała — wyjaśniła moja matka.

— Idźcie teraz do jego domu — odezwała się stara Bruria. — Idź ty, Kleofasie. Weź swoją synową. Idźcie i zaczynajcie walić do drzwi. Powiedzcie, że przynieśliście mu nowiny.

— Każdy, kto przechodził obok jego domu, pukał — powiedział Jakub. — Widziałem, jak Jazon walił do drzwi, gdy wchodziliśmy do siebie. Dzisiaj to nie ma już sensu. Może ten stary głupiec w końcu sam wyjdzie. Hałas i tak nie pozwoli mu zasnąć tej nocy.

— Moglibyśmy wyważyć drzwi niby przypadkiem — zauważył Kleofas. — Możemy wyjść na uliczkę, tańczyć, pić wino i niby niechcący wpaść na drzwi, a potem powiemy Szemajachowi, że bardzo go przepraszamy, ale...

Przerwał. Nikt nie miał już dzisiaj serca do takich forteli.

— To nie pora, by powiedzieć o wszystkim Jazonowi — odezwał się Jakub. — Ale jutro na pewno możemy na niego liczyć, jeśli trzeba będzie wyważyć drzwi.

Wszyscy się zgodziliśmy. Wiedzieliśmy także, że rabbi, wuj Jazona, bez wątpienia opowie mu o wszystkim, co się wydarzyło pod jego nieobecność.

### XIII

Następnego dnia nie poszliśmy do pracy. Miało to być święto, czas radości i dziękczynienia Panu za decyzję prokuratora, a wszyscy, którzy mieli w zwyczaju pić z takiej okazji, czynili to z ochotą. Większość jednak chodziła od domu do domu, rozprawiając o tym wspaniałym wydarzeniu, które dla jednych było triumfem naszego ludu, dla innych poniżeniem prokuratora, a dla starszych po prostu wolą Boga.

Jakub, nie mogąc usiedzieć na miejscu, dwa razy posprzątał stajnie i pozamiatał dziedziniec. Mnie także nosiło, ilekroć ujrzałem pracującego Jakuba, więc napiłem i nakarmiłem osły, wyszedłem zobaczyć, jak bardzo usychają warzywa w ogrodzie, i wróciwszy z postanowieniem, że nie będę nikomu mówił, jak niszczyją nasze przyszłe plony, spojrzałem na zimne niebo i zdecydowałem pójść do Kany.

Nie był to oczywiście dzień, w którym należało przekonywać Hananela, by zrobił cokolwiek w jakiejś sprawie. Do domu powrócił jego umiłowany wnuk i bez wątpienia należało mu pozwolić nacieszyć się tym i podziękować Bogu, tak jak sam chciał.

Nie mogłem jednak czekać. Dokądkolwiek kierowałem kroki, cokolwiek robiłem, zawsze przed oczyma miałem Abigail zamkniętą w ciemnej izbie. Widziałem ją, jak leży na klepisku, z pozbawionymi wyrazu oczami.

Chociaż Kana była znacznie mniejsza niż Nazaret, panowała w niej taka sama radość. Szedłem uliczkami i nikt nie zwracał na mnie uwagi, ponieważ wszędzie ludzie, zbici w gromadki, rozmawiali głośno i pili wino, a niektórzy nawet wynieśli na uszlą trawę, pod drzewa, jedzenie i spożywali południowy posiłek. Na szczęście tego dnia nie wiał dokuczliwy, zimny wiatr. Można było sądzić, że ludzie całkowicie zapomnieli o suszy, odnieśli bowiem wspaniałe zwycięstwo nad przeciwnikiem, którego lękali się po stokroć bardziej.

W domu Hananela panował rozgardiasz. Rozpoczęły się przygotowania do święta. Mężczyźni wnosili kosze owoców. Poczulem zapach pieczonego jagnięcia.

Kiedy stanąłem przy drzwiach, ujrzałem starego sługę, tego samego, który przywitał mnie, kiedy tu byłem ostatnio.

— Nie mogę dzisiaj niepokoić mego pana — zwrócił się do mnie.

— Ale musisz przekazać mu wiadomość ode mnie, proszę.

— Zrobię to, Jeszuo, tylko wejdź do środka. Mój pan nie posiada się ze szczęścia. Dzisiaj rano wrócił do domu Ruben, cały i zdrowy.

— Powiedz tylko swemu panu, że przyszedłem i życzę mu dużo radości w dzisiejszym dniu.

— Przekaż mu jeszcze, że czekam na słowo, tak jak obiecał. Zrobisz to dla mnie? Szepnij mu tylko, że to wszystko, o co proszę. Powiedz mu to, kiedy tylko nadarzy się sposobność.

Wyszedłem, nim sługa zdążył się sprzeciwić, i nie przeszedłem jeszcze połowy drogi do Nazaretu, kiedy ujrzałem zbliżającego się w moją stronę Jazona. Jechał konno, co już samo w sobie stanowiło niezwykły widok, i najpewniej dosiadał tego samego wierzchowca, którego wynajął w Cezarei. Zeskoczył na ziemię i podszedł do mnie. Bez żadnych wstępów rozpoczął tyradę:

— Ten człowiek to głupiec, skoro zrobił coś takiego własnej córce! Jak można ją zamknąć, głodzić i życzyć śmierci za coś takiego!

— Wiem — odparłem, a potem powiedziałem mu szybko o tym, że Hananel z Kany napisał do krewnych Abigail w innych wsiach i miastach. — I teraz czekamy na odpowiedź — zakończyłem.

— Dokąd idziesz? — spytał.

— Do domu — odrzekłem. — Nie mogę naprzykrzać się komuś, kto wita wnuka po długiej nieobecności. Zostawiłem mu wiadomość. To wszystko, co mogłem zrobić.

— Właśnie jadę do niego na ucztę — rzekł Jazon. — Sam kazał po mnie posłać. Dopilnuję, żeby pamiętał o twojej prośbie. Będę mu cały czas suszył głowę.

— Jazonie, bądź rozsądny. Wysłał już listy w tej sprawie. Nie możesz teraz wpaść jak burza i zacząć od tego. Ciesz się, że zaprosił cię na ucztę.

Jazon skinął głową.

— Zanim pójdziesz, chcę, żebyś mi wszystko opowiedział. O wszystkim, co zrobili ci bandyci. Wuj powiedział mi, że cisnęli Abigail na ziemię, na twarz...

— Czy to ma teraz jakieś znaczenie? Nie mogę ci powiedzieć. Nie mogę odtworzyć całej sytuacji. Idź już. Znajdź mnie jutro, a opowiem ci wszystko, jeśli naprawdę musisz wiedzieć.

Późnym popołudniem do Nazaretu wrócili Menachem i Szabi, a z nimi niemal połowa młodych mężczyzn, którzy wybrali się do Cezarei. Dom huczał od kłótni i wzajemnych oskarżeń. Wuj Kleofas był wściekły na swoich synów: Józefa, Judę i Szymona. Stali bez ruchu, wysłuchując łajania ojca, jednak ukradkowe spojrzenia i uśmiechy, jakie wymieniali między sobą, świadczyły, że są świadomi, iż dane im było uczestniczyć w czymś wspaniałym i niezwykłym.

Jakub chciał wychłostać Szabiego, lecz jego żona, Mara, go powstrzymała.

Wyśliznąłem się niepostrzeżenie.

Kiedy znalazłem się na zewnątrz, zobaczyłem małego Izaaka i Jakima stojących przed domem Szemajacha i wpatrujących się z posępnymi minami w drzwi, które nie chciały się otworzyć. Z targu właśnie wracała Cicha Anna, niosąc koszyk wypełniony owocami i warzywami. Spojrzała na mnie, jakby wcale mnie nie знаła. Zastukała w umówiony sposób i drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się na chwilę sroga twarz starej służącej. W następnej chwili drzwi się zatrzasnęły.

Poszedłem uliczką najpierw w górę, potem w dół, a następnie w stronę strumienia. Wody w kamiennych zbiornikach było już tak mało, że wypływała cienką strużką, a niemal suche koryto było pokryte szarym pyłem, jak cała okolica. Gdziekolwiek tylko płynąca głębiej leniwa woda odbijała słoneczne promienie.

Podszedłem do kamiennego zbiornika i powoli obmyłem ręce i twarz.

Potem wszedłem do gaju oliwnego.

Ukląkłem i modliłem się przez chwilę do Pana za Abigail. Wiedziałem, że będę płakał, i dopiero po chwili dotarło do mnie, że płacz jest tu jak najbardziej stosowny. Nikt mnie tutaj nie widział, poza Panem. Wreszcie się poddałem. „Ojczy w Niebie, dlaczego to się stało? Dlaczego ta dziewczyna cierpi, skoro jest niewinna, i jak to się stało, że moje nietaktowne zachowanie pogorszyło jej położenie?”

W końcu ogarnęło mnie zmęczenie i upadłem na miękkie poszycie z butwiejących liści. Stan wyczerpania był przyjemny, ponieważ odsuwał wszelki lęk.

Podłożyłem ramię pod głowę i natychmiast zapadłem w sen.

Nie był głęboki. Nie tyle spałem, ile roztopiłem się w otaczających mnie delikatnych dźwiękach, w szeleście świeżo spadłych liści pode mną i szepcie tych poruszanych wiatrem nad moją głową. Po chwili nie słyszałem już bicia własnego serca. Do moich nozdrzy dotarły najpiękniejsze zapachy. Na pół śpiąc, na pół czuwając, dziwiłem się z zachwytem temu, że w tej strasznej suszy tyle drobnych, pachnących roślinek rozkwita w słońcu i w cieniu, a wszystkie one są tuż koło mnie.

Czy minęła godzina? A może więcej?

Czasem człowiek ma świadomość, że musi wstać, nim zapadnie zmrok, i ruszyć do domu. Ale nie wiedziałem, czy to ja jestem tym człowiekiem.

Poprawiłem się na posłaniu z liści i obróciłem głowę. Uświadomiłem sobie, że obudziły mnie jakieś dźwięki, niezwykłe w tym miejscu. A może to nie były dźwięki, lecz zapach? Odurzające i cudowne wonności.

Drogie wonności.

Nie otwierałem oczu. Nie chciałem strząsnąć z siebie całkowicie pajęczyny snu, ponieważ bałem się, że gdy to zrobię, sen nie wróci. A przecież tak pięknie było unosić się na jego fali, próbując odgadnąć, jaki to zapach, a następnie w głębinach pamięci odszukać chwile i miejsca, kiedy nęcił moje nozdrza. Tak, to był zapach weselny, tak pachniało na weselach, kiedy dla oblubieńców otwierano naczynia z olejkiem nardowym.

Uniosłem powieki. Usłyszałem szelest szat i poczułem, jak coś ciężkiego i miękkiego opada na moje stopy.

Odwrociłem się i usiadłem, na wółprzymy. Na moich stopach leżał ciemny płaszcz, a na nim ciężki, czarny welon utkany z delikatnej wełny. Bardzo drogiej wełny. Próbowałem otrząsnąć się z resztek snu. Kto tu był ze mną i dlaczego?

Podniosłem głowę, otwierając jak najszerzej oczy, i ujrzałem stojącą nade mną kobietę na tle promieni słońca przebijających się przez gęste listowie drzew.

Włosy miała rozpuszczone. Złoty haft na obramowaniu tuniki odbijał się wyraźnie od reszty tkaniny. Był bogaty, wyszywany grubą nicią, a szata i włosy roztaczały wspaniałą woń olejku nardowego.

Abigail. Abigail w ślubnej tunice. Abigail z rozpuszczonymi włosami spływającymi jej na plecy, świetlistymi w promieniach zachodzącego słońca. Słoneczne światło wydobyło także smukły kształt jej szyi i nagie ramiona prześwitujące pod zdobioną złotem tkaniną. Jej tunika nie była przewiązana paskiem. Dłonie, zdobne w bransolety i pierścienie, opuściła wzdłuż tułowia.

Całe jej piękno lśniło w półmroku gaju, tak jakby ona sama była skarbem, który odsłania się w skrytości i który jedynie w taki sposób może się objawić.

Dopiero teraz, kiedy pierzchły na dobre resztki snu, uświadomiłem sobie, że Abigail jest tu ze mną i że poza nami nie ma w gaju nikogo.

Całe moje długie życie przebywałem w zatłoczonych izbach, pracowałem w zatłoczonych domach i miejscach, poruszałem się z tłumem i wśród tłumu, wśród kobiet, takich jak siostry, ciotki, kuzynki czy matka, które były córkami i żonami innych mężczyzn, wśród kobiet zakrytych od stóp do głów, owiniętych w płaszcze, welony i opończe, ze szczelnie zakrytymi głowami, opatulonych w derki i tylko czasem na weselach w wioskach widziałem przez chwilę kobiety odziane we wspaniałe szaty, z głowami ozdobionymi strojnymi, opadającymi kaskadą na ramiona welonami.

Tu jednak byliśmy sami. Wiedziałem, że mógłbym osiąść Abigail. W ten sposób wszystkie marzenia, wszystkie sny pełne katuszy, wszystkie pełne udręki noce, kiedy musiałem przeczyć swym pragnieniom, mogłyby przeistoczyć się teraz w chwilę bliskości, w której doświadczyłbym delikatności i miękkości jej ramion, o wiele piękniejszej i słodszej niż wszelkie marzenia i sny.

Poderwałem się na równe nogi. Podniosłem płaszcz i welon, które Abigail upuściła na ziemię.

— Co ty robisz? — zapytałem z wyrzutem. — Co za szalona myśl przyszła ci do głowy?! — Zarzuciłem jej płaszcz na ramiona i nakryłem głowę welonem. Następnie chwyciłem za ramiona i powiedziałem: — Chyba nie czujesz się najlepiej. Nie zrobisz tego. Chodź, zaprowadzę cię do domu.

— Nie — odparła i odepchnęła mnie gwałtownie. — Wyjdę na ulice Tyru! Będę chodziła po nich, czekając na mężczyzn. Nie próbuj mnie zatrzymywać! Skoro nie chcesz teraz dla siebie tego, co wielu mieć będzie niebawem, gdy mnie o to poproszą, pójdę sobie.

Odwróciła się, lecz chwyciłem ją za rękę.

— Abigail, nie bądź dziecinna — szepnąłem. Spojrzała na mnie, a w jej oczach dostrzegłem gorycz i chłód. Jej wzrok był twardy i nieustępliwy, lecz po chwili powieki zaczęły drżeć.

— Puść mnie, Jeszuo — poprosiła.

— Nie wiesz, co mówisz. Ulice Tyru! Nigdy nie widziałaś miasta takiego jak Tyr. Gadasz jak dziecko. Wydaje ci się, że ulice to matczyne łono, na którym możesz położyć głowę? Abigail, chodź ze mną do domu, chodź do mnie, do mojej matki i siostr! Abigail, czy tobie się zdaje, że myśmy bezczynnie przyglądali się temu, co się z tobą działo?

— Wiem, jak starałeś się mi pomóc — odparła. — Ale to na nic. Jestem zhańbiona, ale nie mam zamiaru umrzeć z głodu w domu człowieka, który mnie potępił! Nigdy!

— Chcesz opuścić Nazaret?

— Tak zrobię.

— Nie, nie zrozumiałaś mnie. Twój krewniak, Hananel z Kany, napisał listy w twojej sprawie. On sam...

— On sam był dzisiaj u mojego ojca — przerwała mi głuchym głosem. — Tak, Hananel i jego wnuk Ruben stanęli przed moim ojcem i prosili go o moją rękę.

Odsunęła się. Dygotała ze złości i wzburzenia.

— I wiesz, co ojciec im odpowiedział? Co powiedział Hananelowi z Kany i Rubenowi? Odmówił im mojej ręki! „Czy wam się zdaje”, tak mówił, „czy wam się zdaje, że ten pęknięty kubek to wasz złoty puchar?”

Abigail drżała, nie mogąc złapać tchu z przejęcia. Oniemiałem.

— „Nie mam zamiaru sprzedawać tego pękniętego kubka”, powiedział im. „Nie mam zamiaru obnosić się z moją hańbą i wystawiać jej na sprzedaż!”

— Twój ojciec postradał zmysły.

— Tak, postradał zmysły, w ten sposób traktując własną córkę, tak ją poniżając! A ona przez niego umrze we wstydzie i pohańbieniu! Powiedzcie coś takiego Rubenowi z Kany! „Nie mam dla ciebie córki. Idź już?”

Przerwała. Nie była w stanie mówić dalej. Trzęsła się tak, że nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. Przytrzymałem ją za ramiona.

— A zatem uwolniłaś się już od ojca.

— Tak, uwolniłam się.

— W takim razie pójdiesz ze mną do mojego domu. Będziesz mieszkała z nami, dopóki nie zabierzemy cię stąd do naszych krewnych w Betanii.

— Tak sądzisz? Myślisz, że dom Kajfasza przyjmie upokorzoną i zhańbioną dziewczynę ze wsi, której wyrzekł się własny ojciec, ojciec, który przez całe lata odganiał zalotników, a w końcu zatrzasnął drzwi przed nosem Jazonowi i Rubenowi z Kany? Rubenowi, który odłożył na bok dumę i błagał o mnie na kolanach!

Odsunęła się ode mnie.

— Abigail, nie pozwolę ci teraz odejść.

Zaczęła szlochać. Znowu położyłem jej dłonie na ramionach.

— Jeszuo bar Józefie, zrób to — wyszeptwała. — Jestem tutaj z tobą. Weź mnie. Błagam cię. Nie czuję wstydu. Weź mnie, Jeszuo. Jestem twoja.

Teraz i ja zacząłem płakać. Nie mogłem przestać i był to płacz tak bolesny jak wtedy, gdy płakałem jeszcze przed jej przyjściem, a może równie bolesny jak jej szloch.

— Abigail, posłuchaj mnie. Powiadam ci, u Boga nie ma nic niemożliwego i dlatego pójdziesz do mnie i będziesz bezpieczna razem z moją matką i ciotkami. Wyślę cię do mojej ciotki Salome w Kafarnaum. Moje ciotki cię tam zaprowadzą. Abigail, musisz teraz wrócić ze mną do domu!

Przytuliła się do mnie, a ja objąłem ją ramieniem. Jej szloch był teraz cichszy i nie tak gwałtowny.

— Powiedz mi, Jezu — zaczęła cicho. — Powiedz mi, gdybyś miał się kiedykolwiek ożenić, czy to ja byłabym twoją oblubienicą?

— Tak, moja piękna — odparłem. — Tak, moja miła. Abigail spojrzała na mnie i przygryzła wargę.

— W takim razie weź mnie teraz jako twoją nierządnicę. Proszę. Wszystko mi jedno. — Przymknęła powieki, spod których wciąż płynęły łzy. — Wszystko mi jedno, wszystko mi jedno — powtarzała.

— Ciii, nic już nie mów — powiedziałem łagodnie. Skrajem płaszcza otarłem jej twarz. Wyzwoliłem się z jej objęć. Owinąłem welon wokół głowy, a koniec przerzuciłem jej przez ramię. Założyłem jej na ramiona płaszcz i złożyłem jego połę, tak by nikt nie widział kryjącej się pod spodem wyszywanej złotą nicią tuniki. — Zabieram cię do domu jak moją siostrę, najdroższą. Pójdziesz ze mną, tak jak powiedziałem, a te chwile tutaj i te słowa pozostaną w naszych sercach jako tajemnica.

Popadła w dziwną apatię i nic nie odpowiedziała.

— Abigail, słyszysz mnie? Popatrz na mnie. Zrobisz to, co każę.

Skinęła tylko głową.

— Popatrz mi w oczy — poleciłem. — Powiedz mi, kim naprawdę jesteś. Jesteś Abigail, córka Szemajacha, i padłaś ofiarą oszczerstwa, strasznego oszczerstwa. Ale wszystko to naprawimy.

Skinęła posłusznie głową. Przestała płakać, ale emocje pozbawiły ją sił i wydawała się teraz całkowicie zagubiona. Zdawało się, że jeszcze chwila, a się przewróci.

Podtrzymałem ją.

— Abigail, posłuchaj, zażądam, żeby zebrali się starsi. Zażądam, żeby rabbi zwołał sąd w wiosce.

Zdziwiona popatrzyła na mnie, a potem spojrzała pustym wzrokiem w dal, przed siebie, jakby nie wiedząc, o czym mówię.

— Szemajach nie jest panem życia i śmierci, nawet swojej jedynej córki.

— Sąd? — wyszeptała. — Starsi z wioski?

— Tak. Rozstrzygniemy tę sprawę raz na zawsze w obecności wszystkich. Zażądamy wyroku potwierdzającego twą niewinność i z nim udasz się do Kafarnaum lub do Betanii czy gdziekolwiek, gdzie znajdzie się najlepsze miejsce dla ciebie.

Abigail przypatrywała mi się przez dłuższą chwilę, pierwszy raz od początku naszej rozmowy, jakby dopiero teraz dotarły do niej moje słowa.

— To możliwe? — spytała wreszcie.

— Tak — odparłem. — Twój ojciec powiedział, że nie ma córki. W takim razie nie ma także nad tobą żadnej władzy i dlatego my, twoi krewni, rozporządzamy tobą, podobnie jak starsi. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Skinęła głową.

— Zapomnij o tym, co tutaj mówiłaś. Te słowa były przeznaczone tylko dla mnie, dla twojego brata, który wie, że jesteś niewinnym i cierpiącym dzieckiem.

Położyłem dłoń na sercu.

— Panie, daj mojej siostrze nowe serce — wyszeptałem. — Panie, daj jej nowe serce.

Przez chwilę modliłem się w milczeniu, z zamkniętymi oczyma, położywszy rękę na lewym ramieniu Abigail.

Gdy otworzyłem oczy, dostrzegłem, że na jej twarz powrócił spokój. Była znowu naszą Abigail, taką samą jak wtedy, nim to wszystko się zaczęło.

— Chodźmy, trzeba zrobić to, co powiedziałem.

— Nie, nie musisz iść do starszych, nie musisz tego robić. W ten sposób tylko upokorzysz mego ojca. Pójdę do Kafarnaum, do Salome. Pójdę wszędzie tam, gdzie mi każesz.

Poprawiłem jej welon. Chciałem strzepnąć z płaszcza i welonu zeschnięte liście, które uczepiły się wełny, ale mimo moich prób suche drobinki uparcie trzymały się tkaniny.

— Przebacz mi, Jezuo — wyszeptła.

— Co mam ci przebaczyć? To, że byłaś przestraszona jak zaszczute zwierzę? Że zostałaś zostawiona sama sobie? Że cię skrzywdzono i potępiono bez powodu?

— Kocham cię, mój bracie.

Chciałem ją pocałować. Chciałem ją przytulić w geście czystej miłości i pocałować w czoło. Lecz nie zrobiłem tego.

— Naprawdę jesteś dzieckiem aniołów — powiedziała smutnym głosem.

— Nie, moja ukochana. Jestem człowiekiem. Naprawdę.

Uśmiechnęła się najsmutniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałem.

— Idź do Nazaretu przede mną, idź prosto do mojego domu i zapytaj o moją matkę, a jeśli ujrzysz ojca, uciekaj, tak żeby cię nie dogonił, a potem okrężną drogą przyjdź do naszego domu.

Abigail skinęła głową, odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Stałem i czekałem, próbując uspokoić oddech, czekając, aż wyschną łzy, i starając się opanować drżenie ciała.

I wtedy usłyszałem przeraźliwy, pełen bólu krzyk.

## XIV

Krzyk dochodził ze skraju zagajnika.

Pobiegłem szybko w tamtą stronę przez paprocie.

Abigail stała kilka kroków przede mną i spoglądała w dół, gdzie u stóp wzniesienia zgromadziło się kilkadziesiąt osób.

Jakub, Mały Józef, Szymon, mój wuj Kleofas i wielu innych mężczyzn stali nieruchomo, wpatrując się w nas w milczeniu. Szabi i Jakim ruszyli w naszą stronę, lecz starsi chłopcy natychmiast ich zatrzymali. Tylko Cicha Anna oderwała się od zebranych i potrząsając głową, gestykulując, biegła w stronę Abigail. Jakub wpatrywał się przez długą chwilę najpierw we mnie, potem w Abigail, potem znowu we mnie, a na jego twarzy malował się smutek. W końcu spuścił głowę.

— Przestańcie, odsuńcie się wszyscy — powiedziałem, po czym ruszyłem przed siebie i stanąłem przed Abigail, zasłaniając ją.

Cicha Anna stanęła w pół kroku. Spojrzała na mnie, a potem na gęstniejący tłum i uświadomiła sobie natychmiast tragiczne skutki swego nieopatrzności zachowania.

Ja także w tej chwili to pojąłem. To Anna zaalarmowała domowników i mieszkańców wioski, kiedy Abigail zniknęła. To ona przyprowadziła ich tutaj i dopiero teraz zrozumiała swoją straszną pomyłkę.

Słyszałem, jak Abigail za mną wypowiada półgłosem pospieszne słowa modlitwy.

U stóp wzgórza gromadziło się coraz więcej mężczyzn, którzy nadchodzili ze wszystkich stron: od pół, od wioski, od biegnącego w oddali gościńca. W naszą stronę biegli chłopcy.

Od strony wioski zmiierzali także ku nam szybkim krokiem Jazon i Ruben z Kany.

Ktoś krzyknął, żeby wezwać rabiego. Od razu wszyscy zaczęli domagać się rabiego.

Jakub się odwrócił i zawołał do synów, aby natychmiast sprowadzili Józefa i starszych. Na ustach wszystkich pojawiło się imię „Szemajach” i nagle Abigail podbiegła do mnie i zrobiła coś tak zgubnego dla siebie jak niegdyś Jitra, który opiekuńczo otoczył ramieniem Sierotę, rzuciła się bowiem na mnie i objęła.

W powietrzu rozległ się świst kamieni. Jeden przeleciał tuż obok mojej głowy. Razem z kamieniami poleciały w naszą stronę okrzyki: „Obłudnik!”, „Nierządnic!”

Odwróciłem się i zasłoniłem Abigail. Jakub podbiegł w naszą stronę, odgrodził nas od tłumy i wyciągnął rękę. Biegły teraz w naszą stronę ciotka Estera i grupka innych kobiet podążających za nią gęsiego. Kiedy ciotka znalazła się przy nas, krzyknęła przeraźliwie. Ludzie przestali rzucać kamienie.

— Szemajach, Szemajach! — wołali i po chwili rozstąpili się, by przepuścić rabiego i Hananę z Kany, którzy zaczęli się wspinać po zboczach, mając po bokach starszych wioski.

Rabbi spoglądał na nas zdumiony, lustrując przy tym dokładnie każdy szczegół sceny rozgrywającej się przed jego oczyma. Ruszyłem w jego kierunku, odtrącając próbującego mnie zatrzymać Jakuba.

— Zapewniam cię, że nic tu nie zaszło, tylko rozmawialiśmy w gaju oliwnym, gdzie często chodzę i gdzie, o czym każdy wie, często można mnie znaleźć.

— Abigail! Czy oskarżasz tego mężczyznę?! — krzyknął rabbi, a jego twarz pobladła z oburzenia.

Kręciła przecząco głową, nie mogąc z przejęcia złapać tchu.

— Nie! — krzyknęła wreszcie. — Nie, on jest niewinny! Nic nie zrobił!



— W takim razie co oznacza to zbiorowe szaleństwo? — zawołał rabbi. Odwrócił się w stronę cizby, gdzie wielu wyciągało głowy, chcąc dokładniej zobaczyć, co się dzieje. — Powiadam wam, zaprzestańcie natychmiast tego, co robicie, i wracajcie do swych domów!

— Idźcie stąd wszyscy! Natychmiast! Słyszycie?! — zawołał Jazon. — Nie ma tu nic do oglądania. Zabierajcie się stąd! Upaja was to całe zbiegowisko! Idźcie do domu!

Ale odpowiedziały mu groźne pomruki i dobiegające ze wszystkich stron oskarżenia:

— Sami w gaju! Abigail i Jezua!

Słyszałem tylko strzępy tego, co krzyczeli ludzie. Widziałem Józefa idącego pospiesznie pod górę w naszą stronę i Menachema daremnie próbującego go podtrzymać i pomagać we wspinaczce. Biegło w naszą stronę coraz więcej kobiet. Abigail wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

— Zaprowadźcie ją natychmiast do domu! — poleciłem. W tej samej chwili poczułem na sobie czyjeś ramiona. Od tyłu chwycił mnie mój brat Mały Józef. — Przestańcie! Co robicie?! — zawołałem.

— Szemajach — krzyknął Mały Józef i rzeczywiście ujrzeliśmy, jak wspina się szybko, rozpychając gapiów, ojciec Abigail.

Dziewczyna, ujrawszy go, skuliła się ze strachu. Ciotka Estera próbowała ją podtrzymać, lecz Abigail, potknąwszy się, straciła równowagę i upadła na ziemię, wyslizgując się z objęć Estery.

Rabbi zastąpił drogę Szemajachowi, który zamachnął się, by go uderzyć, lecz w ostatniej chwili jego robotnicy chwycili go za rękę. Inni mężczyźni powstrzymali Jazona, który z kolei chciał uderzyć Szemajacha, jeszcze inni zatrzymali w ostatniej chwili Rubena. Wydawało się, że za chwilę zacznie się ogólna bijatyka.

Szemajach w końcu odtrącił tych, którzy krępowali mu ruchy. Wbił nienawistne spojrzenie najpierw w córkę, potem we mnie. W końcu ruszył w moją stronę.

— Będiesz pił z tego pękniętego kubka do końca życia — przeklinał mnie. — Ty podły, cuchnący kłamco, ty złodzieju zasługujący na potępienie!

Abigail znowu zaczęła przeraźliwie krzyczeć:

— Przestań! Przestań! On nic nie zrobił! — Podniosła się i błagalnie wyciągnęła ku niemu rękę: — On nic nie zrobił, ojcze!

— Przeklinam cię! — krzyknął do mnie Szemajach. Moi bracia stanęli między nim a mną, zastawiając mu drogę. Poczułem, jak z tyłu chwytają mnie ramiona ciotki Estery, a z przodu ręce Sylasa i Lewiego.

— Puśćcie mnie! Przestańcie! — Próbowałem się wyrwać, lecz rąk było zbyt wiele.

— Myślisz sobie, że moja córka to nierządnicą, że możesz jej to robić?! — krzyknął Szemajach, z twarzą czerwoną z wściekłości, także próbując się wyrwać trzymającym go mężczyznom.

Przytrzymywany przez krewnych dostrzegłem kątem oka, że Szemajach dobiegł do Abigail, chwycił ją za ramiona i zaczął potrząsać tak mocno, że głowa dziewczyny poruszała się bezwładnie w przód i w tył, a welon spadł na ziemię.

Z tłumu podniósł się krzyk aprobaty, tak głośny, że wszyscy szamocący się znieruchomieli.

Poły płaszcza Abigail się rozchyliły. Teraz wszyscy widzieli haftowaną złotem tunikę. Także Szemajach. Zerwał z córki gwałtownym ruchem płaszcza i cisnął go na ziemię.

Kompletnie zaskoczeni gapie wydali nieokreślony jęk.

Abigail stała, śmiertelnie przerażona, jakby niezdolna pojąć, co się właściwie stało. Po chwili spojrziała na siebie i uświadomiła sobie, co wszyscy wiedzą. Prześwietlając tunikę utkaną z cienkiego lnu, wyszywaną na rękawach i u dołu złotą nicią.

Cicha Anna i Szabi chwycili płaszcz i próbowali zarzucić dziewczynie na ramiona, ale nim zdolali to uczynić, Szemajach potężnym ciosem powalił Szabiego na ziemię.

Abigail podniosła wzrok na ojca i wpatrywała się w niego przełknięta. Przytrzymała kurczowo pod szyją rozwiązane złote tasiemki tuniki, po czym krzyknęła niskim, przejmującym głosem:

— Czyż jestem nierządnicą?! — wołała. — Ja nierządnicą?! W ślubnej tunice mej matki zaiste jestem nierządnicą!

— Powstrzymajcie ją! Weźcie ją stąd! — zawołałem. — Rabbi, to przecież jeszcze dziecko!

— Nierządnicą! — krzyknęła Abigail jeszcze raz, rozdzierając tunikę pod szyją. — Tak, jestem nierządnicą! Jestem waszą nierządnicą! — krzyczała, szlochając. Zaczęła się cofać, potykając się, i odsunęła się od ojca i otaczających ją dzieci.

— Nie! — zawołałem. — Abigail! Przestań!

Jazon wyrwał się z uścisku mężczyzn, lecz ledwie przebiegł kilka kroków, czyjeś ręce powaliły go na ziemię.

I znowu rozległ się ten przerażający dźwięk. Świst kamieni w powietrzu. Dzieci krzyczały przerażone. Cicha Anna upadła na ziemię.

— Przestańcie! Przestańcie w imię Najwyższego!

Abigail znowu się cofnęła, krzycząc jeszcze głośniejsze:

— Nierządnicą! — Palcami zakrzywionymi niczym szpony rozczochrała sobie włosy i zakryła nimi twarz. — Spójrzcie na tę nierządnicę! — wołała.

Od strony tłumu popłynął zgodny krzyk potępienia i gorączkowe, wściekłe wrzaski, które napelniły mnie przerażeniem. Obok nas przelatywały kamienie. Staralem się ze wszystkich sił wyrwać braciom, którzy ciągnęli mnie ku ziemi. Czułem, jak ich ręce trzymają, niczym w kleszczach, moje kolana i kostki. Ciągnęli mnie ku sobie, a ja wyrывałem się, sapalem, krzyczałem.

Przeraźliwe krzyki i płacz dzieci mieszały się z klątwami i złorzeczeniami.

— Panie, Boże w Niebie, dlaczego dopuszczasz do tego? — zawołałem. — Powstrzymaj to!

*Ojcze, ześlij deszcz!*

Rozległ się ogłuszający grzmot.

Niebo pociemniało w jednej chwili, światło zgasło, upadłem jak długi na kamienistą ziemię, lecz pozbierałem się szybko i ukląknęłem. Znowu rozbrzmiał grzmot i przetoczył się po niebie. Wstałem. Spojrzałem na ciężkie, ołowiane chmury wiszące nad ziemią.

Oślepiła mnie błyskawica. Tłum wydał jęk przerażenia. Znowu rozległ się grzmot.

Przed sobą widziałem Abigail. Stała otoczona dziećmi, ocalona przez dzieci, przez Izaaka, Szabiego, Jakima i Cichą Annę, którzy otoczyli ją ciasnym kręgiem i trzymali się jej kurczowo, oni i mnóstwo innych dzieci, niektóre leżały u jej stóp i wszystkie zwracały zapłakane twarze najpierw ku rodzicom, skamieniałym z przerażenia, a potem ku niebu, na którym kotłowały się chmury. Ciotka Estera także przywarła do Abigail i przytuliła ją do siebie. Z ziemi podniósł się Jakub, którego nie przytrzymał już inni mężczyźni, i wpatrywał się zdumiony w nieboskłon.

— Ocalona! — wyszeptalem. Wciągnąłem w płuca ciepłe, wilgotne powietrze. — Ocalona! — Zamknąłem oczy i upadłem na kolana.

Otworzyły się zawory nieba.

Lunął deszcz.

## XV

Deszcz był tak rześisty i spadł tak nagle, że wszystko wokół pociemniało w jednej chwili i nasze oczy z trudem rozpoznawały cokolwiek w mroku. Jakub razem z Esterą chwycili Abigail, a potem Jakub przerzucił ją sobie przez ramię i pobiegli w stronę wioski, by szukać schronienia przed ulewą.

Ja z braćmi pomogłem podnieść się Józefowi, wzięliśmy go pod ramiona i także zaczęliśmy schodzić pospiesznie ze wzgórza.

Kiedy dotarliśmy do uliczek Nazaretu, które zamieniły się już we rwące potoki, byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Gdzieś tam palily się bladym światłem latarnie, pozwalając zorientować się w ciemnościach, a wokół słycać było tupot bosych stóp, okrzyki trwogi oraz głośne modlitwy.

Biegając bezustannie, dotarliśmy wreszcie na nasz dziedziniec i popychając się wzajemnie, weszliśmy szybko do domu.

Najpierw ostrożnie posadziliśmy pod ścianą Józefa i otarliśmy mu twarz i mokre siwe włosy, które przylgnęły do głowy. Potem zapalono po kolei wszystkie lampy.

Kobiety wprowadziły płaczącą całą czas Abigail. Umieszczono ją w jednej z izb na piętrze, w części domu przeznaczonej dla kobiet.

Wyczerpani mężczyźni położyli się na klepisku, gdzie komu było wygodnie.

Do izby weszły stara Bruria i moja matka, przynosząc suchą odzież. Razem z Małą Miriam oraz Marą, które były z nimi całą czas, zaczęły nas po kolei wycierać, odbierać przemoczone ubrania i suszyć włosy.

Jakub leżał na plecach, dysząc ciężko, i wpatrywał się w powalę. Ja także osunąłem się pod ścianę i siedziałem bez ruchu.

Do izby wszedł wuj Alfeusz i zdumiony rozejrzał się dokoła. Chwilę później w drzwiach stanął wuj Kleofas, zdyszany i ociekający wodą. Razem z nim przybyły ostatnie dzieci z naszego domu, które razem z Menachemem zarygłowały drzwi.

Deszcz bębnił o dachówki, bulgotał w rynnach, spływał do cystern, mykwy i niezliczonych dzbanów porozstawianych u wylotu rynien i po całym dziedzińcu. Krople uderzały o drewniane okiennice, strugi poruszane wiatrem rozpryskiwały się o trzeszczące drzwi.

W milczeniu przebieraliśmy się w suchą odzież i doprowadzali powoli do ładu. Moja matka zajęła się Józefem, delikatnie zdejmując z niego przemoczone ubranie. Dzieci ułożyły w stos drewno do pieca i chodziły tam i z powrotem, szukając dodatkowych kaganków i lamp, które można by zapalić w izbie, w której było tłoczno, lecz przytulnie i bezpiecznie.

Nagle rozległo się głośne łomotanie do drzwi.

— Jeśli ośmieli się tutaj wejść — powiedział Jakub, podnosząc się z klepiska i wyciągając groźnie pięść — jeśli ośmieli się tu wejść, zabiję go.

— Uspokój się, przestań! — zawołała jego żona Mara.

Głośne stukanie nie ustawało, miarowe, nieustępliwe.

Z drugiej strony doszedł nas stłumiony męski głos.

Podszedłem do drzwi, podniosłem zasuwę i otworzyłem.

Przede mną stał Ruben w pięknej lnianej szacie, przemoczonej do cna, podobnie jak i nasze ubrania, a obok niego jego dziadek, zgarbiony, z głową pod wełnianą opończę, mokrą i ciężką od deszczu. Za nimi stały ich konie oraz ludzie wynajęci, by towarzyszyli im w drodze.

Jakub natychmiast zaprosił ich do środka, ja tymczasem udałem się razem z ludźmi Rubena i jego dziadka do stajni. Wrota były otwarte i do środka dostało się trochę wody. Zdjęliśmy uprzęż, a ja położyłem na ziemi wiązki siana. Ludzie Rubena podziękowali mi, pokazali, że mają bukłaki z winem, i dali znak, że mogą już iść.

Przemknąłem do domu, próbując chronić się pod okapem, ale i tak, kiedy znalazłem się z powrotem w izbie, byłem znowu mokry.

Kiedy stałem w drzwiach, dysząc ciężko, podeszła do mnie matka i ponownie podała mi suchą odzież.

Hananel i jego wnuk, przebrani w świeże, wełniane szaty, siedzieli przy piecyku, ze skrzyżowanymi nogami, naprzeciw Józefa. Cała trójka trzymała kubki z winem. Józef odmówił cicho błogosławieństwo i zachęcił gości do picia.

Stary uczony w Piśmie spojrzał najpierw na mnie, a potem na Józefa. Skosztował wina i odstawił kubek.

— Kto teraz mówi w imieniu dziewczyny? — spytał.

— Dziadku, proszę — zaczął niepewnie Ruben. — Dziękuję ci za wszystko, za to, że zgodziłeś się tu przyjechać...

— Kto odpowiada za dziewczynę? — powtórzył pytanie Hananel, nie zwracając uwagi na wnuka. — Nie zostanę w tej nędznej mieścinie ani chwili dłużej niż to konieczne. Tylko po to tu przybyłem i tylko o tym chcę teraz mówić.

Józef gestem wskazał Jakuba.

— Ja mówię w jej imieniu — powiedział Jakub. — Mój ojciec i ja. O czym chcesz rozmawiać? Ona jest naszą krewną.

— Tam samo waszą, jak i naszą — odparł z przekąsem Hananel. — Nie wiesz, o czym chcę mówić? Jak myślisz, po co wlokłem się tutaj w ulewie? Przyjechałem dzisiaj do Nazaretu, by zaproponować małżeństwo tej dziewczynie w imieniu mojego wnuka, Rubena, który siedzi teraz obok mnie i którego znacie tak dobrze jak mnie. Chcę rozmawiać o małżeństwie mojego wnuka i tej dziewczyny. Jej wyrodny ojciec porzucił ją na oczach starszych wioski, na oczach wszystkich, którzy tam byli, łącznie ze mną i moim wnukiem, a skoro mówisz teraz w jej imieniu, rozmawiaj zatem ze mną.

Józef się roześmiał.

Nikt nie powiedział ani słowa, nie poruszył się, nie westchnął, a mimo to Józef wybuchnął śmiechem. Spoglądał w powalę. Jego siwe włosy już wyschły, a oczy lśniły dziwnym blaskiem. Śmiał się, jak gdyby miał jakąś wizję.

— Ach, Hananelu — powiedział wreszcie. — Jak tęskniłem za tobą i nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— I ja tęskniłem za tobą, Józefie — odparł szybko Hananel, po czym dodał: — Zanim ktokolwiek z was, którzy macie się za mędrców, zabierze głos, pozwólcie mi coś powiedzieć: ta dziewczyna jest niewinna. Była niewinna wczoraj i jest niewinna dzisiaj. Jest także bardzo młoda.

— Amen — powiedziałem.

— Ale bynajmniej nie jest biedna — wtrącił natychmiast Jakub. — Odziedziczyła pieniądze po matce i zanim zostanie oddana komukolwiek jako żona, zawrzemy tutaj kontrakt, tak jak należy, i z tego domu wyjdzie jako oblubienica w dniu ślubu.

Hananel skinął głową.

— Dajcie pióro i papirus — polecił, po czym nagle zmienił temat: — Posłuchajcie tego deszczu. Czy dam radę dotrzeć jeszcze dzisiaj do domu?

— Możesz przenocować pod naszym dachem, panie — zaproponowałem, a Jakub mruknął, że się zgadza. Wtedy wszyscy się przyłączyli i zaczęli zapraszać Hananela, żeby został u nas na noc. Matka i stara Bruria zaczęły rozstawiać naczynia z polewką i podawać wszystkim ciepły chleb.

Z głębi domu, gdzieś z góry, dobiegały do mnie podekscytowane kobiece głosy, na tyle głośne, że przebijały się przez monotony szum deszczu. Po chwili ujrzałem schodzącą z góry Marę. Nawet nie zauważyłem, kiedy opuściła izbę i poszła do części domu przeznaczonej dla kobiet. A więc Abigail, moja najdroższa Abigail, która tyle wycierpiała, wiedziała już o wszystkim.

Ciotka Estera przyniosła kilka kart papirusu, atrament i pióro.

— Wszystko spiszcie, wszystko spiszcie dokładnie — poprosił Hananel już innym, beztróskim głosem. — Spiszcie wszystko, co dziedziczy ze strony matki, zgodnie z tym, jak to zapisano publicznie czy prywatnie, czy obiecano pod przysięgą, o czym wiadomo z przekazu, i czego nie zapisano, chyba że za wspólną zgodą lub zgodnie z przysięgą dziewczyny, i nie biorąc pod uwagę słów jej ojca. Wszystko spiszcie.

— Mój panie — powiedziała moja matka, kładąc przed Hananelem jedzenie. — To wszystko, czym możemy cię poczęstować. Polewki może nie jest zbyt wiele, za to chleb jest świeży i jeszcze ciepły.

— To prawdziwa uczta, moje dziecko — odparł starzec, skłaniając głowę w podziękę. — Znałem twój ojca i bardzo go kochałem. To bardzo dobry chleb. — Jego twarz na chwilę się rozjaśniła, po czym spojrzał surowo na Jakuba. — A ty co tam piszesz?

— Zapisuję, co kazałeś.

I tak zaczęło się ustalanie ślubnego kontraktu.

Trwało to dobrą godzinę.

Rozmawiali cały czas, dodając zastrzeżenia i prostując propozycje drugiej strony, ustalając, jak to się zwykle czyni, warunki zawarcia małżeństwa i szczegóły posagu. Jakub targował się uparcie o każdy drobiazg. Posag dziewczyny był jej własnością na zawsze i jeśliby mąż kiedykolwiek ją odprawił, niezależnie od tego, co mówiliby ludzie, jej posag wraca do niej, razem z rekompensatą, jakiej zażądata jej krewni, i tak dalej, i temu podobne, jak to zawsze się ustala przy tych okazjach, i każdy starał się zadbać o wszystko, i cały czas mówili jeden do drugiego: „Tak, ale”, „Tak, ale...” Wreszcie Jakubowi udało się zagwarantować w kontrakcie wszystko, co chciał. Czasami tylko przysłuchujący się rozmowie Kleofas kiwał głową lub podnosił ostrzegawczo palec, lecz w zasadzie to Jakub ustalał warunki z Hananelem, aż wreszcie wszystko zostało spisane i kontrakt podpisano.

— A teraz proszę was, czcigodni — powiedział Hananel, kierując zmęczone spojrzenie w stronę Jakuba i pozostałych mężczyzn — aby do zaślubin doszło natychmiast — mówił niewyraźnie, pewnie z powodu wina, trąc kąciki oczu. — Biorąc pod uwagę wszystko, co wycierpiała to dziecko, to, jak obszedł się z nią ojciec, niech do zaślubin dojdzie od razu. Za trzy dni, może wcześniej. Upieram się przy tym przez wzgląd na dobro tej dziewczyny. Natychmiast wyruszam, by przygotować mój dom.

— Nie, mój panie — odezwałem się. — To nie wystarczy.

Jakub posłał mi ostre i nieufne spojrzenie. Jeśli jednak chodzi o kobiety, żadna nie zdradzała niepokoju. Wiedziały dokładnie, do czego zmierzam.

— Za kilka miesięcy — mówiłem dalej — w święto Purim, Abigail będzie gotowa i będzie czekać na progu tego domu pod chuppą na swego oblubieńca, odpowiednio przygotowana na spotkanie z mężem, i wówczas zbiorą się wszyscy krewni, by was przywitać i zaśpiewać dla was pieśń, poprowadzą was i będą tańczyć z wami. Wtedy będzie wasza.

Jakub wpatrywał się we mnie gniewnie. Wuj uniósł w zdziwieniu brwi, lecz nie odezwał się ani słowem. Józef obserwował całą scenę w milczeniu. Jedynie moja matka i pozostałe kobiety skinęły głowami.

— Ale to dopiero za trzy miesiące — odezwał się wreszcie Ruben, wzdychając żałośnie.

— Tak, mój panie. Zaraz po Purim, kiedy wysłuchamy wszyscy zwoju Estery, tak jak nam nakazuje Prawo.

Hananel przyglądał mi się uważnie, wreszcie także skinął głową.

— To dobry pomysł. Zgadzą się.

— Ale jeśli mogę — wtrącił się Ruben — jeśli mogę, chciałbym przez chwilę ujrzyć dziewczynę, porozmawiać z nią i wręczyć jej podarek.

— Jaki podarek? — zapytał stanowczo Jakub.

Gestem kazałem mu zamilknąć. Wszyscy przecież wiedzieli, że zaręczyny będą nieważne, jeśli Abigail nie otrzyma подарunku od Rubena.

Jakub wpatrywał się we wnuka Hananela ponurym wzrokiem.

Ruben posłusznie położył przed sobą jedwabne zawiniątko. Rozwinął je i naszym oczom ukazał się misternie wykonany złoty naszyjnik, w którym lśniły drogocenne kamienie. Dotąd niewiele razy w życiu widziałem coś tak pięknego. Biżuteria pochodziła z Babilonu, a może z Rzymu.

— Zobaczę, czy Abigail dobrze się czuje i czy może z tobą rozmawiać — powiedziała moja matka. — Ty, panie, napij się tymczasem wina i poczekaj chwilę. Wrócę najszybciej, jak się da.

Z izby nad nami dobiegła nas stłumiona rozmowa. Po chwili weszło kilka kobiet. Ruben podniósł się, a za nim Jakub. Ja stałem cały czas.

Hananel spoglądał wyczekująco, a światło lampy odbijało się od jego twarzy, na której dostrzec można było cień pogardy i znudzenia.

Wprowadzono Abigail.

Ubrana była w prostą tunikę z bielonej wełny, a na niej miała wierzchnią szatę. Jej włosy były pięknie uczesane.

Kobiety popchnęły ją delikatnie do przodu i stanęła naprzeciw Rubena.

Ten wyszeptał tylko:

— Abigail... — Wyciągnął przed siebie jedwabne zawiniątko, trzymając je tak, jakby kryło rzecz kruchą, którą łatwo potłuc.

— To dla ciebie, moja oblubienico — powiedział. — Jeśli zechcesz przyjąć.

Abigail spojrzała na mnie pytająco. Skinąłem głową.

— Śmiało, możesz to wziąć! — zachęcał Jakub.

Abigail wzięła zawiniątko z rąk Rubena i rozwinęła.

Wpatrywała się przez długą chwilę w naszyjnik, oniemiała i oszołomiona.

Potem spojrzała na Rubena z Kany. Ich oczy się spotkały.

Kątem oka obserwowałem Hananela. Jego twarz zmieniła się w jednej chwili. Zniknęły z niej pogarda i chłód. Wpatrywał się w Abigail i wnuka, lecz nie powiedział ani słowa.

Wreszcie Ruben przemówił głosem łamiącym się z przejęcia:

— Moja bezcenna Abigail — zaczął. — Odkąd ostatni raz cię widziałem, przemierzyłem wiele mil. Widziałem po drodze wiele cudów, odwiedziłem wiele miejsc, pobierałem nauki u wielu nauczycieli. Cały ten czas nosiłem jednak w sercu drogocenne dla mnie wspomnienie. A byłaś nim ty, Abigail, twój obraz, kiedy śpiewasz z innymi dziewczętami w drodze do Jerozolimy. W snach wciąż słyszałem twój głos.

Patrzyli na siebie nawzajem. Twarz Abigail była gładka, a jej duże oczy spoglądały łagodnie. Ruben zarumienił się, sięgnął pospiesznie po naszyjnik i wydobył go z zawiniątka trzymanego

przez Abigail. Jedwab opadł na ziemię. Ruben otworzył zapinkę, odwrócił się do nas i gestem zapytał, czy można założyć ozdobę narzeczonej.

— Tak — powiedziała moja matka i skinęła głową. Wzięła naszyjnik od Rubena, założyła go Abigail i zamknęła zapinkę.

Podszedłem i położyłem dłonie na ramionach Rubena i Abigail.

— Przemów teraz do tego młodzieńca, Abigail — zachęciłem ją łagodnie. — Niech wie, co się kryje w twoim sercu.

Twarz Abigail oblała się rumieńcem. Dziewczyna odezwała się niskim głosem, nie kryjąc wzruszenia:

— Jestem szczęśliwa, Rubenie. — W tej chwili jej oczy się zaszklily. — Spotkało mnie straszne nieszczęście — wyszeptęła.

— Wiem...

— Postąpiłam nierozsądnie!

— Abigail — szepnąłem — najważniejsze, że wychodzisz za męża.

— Jesteś bardzo młoda — powiedział Ruben. — Któż z nas zdołałby postąpić rozsądnie, gdyby spotkało go takie nieszczęście? Czym są młodość i niewinność, jeśli nie skarbami, które tracimy, gdy świat wystawia nas na próby? Mogę jedynie dziękować Bogu, że zachował mi ciebie przez wszystkie te lata, gdy jak głupiec wędrowałem po świecie.

W tej chwili kobiety otoczyły ich oboje, zaczęły ich obejmować i poklepywać, a potem ich rozdzieliły i zaprowadziły Abigail z powrotem na górę.

Spojrzałem na przyglądającego mi się uważnie Hananela. W jego wzroku czaiła się przebiegłość, ale zarazem były w nim skrucha i smutek.

Wszyscy nagle zaczęli chodzić po izbie i mówić jeden przez drugiego, zachęcając gości, by udali się do przygotowanej specjalnie dla nich izby, proponując im, by napili się jeszcze wina lub coś zjedli, by odpoczęli lub przedstawili życzenia, jeśli je mają.

Hananel ciągle wpatrywał się we mnie. Wreszcie przywołał mnie skinieniem ręki. Podszedłem i usiadłem obok niego.

— Tak, panie? — spytałem.

— Dziękuję ci, Jeszuo bar Józefie — powiedział wreszcie — za to, że przyszedłeś wtedy do mojego domu.

## XVI

W końcu nasi goście udali się na spoczynek do specjalnie przygotowanej dla nich izby, gdzie czekały na nich najlepsze kobierce położone na słomie i kilka najlepszych poduszek, jakie znaleźliśmy w domu, a także piecyk pełen drewna i woda, gdyby jej potrzebowali. Oczywiście obaj zapewniali, że nasza gościnność przekracza ich oczekiwania, my jednak wiedzieliśmy, że to nieprawda, i powtarzaliśmy, jak nam przykro, że nie możemy dać im jedwabnej pościeli, a wtedy oni mówili, że mamy się już nimi nie kłopotać, a po tym wszystkim udałem się do największej izby, gdzie najczęściej spałem, i położyłem się zmęczony obok piecyka.

Józef siedział w milczeniu, tak jak przedtem, i spoglądał na mnie zamyślonymi oczyma. Wuj Kleofas wpatrywał się w ogień, sącząc z kubka wino i mruczając coś do siebie.

Odczuwałem bolesny smutek. Trwał we mnie cały czas, gdy leżałem w milczeniu, nie zwracając uwagi na moich braci, Józefa i Judę, kiedy wchodzili i wychodzili z izby. Czułem go podskórnie, podobnie jak to, że w izbie są Syłas, Lewi i Mały Kleofas ze swą żoną Miriam.

Wiedziałem, że Abigail została uratowana. Miałem świadomość, że jej cierpienie dobiegło końca. Wiedziałem, że Hananel i Ruben będą dla niej dobrzy aż do końca jej dni. To wiedziałem na pewno.

Wiedziałem jednak także i to, że oddałem Abigail innemu mężczyźnie. Oddałem na zawsze.

Teraz nagle spłynęła na mnie wizja tego, jak mogło być, ujrzałem możliwości, które dostrzegłem przelotnie w tych gorących chwilach w gaju, kiedy przytuliłem Abigail, możliwości, które nigdy się nie ziszczą na skutek konieczności i mojej świadomej decyzji. Teraz płynęły one niczym szeptane szyderstwa, przybierając na chwilę ulotny kształt przed moimi zmatowiałymi oczyma. Widziałem Abigail, moją żonę, razem ze mną w domu pełnym dzieci. Abigail i ja przy codziennych, zwykłych czynnościach, w porośniętej winoroślą altanie, i kiedy jest zmęczona, i jej delikatna skóra (czy nie nazbyt śmiała są moje myśli?), i muśnięcie jej warg, tak, i jej ciało wtulone we mnie każdej nocy, i wszystko to, co by się stało, gdyby stać się mogło, gdybym pojął ją za żonę, gdybym uczynił to, czego spodziewał się po mnie każdy mężczyzna w wiosce, czego spodziewali się po mnie bracia, jeszcze zanim zaczęli o tym mówić inni, gdybym uczynił to, czego wymagały ode mnie tradycja i zwyczaj. Gdybym uczynił to, czego zdawało się pragnąć moje serce.

Nie chciałem spać. Bałem się zasnąć. Pragnąłem spokoju. Chciałem, żeby już nastał dzień, żebym mógł wstać i dokądś pójść, byle gdzie, przed siebie. Chciałem, aby wciąż padał deszcz, aby zmył każdy dźwięk, jaki rozległ się w tej izbie, każde wypowiedziane słowo. Dlaczego o tej porze, po dniu pełnym wrażeń, jeszcze słyszałem rozmowy?

Podniosłem głowę. Ujrzałem stojącego nade mną i patrzącego na mnie gniewnie Jakuba. Obok niego stał Kleofas. Matka próbowała odciągnąć mojego brata, który wahając się przez chwilę, wreszcie wyrzucił z siebie:

— I jak teraz zadbamy o to, żeby panna młoda miała piękne szaty i welon, i chupkę, i družbów, o których mówiłeś z takim przejęciem, i żeby była godna poślubić tak znamienitego człowieka jak wnuk Hananela z Kany?! — Kipiał ze złości. — Powiedz mi, po co ci to było, skoro ty, właśnie ty spowodowałeś to wszystko? Jak mogłeś obiecać, że Abigail będzie miała stroje i uroczystość, których nikt w tym domu nie był w stanie zapewnić nawet twojej siostrze?

Zasypywał mnie wyrzutami, a jego pretensjom nie było końca.

Podniosłem się z klepiska.

Wuj Kleofas spytał mnie łagodnie:



— Dlaczego sam jej nie wziąłeś za żonę? — Potem dodał błagalnie: — Kto wymaga od ciebie, żebyś się nie żenił?

— Och, on jest zbyt święty na małżeństwo — oświadczył z sarkazmem Jakub. — Przewyższyłby w świętości Mojżesza i nie wziąłby sobie żony; przewyższyłby w świętości Eliasza i nie wziąłby sobie żony. Gotów byłby żyć jak esseńczyk, ale nie z esseńczykami, bo przewyższa ich świętością. Gdyby kto inny był z tą dziewczyną w gaju, byłoby już po niej. Ale ty? Nie, wszyscy wiedzą, że ty byś jej nigdy nie tknął!

Przerwał, by zaczerpnąć tchu, najwyraźniej chcąc mówić dalej, lecz w tej chwili się odezwał:

— Zanim zagotujesz się z wściekłości, chcę poprosić moją matkę, żeby przyniosła dary, które mi dano, gdy przyszedłem na świat. Niech je tu postawi przed nami.

— Synu, na pewno tego chcesz?

— Tak — odparłem, nie odrywając wzroku od Jakuba.

Widać było, że ten chce mówić dalej, ale nie dopuściłem go do głosu.

— Poczekaj.

Matka wyszła z izby.

Jakub tymczasem wpatrywał się we mnie z pogardą, gotów w każdej chwili dać upust emocjom. Moi bracia stali za nim. Z boku przyglądali się nam bratankowie. Po chwili do izby weszły ciotka Estera i Mara. Szabi, Izaak i Menachem stali oparci o ścianę.

Śmiało spojrzałem w oczy Jakubowi.

— Jestem zmęczony tobą, bracie — powiedziałem. — W głębi serca jestem zmęczony.

Patrzył na mnie, zaskoczony moimi słowami.

Do izby weszła matka, dźwigając zbyt ciężką dla niej skrzynię. Mara i Estera natychmiast pospieszyły jej z pomocą i wszystkie postawiły skrzynię na środku izby.

Przez wiele lat, od czasu naszego powrotu z Egiptu, skrzynia była schowana w zakamarkach domu. Jakub widział ją już wcześniej, lecz pozostali bracia nigdy jej nie ujrzeli, ponieważ byli synami Kleofasa i przyszli na świat już po moich narodzinach. Żaden z młodszych mężczyzn nigdy nie widział tej skrzyni. Możliwe, że chłopcy będący w izbie nawet o niej nie słyszeli. Mara i Mała Miriam być może nawet nie wiedziały, że istnieje.

Była to skrzynia perska, inkrustowana złotem, zdobiona misternym ornamentem w kształcie winorośli i owoców granatu. Wieko lśniło w świetle lamp tak samo jak złoty naszyjnik, który Ruben podarował Abigail.

— Tobie ciągle za mało, Jakubie, prawda? — rzuciłem, hamując gniew. — Nie wystarczą ci ani aniołowie na niebie w ową noc w Betlejem, ani pasterze, którzy przyszli do stajni, żeby opowiedzieć mojej matce i ojcu o pieśni aniołów, to wszystko dla ciebie za mało! Ani nawet sami magowie, strojni w bogate szaty wędrowcy z Persji, którzy dotarli na wąskie uliczki Betlejem razem z karawaną, prowadzeni przez gwiazdę. I to dla ciebie za mało! Za mało dla ciebie, który na własne oczy widziałeś, jak kładą tę skrzynię przed żłóbkiem! Ciągle za mało, cały czas za mało, żaden znak ci nie wystarczy! Nawet słowa naszej błogosławionej kuzynki Elżbiety, matki Jana bar Zachariasza, kiedy krótko przed śmiercią powiedziała nam o wszystkim, co wyznał jej mąż, gdy nadawał synowi imię Jan, jak przyszedł do niego anioł. I to nie dość. Nie wystarczą ci nawet słowa proroków.

Przerwałem. Dostrzegłem lęk w jego oczach. Cofnął się o krok, a moi bracia razem z nim.

Ja zaś postąpiłem krok do przodu, wówczas Jakub znowu się cofnął.

— Jesteś moim starszym bratem — mówiłem dalej — i głową rodziny. Jestem ci winien posłuszeństwo i powinienem okazywać cierpliwość. Byłem posłuszny, starałem się wytrwać w cierpliwości i nadal będę się starał, i dalej będę okazywał ci szacunek, ponieważ cię kocham i

zawsze kochałem, wiedząc, kim dla mnie jesteś i co musiałeś znieść, i co wszyscy musimy znieść.

Jakub słuchał moich słów w milczeniu.

— Teraz jednak — ciągnąłem — posłuchaj. — Schyliłem się i otworzyłem skrzynię, zdecydowanym ruchem podnosząc wieko. Przypatrywałem się dłuższą chwilę jej zawartości: lśniącym alabastrowym dzbanom i złotym monetom, które wypełniały po brzegi wyłożone tkaniną wnętrze. Wyjąłem wszystko ze skrzyni i wysypałem monety na klepisko. Potoczyły się na wszystkie strony, lśniąc żółtawym blaskiem. — A teraz posłuchaj. To wszystko jest moje, otrzymałem to przy narodzinach i teraz daję na wyprawę dla Abigail, na pierścionie dla niej, bransolety i na wszystko, co zabrał jej ojciec. To na jej chuppę, ofiarowuję to jej! I wreszcie na koniec, mój bracie, chcę ci oświadczyć, że się nie ożenię. A tym — wskazałem na monety — wykupuję się teraz od małżeństwa. To mój wykup!

Jakub spojrział na mnie, a w jego oczach widać było bezradność. Patrzył na rozrzucone monety. Monety z Persji, z czystego złota. Z najczystszej złota, z jakiego bije się najlepsze monety.

Mnie jednak one nie interesowały. Widziałem je już dawno temu. Pamiętałem ich ciężar, gdy trzymało się je w dłoni; pamiętałem chropawość i szorstkość metalu. Lecz chociaż nie spoglądałem na nie, i tak ich blask, gdy lśniły w półmroku izby, docierał do moich oczu.

Wzrokiem pociemniałym ze wzburzenia spojrzałem na Jakuba.

— Kocham cię, mój bracie! — powiedziałem. — A teraz zostaw mnie w spokoju.

Niepewnie wyciągnął ręce w moją stronę.

Objęliśmy się nawzajem.

W tej chwili rozległo się stukanie do drzwi, długie, natarczywe, a z drugiej strony dobiegł nas donośny głos Jazona:

— Jeszuo, otwórz nam! Otwórz nam, Jeszuo!

Spuściłem głowę i skrzyżowałem ramiona. Spojrzałem na matkę i uśmiechnąłem się zmęczony. Położyła mi rękę na karku.

Kleofas otworzył drzwi.

Wprost z rześistej ulewy wkroczyli do izby skuleni rabbi i Jazon, owinięci w wełniane opończe. Drzwi uderzyły z hukiem o ścianę, pchnięte wściekłym wiatrem, a do izby wpadł, niczym spuszczone z uwięzi zwierzę, gwałtowny podmuch. Kleofas z trudem zamknął drzwi z powrotem.

— Jeszuo! — zwrócił się rabbi od razu do mnie, nie zadając sobie trudu, by pozdrowić pozostałych. — W imię Nieba, powstrzymaj to!

— Co? — spytał Jakub, nie rozumiejąc, o co chodzi rabbiemu.

— Deszcz, Jeszuo! — wyjaśnił rabbi błagalnym tonem, ciągle schowany pod kapturem. — Jeszuo, przecież to powódź!

— Niedługo zmyje całą wioskę — dodał Jazon. — Każda cysterna, mykwa, dzban pełne są wody! Już jesteśmy prawie jak w jeziorze! Wyjdź na zewnątrz! Posłuchaj, co się dzieje! Nie słyszysz?!

— Chcecie, żebym się pomodlił, by przestało padać?

— Tak — odparł rabbi. — Przecież to ty modliłeś się, by spadł deszcz, prawda?

— Modliłem się przez całe tygodnie, tak jak inni — odparłem i była to prawda. I wtedy moje myśli powróciły do tej strasznej chwili koło gaju oliwnego: „Ojcze, powstrzymaj to! Ześlij deszcz”. — Rabbi — rzekłem. — Niezależnie od tego, o co i jak się modliłem, to sam Pan zesłał nam deszcz.

— Ależ tak, to prawda, mój synu — odparł pojednawczo rabbi, wyciągając ręce i ściskając moje dłonie. — Ale teraz proszę cię, módl się do Pana, aby deszcz ustał. Błagam cię!

Ciotka Estera zaczęła się śmiać. Wuj Kleofas także wybuchnął śmiechem i zaraz przyłączyły się do niego Salome i Mała Miriam.

— Uspokójcie się! — rzucił krótko Jakub. Wciąż nie mógł się otrząsnąć po tym, co wydarzyło się przed chwilą, lecz w końcu opanował się i spojrzał na mnie.

— Jeszuo, czy będziesz przewodniczył naszej modlitwie do Pana, by zamknął zawory nieba natychmiast, jeśli taka jest Jego wola?

— Zaczynamy — powiedział rozkazującym tonem Jazon.

— Bądź cicho! — ofuknął go rabbi. — Jeszuo, módl się.

Skloniłem głowę. Odsunąłem ich wszystkich w myślach daleko od siebie. Oczyszcziłem umysł ze wszystkiego, co mogłoby stanąć między mną a moimi słowami. Włożyłem w modlitwę całe moje serce, wypowiadając ją powoli, z każdym oddechem.

— Miłościwy Panie, Stwórco wszystkich dobrych rzeczy — zacząłem — który ocaliłeś nas dzisiaj od rozlewu niewinnej krwi...

— Jeszuo! Módl się, żeby przestało padać! — zawołał zniecierpliwiony Jazon. — Jeśli tego nie zrobisz, to lepiej chwytaj za młotek i gwoździe i zacznij zbijać arkę, bo będzie nam zaraz potrzebna!

Kleofas nie utrzymał powagi, która dopiero co zagościła na jego twarzy, i znowu wybuchnął śmiechem. Kobiety także zaczęły chichotać. Tylko dzieci stały bez słowa i wpatrywały się w nas przestraszonymi oczyma.

— Mogę mówić dalej? — spytałem po chwili.

— Módl się, zanim woda zaleje wszystkie domy!

— Panie w Niebiosach, jeśli taka jest Twoja wola, połóż kres tej ulewie.

Deszcz ustał.

Krople przestały bębnić o dach. Wiatr przestał szarpać okiennice. Ucichł wysoki, świszczący dźwięk strumieni wody lejących się z nieba i siekących kamienne płyty dziedzińca.

Zapanowała niezwykła cisza. Słyszeć było tylko wodę bulgocącą w rynnach i spływającą z okapów.

Po moim ciele przeszedł dziwny chłód, coś w rodzaju gęsiej skórki, tak jakby moja skóra stała się nagle wyjątkowo wrażliwa. Poczułem pustkę, a potem stopniowo powróciło do mnie to, co ze mnie wyszło. Odetchnąłem z trudem, a wszystko przede mną stało się na chwilę rozmyte i zamglone.

Po chwili dotarło do mnie, że rabbi zaintonował psalm dziękczynny. Zacząłem śpiewać razem z nim. Kiedy doszedł do ostatniego wersu, zaintonowałem następny psalm, mówiąc w świętym języku:

— Niech szumi morze i to, co je napęlnia,  
świat i jego mieszkańcy!  
Niech rzeki klaszczą w dłonie,  
niech góry razem wołają radośnie  
przed obliczem Pana, bo nadchodzi  
sądzić ziemię.  
On będzie sędził świat sprawiedliwie  
i według słuszności — ludy.

Wszyscy przyłączyli się i odmawiali psalm razem ze mną.

Kręciło mi się w głowie i byłem tak osłabiony, że niewiele brakowało, a upadłbym na ziemię. Odwróciłem się, wyciągnąłem ręce do ściany i usiadłem powoli i ostrożnie koło piecyka. Józef cały czas siedział pod ścianą, wpatrując się przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Wreszcie powoli podniosłem głowę. Wszyscy, nie wyłączając dzieci, milczeli, nie śmiać wymówić ani słowa.

Rabbi spoglądał na mnie łagodnym i smutnym wzrokiem, a w oczach Jazona widać było zdumienie.

Jednak to Jazon jako pierwszy się otrząsnął i chyląc przede mną głowę, powiedział:

— Dziękujemy ci, Jezuo.

Rabbi natychmiast przyłączył się do podziękowań i podobnie uczynili wszyscy w izbie, jeden po drugim. W pewnej chwili Jazon wskazał palcem przed siebie.

— A to co takiego? — spytał, wpatrując się w złotą skrzynię, a następnie kierując wzrok na blyszczące w półmroku, rozrzucone po klepisku monety.

Zdumiony przyglądał się przez chwilę monetom i wreszcie rzekł:

— A więc to jest ten skarb! Popatrzcie, a ja nigdy w niego nie wierzyłem...

— Chodźmy już — przerwał mu rabbi, popychając go w stronę drzwi. — Dobranoc wam wszystkim, błogosławione dzieci, i niech błogosławieństwo spocznie na wszystkich pod tym dachem. Jeszcze raz wam dziękujemy.

A potem nasz dom zaczęli odwiedzać mieszkańcy Nazaretu i rozpoczęto wymieniać szeptem grzeczności, jak to zwykle czynili goście i rodzina. Myśmy chcieli ich częstować winem, oni oczywiście odmawiali, drzwi otwierały się i zamykały. Wreszcie zapadła cisza. Przewróciłem się na bok, podłożyłem ramię pod głowę i zamknąłem oczy.

Ktoś pozbierał z klepiska monety i włożył z powrotem do szkatuły. Tylko tyle słyszałem, i to jak przez mgłę. Potem jeszcze ktoś cicho przeszedł, szurając nogami. Odpływałem powoli w bezpieczne miejsce, tam, gdzie mogłem chociaż przez chwilę być sam, nawet jeśli nad moją głową zebrało się wielu ludzi.

## XVII

Deszcz splukał pył i kurz. Strumień znów płynął szeroką strugą, a pola nasiąkły wodą i wiadomo było, że wkrótce będzie można rozpocząć orkę i że w tym roku będą jeszcze bogate żniwa. Pył nie oblepiał już suchą, dławiącą skorupą trawy i drzew, a drogi, grząskie pierwszego dnia po ulewie, następnego ranka były już zdatne dla ludzi i wozów, na porośniętych dziką roślinnością wzgórzach zaś pojawiły się, jak zawsze niezawodnie, w ogromnej obfitości i różnorodności polne kwiaty.

Każda cysterna, mykwa, dzban, dzbanek, wiadro i beczka w Nazarecie i w sąsiednich wioskach i miastach wypełniły się wodą. Nasze miasteczko ożyło, bo w każdym domu kobiety zabrały się z radością do prania i pracy w ogródkach.

Legendy wspominały o wielu mężach, którzy zwracając się w modłach do Pana, potrafili przywołać i powstrzymać deszcz, a najślawniejszym z nich był bez wątpienia Honi Galilejczyk, żyjący kilka pokoleń wcześniej, lecz poza nim było także wielu innych.

I dlatego ludzie bez przerwy przychodzili do naszego domu nie po to, by pochwalić: „Ach, Jezuo, co za wspaniały cud!”, ale z wyrzutami: „Dlaczego wcześniej nie modliłeś się o to, by spadł deszcz?” lub „Jezuo, wiedzieliśmy, że się pomodlisz, ale dlaczego zwlekałeś z tym tak długo?” I tym podobne.

Niektóre słowa wypowiedano żartobliwie, większość zupełnie poważnie. Mimo to w głosie niektórych odwiedzających pobrzmiewało szyderstwo i sam słyszałem, jak ludzie często szepczą między sobą, czy to podczas pracy, czy na uliczkach Nazaretu: „O, gdyby kto inny był tam wtedy w gaju!” albo „No, ale tam był Jezua, więc wiecie, nic się nie stało”.

Cała rodzina była teraz zajęta pracą, której nagle pojawiło się bardzo wiele, i nawet Cichą Annę skłoniono do tego, żeby pierwszy raz od chwili, gdy przybyła do nas, opuściła Nazaret i udała się razem z moją matką i ciotkami do Seforis, aby kupić najdelikatniejsze lniane płótno na tunikę dla Abigail i na pozostałe szaty oraz welony i żeby znaleźć tych, którzy tkają lub sprzedają najpiękniejszy złotogłów.

Kiedy pracowaliśmy w Seforis, wykorzystywałem każdą sposobność, by pomagać Jakubowi, a on przyjmował moje drobne gesty serdeczności chętnym sercem. Ilekroć było to możliwe, obejmowałem go, a on odwzajemniał moje gesty. A nasi bracia widzieli, jak się obejmujemy, i słyszeli, jak zwracamy się do siebie z dobrocią i miłością, tak samo dostrzegały to kobiety w naszym domu. Nawet żona Jakuba, Mara, stwierdziła, że Jakub się teraz zmienił, i mówiła, że wielka szkoda, że wcześniej nie zrobiłem z niego takiego człowieka. Ale tego nie wyznała mi sama, lecz usłyszałem to w tajemnicy od ciotki Estery.

Rzecz jasna, Jakub któregoś dnia spytał, uznając, że tak będzie najlepiej, czy nie powinniśmy posłać po położną, aby Ruben z Kany nie miał już żadnych wątpliwości. Kiedy kobiety w naszym domu to usłyszały, wyglądało na to, że uduszą go gołymi rękoma.

— Ileż położnych może wkraczać na dziewicze terytorium i nie uszkodzić przy tym pieczęci, której nienaruszony stan mają właśnie potwierdzić, he? — zapytała go gniewnie ciotka Estera.

Od tej pory nie było już o tym więcej mowy.

Samej Abigail nigdy nie widziałem. Mieszkała odgradzona od innych razem ze starą Brurią w części domu, do której wstęp miały tylko kobiety, otrzymała jednak trzy listy od Rubena bar Daniela bar Hananela z Kany i przeczytała je głośno wszystkim zgromadzonym oraz odpisała na nie własną ręką, kreśląc słodkie i miłe sercu słowa, a ja sam zaniósłem te listy do Kany.

Co do Rubena, odwiedzał naszą wioskę przy każdej sposobności, by dyskutować z Jazonem nad tym czy owym nakazem Prawa, głównie jednak po to, by chodzić koło naszego domu w daremnej nadziei, że uda mu się chociaż przez chwilę ujrzeć swą oblubienicę, co jednak nigdy się nie zdarzyło.

Co do Szemajacha, jego hańba została zmazana. Jako największy bogacz w Nazarecie uczynił coś, o czym marzyłby pewnie niejeden biedak, a czego nie odważyłoby się uczynić wielu — ani bogatych, ani biednych. A zrobił to szybko i sprawnie.

Usłyszeliśmy o nim tydzień później, kiedy wtaszczył na nasz dziedziniec wszystkie stroje i ubrania należące do jego córki.

Powinienem jeszcze dodać, że wszystkie te cenne rzeczy znajdowały się w skórzanych kufrach. Wyjmował je z nich i ciskał przez kratownicę, a one spadały niczym pociski na oblężone miasto.

Co do mnie, przeżywałem straszną udrękę.

Byłem zmęczony i wyczerpany, jak człowiek, który wspinał się przez siedem dni na szczyt stromej góry. Nie mogłem pójść do gaju, między oliwki, by się zdrzemnąć. Nie, gaj oliwny był zbrukany moim nierozumnym postępowaniem i nie zaznałbym w nim spokoju, ponieważ natychmiast budziłyby się w mej pamięci oskarżenia, gniewne krzyki i szydercze uśmiechy. Nie, gaj był dla mnie stracony na zawsze.

A przecież właśnie teraz potrzebowałem go jak nigdy dotąd. Jeszcze nigdy nie pragnąłem tak bardzo być w nim zupełnie sam i cieszyć się wolnym od zakłamania, niewinnym szczęściem.

Zamiast tego spacerowałem po okolicy.

Wieczorami wędrowałem po wzgórzach. Chodziłem do Kany i z powrotem i wypuszczałem się tak daleko, jak to było możliwe, i czasami wracałem do domu, dopiero kiedy zapadła już noc, opatulony szczelnie opończą, ze zgrabiętymi z chłodu palcami. Nie przejmowałem się tym, że doskwierało mi zimno. Niewiele znaczyło dla mnie wyczerpanie. Miałem tylko jeden cel: zmęczyć się tak bardzo, by spać jak kamień, nie mieć żadnych snów i w ten sposób jakoś przetrwać ból, którego doświadczałem.

Nie umiałem wyraźnie wskazać jego źródła. Nie był spowodowany bezustannym szeptaniem ludzi o tym, że przebywałem w gaju oliwnym sam na sam z dziewczyną; nie brał się stąd, że wkrótce miałem ją zobaczyć jako szczęśliwą oblubienicę. Nie wynikał nawet z tego, że zraniłem mego brata, ponieważ uzdrawiając tę ranę, odczuwałem naszą braterską miłość jeszcze mocniej niż przedtem.

Był to raczej straszliwy wewnętrzny niepokój, przeświadczenie, że wszystko, co dzieje się wokół mnie, stanowi dla mnie jakiś znak.

Wreszcie któregoś wieczoru, gdy dobiegł końca kolejny pracowity dzień — kładliśmy posadzkę i nigdy wcześniej kolana mnie tak nie bolały — poszedłem do domu esseńczyków w Seforis, gdzie mężczyźni o łagodnych i spokojnych ruchach, odziani w lniane szaty, obmyli mi nogi, tak jak każdemu strudzonemu przybyszowi, i gdzie dano mi kubek zimnej wody, a ja przyjąłem go z wdzięcznością.

Siedząc w niewielkim przedsionku, obserwowałem przez długą chwilę mężczyzn krzątających się po domu. Nie pamiętałem dokładnie imion ich wszystkich. Esseńczycy mieli wiele takich domów, chociaż nie były one przeznaczone dla takich jak ja, mieszkających w pobliżu, lecz dla podróżnych potrzebujących noclegu.

Czy ci młodzi mężczyźni, którzy przybyli tutaj z innych wspólnot esseńczyków, znali mnie? Tego nie wiedziałem. Przyglądałem się uważnie tym, którzy sprząтали, zmiotali podłogę i przechodzili czasem przez przedsionek, a także tym w głębi domu, w małej bibliotece, zajęтым

studiowaniem ksiąg. Byli również między nimi starcy, którzy przebywali w tym domu bardzo długo. Ci z pewnością znali wszystkich.

Nie miałem odwagi ich o to zapytać. Siedziałem jedynie i czekałem. Czekałem.

Wreszcie jeden z najstarszych podszedł do mnie chwiejnym krokiem, powłócząc nogą i podpierając się laską, i usiadł na ławie obok mnie.

— Jeszuo bar Józefie — zwrócił się do mnie — czy miałeś ostatnio jakieś wieści od swego kuzyna?

To była odpowiedź na moje pytanie.

Podobnie jak my, nie wiedzieli, gdzie przebywa Jan bar Zachariasz.

Powiedziałem, że nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości, i półgłosem rozmawiałem ze starcem o tych, którzy odeszli na pustkowie modlić się i przebywać w samotności z Panem, i jakie to musi być uczucie spędzać samotne noce pod gwiazdami i słuchać jęku pustynnego wiatru. Starzec nigdy nie zaznał czegoś takiego. Ja także. Żaden z nas nie wymienił już więcej imienia Jana.

Wreszcie ruszyłem z powrotem, wybierając najdłuższą drogę przez wzgórze i polanę, a potem w górę, wzdłuż strumienia, przez sam strumień, i wreszcie w stronę domu, tak że gdy dotarłem na miejsce, byłem tak wyczerpany, że osunąłem się na klepisko obok piecyka, przedstawiając sobą tak żalosny widok, że każdemu odchodziła ochota do jakichkolwiek pytań.

Ile dni minęło mi w ten sposób?

Nie liczyłem. Znowu zagościły u nas na krótko deszcze. Niezbyt ulewne, były błogosławieństwem dla każdego źdźbła trawy i rośliny.

Ludzie Szemajacha wyszli orać pola, on jednak pozostawał w domu i nie chciał wydawać nawet najprostszych poleceń. Widziałem go któregoś ranka, jak szedł pospiesznie uliczką, a następnie z hukiem zatrzaskał za sobą drzwi, jakby postanowił zniszczyć własny dom.

Mijały dni. W powietrzu panował orzeźwiający chłód, wszystko wokół nas mieniło się zielenią, a po niebie sunęły białe obłoki. Były to dni, kiedy bluszcz na kratownicach piał się coraz wyżej; czas nowych planów i radosnych nadziei. Wkrótce miało przyjść na świat dziecko Małego Kleofasa i Małej Miriam, a przynajmniej tak mi powiedziano, zresztą sam widziałem tego dowody. I żadnych nowych wieści z Judei, poza tymi, że prokurator Poncjusz Piłat zadomowił się już na dobre i że jak dotąd doszło tylko do kilku drobnych utarczek między nim a władzami Świątyni.

Którejś nocy długo włączyłem się po okolicy, a w głowie wciąż kotłowały mi się myśli. Wreszcie, kiedy było już dawno po wieczornym posiłku, dowlokłem się do domu, zjadłem trochę chleba i polewki i położyłem się spać. Czułem, jak matka nakrywa mnie pachnącą świeżością derką. Ponieważ wody było teraz pod dostatkiem, w całym domu unosił się zapach świeżo upranej wełny. Pocałowałem jej dłoń, nim odeszła. Z początku miałem jakieś sny, potem zapadłem w nicość.

Nagle się przebudziłem. Obok mnie siedział ktoś i płakał. Strasznie płakał. Był to płacz mężczyzny, który nie potrafi płakać. Zduszony i rozpaczliwy szloch kogoś, kto nie umie zdobyć się na łzy.

Ale kiedy otworzyłem oczy, w izbie było cicho i spokojnie. Kobiety były zajęte szyciem. Matka spytała:

— Co się stało?

— Płacz — odparłem. — Ktoś płacze.

— Nie u nas — odparł Jakub.

Odrzuciłem derkę.

— Gdzie jest kontrakt małżeński Abigail?

— Jak to gdzie? Schowany bezpiecznie w skrzyni. Czemu pytasz? — zdziwił się Jakub. — O co ci chodzi?

Skrzynia, o której mówił Jakub, nie była tą, którą dostałem od magów. Była to zwykła drewniana skrzynia, w której trzymaliśmy atrament i ważne dokumenty.

Podszedłem do niej, otworzyłem i wyjąłem kontrakt małżeński Abigail. Zwinąłem go, przewiązałem rzemieniem i wyszedłem z domu.

Niedawno musiał padać deszcz, bo wszędzie było mokro.

Wilgotne kamienie lśniły w świetle księżyca. Nazaret pod jasno rozświetlonym niebem wyglądał niczym miasto ze srebra.

Drzwi domu Szemajacha były uchylone i przez szparę sączyło się nagle światelko.

Podszedłem bliżej i pchnąłem drzwi.

Usłyszałem teraz wyraźnie jego płacz. Słyszałem straszny, dławiący szloch, gorzkie łkanie, jakby dusił go własny ból.

Siedział sam w pozbawionej sprzętów izbie. Ogień w piecyku dawno już wygasł. Palił się tylko jeden kaganek na klepisku i jedyną pociechą był zapach zmieszanej z wonnościami oliwy.

Zamknąłem drzwi i usiadłem obok niego. Nie spojrzał na mnie.

Wiedziałem, jak to wszystko się zaczęło, i dlatego powiedziałem, że jest mi bardzo przykro z powodu tego, co uczyniłem, a co stało się przyczyną jego smutku. Wyznałem mu wszystko.

— Boleję nad tym, że tak się stało, Szemajachu — powiedziałem.

Jego szloch stawał się coraz głośniejszy. Narastał i wypełniał małą izbę. Był to płacz bez słowa. Stary mężczyzna siedział pochylony, z głową opuszczoną na piersi, kołysząc się w przód i w tył.

— Szemajachu, mam ze sobą kontrakt małżeński Abigail. Wszystko odbyło się tak jak należy i zgodnie z Prawem. Zostanie poślubiona Rubenowi z Kany. Spójrz, Szemajachu, tutaj jest to zapisane.

Wyciągnął rękę, nawet nie patrząc w moją stronę, i wyczuł dłonią papirus, potem odsunął go delikatnie, wreszcie spojrzał na mnie tępym wzrokiem i położył mi na karku ciężką dłoń. W końcu oparł głowę na moim ramieniu, nie przestając szlochać.



## XVIII

Siedziałem z Szemajachem dobrą godzinę. Kiedy wróciłem do domu, włożyłem kontrakt z powrotem do skrzyni, nie zwracając na siebie uwagi.

W izbie przebywali Jazon, rabbi oraz prawie wszyscy moi bracia i rozprawiali o czymś z wielkim podnieceniem.

Gdy wszedłem do środka, natychmiast zobaczyłem zaniepokojone twarze.

— Gdzie byłeś? — zawołała moja matka.

Słyszałem szelest papirusu, a Jazon zaczął potrząsać mnie gwałtownie za ramię.

— Jazonie, daj mi dzisiaj spokój, proszę cię — powiedziałem. — Chce mi się spać. Czy nie możemy poczekać z tym do jutra, cokolwiek to jest?

— Och, musisz to usłyszeć — wtrąciła się matka. — Miriam — dodała, zwracając się do swej kuzynki — idź i przyprowadź Abigail.

Zacząłem się dopytywać, co takiego muszę usłyszeć i co jest tak pilne, że trzeba nawet budzić Abigail i sprowadzać ją o tej porze, ale wszyscy odpowiadali jeden przez drugiego i niewiele rozumiałem.

— Listy — mówiła moja matka. — Musisz zapoznać się z listami.

— Właśnie, listy — dodał rabbi — listy z Kafarnaum od twojego kuzyna Jana bar Zebedeusza i od twojej siostry Małej Salome.

— Posłaniec właśnie przywiózł pocztę — dorzucił Jazon. — Dostałem list. Mój wuj także. Przyszły listy do ludzi po tej stronie wzgórza, na szczycie, i do tych po tamtej, na dole. Musisz wysłuchać, co w nich napisano, bo jutro będzie o tym mówić cała Galilea!

Usiadłem na swoim miejscu, tam gdzie zawsze. Józef nie spał i siedział oparty o ścianę, przyglądając się wszystkim uważnym i zaciekawionym wzrokiem.

— Te wieści są z Jerozolimy — powiedział Jazon. — A list do mojego wuja przyszedł z Tyberiady.

Do izby weszła rozespana i zaniepokojona Abigail i razem z Małą Miriam usiadły na klepisku. Jakub podsunął mi pod oczy jeden z listów.

— To od naszego kuzyna, Jana bar Zebedeusza. Ten jest do nas wszystkich... a ten do ciebie.

Rabbi wyjął listy z ręki Jakuba.

— Pozwól mi je przeczytać, Jakubie, bo przecież twój młodszy kuzyn widział wszystkie te rzeczy.

Jakub natychmiast oddał mu listy. Mały Józef podał Jakubowi lampę, który trzymał ją teraz na wysokości oczu rabiego, tak by ten mógł czytać.

List był po grecku. Rabbi szybko przeczytał pozdrowienie:

— „To muszę obwieścić wam wszystkim, wy zaś ze swej strony przekażcie to słowo mojemu kuzynowi Jesui bar Józefowi i nie spoczniście, dopóki tego nie usłyszycie.

Nasz krewny Jan bar Zachariasz opuścił pustkowie, przybył nad Jordan i zmierza na północ w stronę Jeziora Galilejskiego. Wszystkich, którzy przychodzą do niego, chrzci. Ma na sobie tylko odzienie z wielbłądziej skóry i skórzany pas, a kiedy żył na pustkowiu, żywił się jedynie miodem i szarańczą. Teraz zaś wszystkim powtarza te słowa: »Królestwo Boże jest już blisko«. I ciągną do niego wszyscy, przychodzą z Jerozolimy i z Jerycha, z miast na północy i od morza. Wyznają swoje grzechy, a on ich chrzci. A oto, co Jan powiedział faryzeuszom, którzy przyszli pytać o to, co robi: «Nie jestem Mesjaszem. Nie jestem też prorokiem. Chrzczę wodą, ale po mnie idzie

mocniejszy ode mnie i nie jestem godzien nawet nieść jego sandałów. On was będzie chrzcił Duchem Świętym i ogniem. Jest pośród was, lecz nie wiecie, kim On jest»,.

Rabbi przerwał na chwilę, po czym czytał dalej.

— „To widziałem na własne oczy i proszę was, moich krewnych, abyście przekazali te słowa Jezui bar Józefowi. Wracam teraz nad Jordan. Jan bar Zebedeusz”.

Rabbi opuścił dłoń z papirusem i spojrział najpierw na mnie, potem na Józefa, wreszcie na Jazona.

— Ciągną do niego setki ludzi — powiedział Jazon. — Ze wszystkich miast na wschód i zachód od rzeki i ze Świętego Miasta. A potem wracają do domów. Kapłani i faryzeusze także się do niego wybrali.

— Ale co to ma znaczyć? — spytał wuj Kleofas. — Co ma znaczyć to, że chrzci na odpuszczenie grzechów? Czy ktoś kiedyś robił coś podobnego? Czy on to robi jako kapłan, jakim był jego ojciec?

— Nie — odparł rabbi. — Nie wydaje mi się, że robi to jako kapłan. — Oddał list Jakubowi.

— Posłuchajcie tego — wtrącił Jazon. — To powiedział faryzeuszom i saduceuszom, którzy przyszedli do niego z Jerozolimy, aby go wypytać. — Zaczął czytać list: — „Plemię żmij, kto wam powiedział, że umkniecie przed gniewem, który nadchodzi? Przynieście z sobą owoce własnego nawrócenia, nim do mnie przyjdziecie. Nie myślcie sobie, że będziecie mówić: «Mamy Abrahama za ojca». Powiadam wam, Bóg potrafi wziąć te kamienie i stworzyć z nich synów Abrahama”.

Jazon przerwał i spojrział na mnie, potem na Józefa, wreszcie na rabiego.

Odezwał się mój brat, Mały Józef:

— Ale co to ma znaczyć? Czy on chce powiedzieć, jak esseńczycy, że Świątynia jest skalana i że ofiary składane przez kapłanów za grzechy już się nie liczą?

— Idzie teraz na północ, do Perei — powiedział Jazon. — Ruszam tam. Muszę zobaczyć to na własne oczy!

— I dasz się ochrzcić? Wejdiesz do Jordanu i dasz się obmyć na odpuszczenie grzechów? — zapytał rabbi łagodnie.

— Zrobię to, jeśli będzie trzeba — oświadczył Jazon.

— Ale co to ma znaczyć, jeśli jeden mężczyzna chrzci innego mężczyznę albo nawet kobietę? — spytała moja ciotka Estera. — Co to wszystko ma znaczyć? Czy wszyscy nie jesteśmy Żydami? Czy nie jesteśmy oczyszczeni, kiedy wychodzimy z mykwy i wchodzimy na dziedzińce Świątyni? Nawet prozelitów nie obmywa się dla odpuszczenia grzechów. Czy on chce nam powiedzieć, że mamy się stać jak prozelici?

Podniosłem się z klepiska.

— Idę — oznajmiłem.

— I my z tobą — dodał Józef, a matka natychmiast przytaknęła. Wszyscy moi bracia skinęli głowami.

Matka wręczyła mi list, który dostała od mojej siostry, Małej Salome. Mój wzrok spoczął na końcowych słowach: „Z Betsaidy, z Kafarnaum”.

Teraz odezwała się stara Bruria:

— I ja chcę iść z wami. Weźmiemy ze sobą także to dziecko — dodała, obejmując ramieniem Abigail.

— Wszyscy pójdziemy — stwierdził Jakub. — Wszyscy, jak tu stoimy, wyruszymy w drogę, kiedy tylko się rozwidni. Weźmiemy niezbędne rzeczy i ruszamy. Zabierzemy żywność, jakbyśmy szli na święto. Idziemy wszyscy.

— Tak, właśnie — potwierdził rabbi. — Pójdziemy tak, jak byśmy szli na święto do Świątyni, dlatego udamy się tam wszyscy. I ja też pójdę z wami. A teraz chodź, Jazonie, musimy porozmawiać ze starszymi z wioski.

— Posłuchajcie tylko tych krzyków na zewnątrz! — zawołał nagle Menachem. — Już wszyscy o tym mówią!

Wybiegł z izby w ciemność, nawet nie zamykając za sobą drzwi.

Matka przechyliła lekko głowę i zwinęła dłoń przy uchu, jakby chciała się wsłuchać w dochodzące z daleka niewyraźne głosy. Stałem obok niej, także próbując coś usłyszeć.

Jazon wyszedł pospiesznym krokiem, a z nim rabbi. Stara Bruria podeszła do nas.

Matka zaczęła recytować w natchnieniu, jakby przypominała sobie usłyszane niegdyś słowa:

— Już w łonie matki napełniony będzie Duchem Świętym. Wielu spośród synów Izraela nawróci do Pana, Boga ich; on sam pójdzie przed Nim w duchu i mocy Eliasza, żeby serca ojców nakłonić ku dzieciom, a nieposłusznych do usposobienia sprawiedliwych, by przygotować Panu lud doskonały.

— Kto to powiedział? — spytał Mały Józef, a Szabi i Izaak powtórzyli za nim to samo pytanie.

— Czyje to słowa? — spytał moją matkę Sylas.

— Zostały skierowane do kogoś innego, ale przez tego samego, który przyszedł także do mnie. — Spojrzała na mnie. W jej oczach dostrzegłem smutek.

Wszyscy wokół rozprawiali z podnieceniem o tym, co usłyszeliśmy, i o niezbędnych przygotowaniach do drogi.

— Nie bój się — powiedziałem do matki. Podeszedłem bliżej i pocałowałem ją. Czułem, jak przepełnia mnie szczęście.

Matka przymknęła oczy i oparła głowę na mojej piersi.

I wtedy pośród wrzawy i rozgardiaszu, wśród zapewnień, że idziemy wszyscy, i perswadowania, że przecież jest noc i że tak czy owak musimy poczekać do rana, właśnie w tej chwili, tuląc mocno do piersi matkę, pojąłem, co znaczył wyraz jej oczu. Zrozumiałem to, co odczytałem w jej oczach jako smutek lub strach.

Czy wróćę kiedyś pamięcią do tych dni, do tych długich dni wypełnionych wyczerpującą pracą, czy będąc gdzie indziej, przypomnę je sobie i powiem: „To był błogosławiony czas”? Czy będę je wspominał z czułością?

Zacząła mówić do mnie tak cicho, że nikt prócz mnie nie słyszał:

— Kiedy przynieśliśmy cię, zaraz po narodzinach do Świątyni, jeszcze nim przybyli magowie, był tam pewien człowiek.

Słuchałem uważnie.

— Powiedział wtedy do mnie: „A twoje serce także przeniknie miecz”.

— A więc to są te słowa, których nigdy dotąd nie chciałaś mi powiedzieć! — szepnąłem w odpowiedzi, nachylając się nad nią, tak jakbym chciał ją pocałować.

— Nie, to nie to, ale wydaje mi się, że teraz nadeszła chwila, o której mówił ów człowiek.

— To szczęśliwa chwila — odparłem. — Dobry i błogosławiony czas, kiedy idziemy razem, cały nasz dom. Przecież mam rację.

— Masz rację — szepnęła. — A teraz puść mnie, bo muszę jeszcze przygotować mnóstwo rzeczy.

— Jeszcze chwilę — odparłem i przytuliłem się do niej mocno.

Wreszcie musiałem ją wypuścić z objęć. Ktoś krzychał, że przyjechał Ruben z Kany i też ma jakieś wieści. I że Szemajach stoi po drugiej stronie uliczki i gapi się na nasz dziedziniec.

Wiedziałem, że muszę do niego pójść, wziąć go za rękę i przyprowadzić do Abigail.

## XIX

Wędrowaliśmy długo, najpierw na wschód, potem na południe, krok za krokiem, pieśń po pieśni.

Nim zapadł wieczór pierwszego dnia wędrówki, staliśmy się już ogromną rzeszą pielgrzymów, największą, jaka kiedykolwiek wyległa na drogi i gościńce wiodące do Jerozolimy, a z miast i wiosek, które mijaliśmy po drodze, dołączało do nas tyle ludzi, co w czasie największych świąt.

Szemajach i jego najemnicy także szli z nami. Abigail jechała na wozie razem z moją matką, ciotkami i Małą Miriam, lecz co jakiś czas któraś z kobiet schodziła z wozu i szła obok nas. Józef i wuj Kleofas jechali z wujem Alfeuszem w jeszcze większym wozie, pełnym tobołków i koszy, rabbi jechał na swoim białym osle, a Ruben i Jazon na narowistych koniach, które co chwilę niosły ich galopem, tak że czekali na nas w najbliższym miasteczku lub przy najbliższej studni albo po prostu wracali i jechali obok nas stępa.

Stary Hananel z Kany i jego niewolnicy dołączyli do nas trzeciego dnia i odtąd szli z nami, chociaż posuwaliśmy się bardzo wolno. Gdy zapadał wieczór, było tak jak na każdej pielgrzymce: rozkładaliśmy derki, rozbijaliśmy namioty, rozpalaliśmy ogniska, odmawialiśmy modlitwy i śpiewaliśmy hymny.

Wszędzie, gdzie się zatrzymywaliśmy, spotykaliśmy wracających z nad rzeki, których ochrzcił Jan i jego uczniowie i którzy na własne uszy słyszeli „proroka Jana”. Wszyscy oni wracali do domu z radością, wyczekując czegoś, co miało nadejść, chociaż to „coś” nie łączyło się z żadnym konkretnym proroctwem ani z żadną szczególną udręką, której byli poddani, ani też z chęcią wzniesienia zamieszek.

Oczywiście ludzie cały czas pytali: „Co to jest ten chrzest? Co on ma znaczyć?” Dołączali do nas po drodze nauczyciele i uczeni w Piśmie i mijali młodzi ludzie na koniach. Natknęliśmy się także po drodze na żołnierzy króla, którzy również byli nad rzeką i mówili same dobre rzeczy o Janie, a zdarzało się, że i Rzymianie z oddziałów skierowanych nad Jordan z Cezarei przystawali, aby napić się z nami wina i zjeść chleba i polewki.

Rzymian intrygował i ciekawił ów tajemniczy człowiek, który ściągał tłumy nad brzegi Jordanu. Mówili o całej sytuacji, jakby byli nią już lekko znużeni, zarazem chcieli jednak zobaczyć mężczyznę w wielbłądziej skórze, stojącego po kolana w wodzie i proponującego każdemu oczyszczenie.

— Przecież — mówili nam — my także mamy w różnych miejscach swoje świątynie i własne rytuały, tak jak wy. — A my kiwaliśmy głowami. Byliśmy radzi, że możemy ich zaprosić na chwilę do nas, by usiedli i zjedli coś z nami, nim pospiesznie ruszą dalej w drogę.

Uczeni w Piśmie siadali wieczorami w kręgu i recytowali fragmenty Pisma mówiące o obmyciu się i oczyszczeniu w Jordanie. Mówili o proroku Elizeuszu i o tym, jak posłał Naamana, którego ciało pokrył trąd, by poszedł i obmył się siedem razy w rzece.

— Ale to nie prorok go ochrzcił — zauważył jeden z uczonych. — Sam nie chrzczył, kazał mu jedynie wykąpać się w Jordanie.

— I przypomnijcie sobie — powiedział rabbi któregoś wieczoru — że Naaman drwił z proroka i był na niego zły, ponieważ prorok nawet do niego nie wyszedł, lecz przez posłańca kazał mu powiedzieć, co ma zrobić. I co — pytam was — wówczas się stało?

Często ludzie pytali, czy nasza wędrówka to czasem nie świętowanie zwycięstwa w Cezarei. Rabbi i faryzeusze wiele razy wracali do tego wydarzenia, podobnie jak żołnierze. Twierdzili

zdecydowanie, że za to, co się stało w Cezarei, należy dziękować nie nad brzegami Jordanu, lecz w Świątyni, w tej samej Świątyni, która została zbezczeszczona, kiedy Piłat kazał wnieść do niej cesarskie insygnia. Nikt nie sprzeciwiał się ich słowom.

A kiedy rzymscy żołnierze pytali, czy naszym marszem manifestujemy radość z powodu tego, że prokurator ustąpił wobec uporu Żydów, w ich pytaniach wcale nie kryła się wrogość, lecz ciekawość i zdziwienie. Dlaczego aż tylu ludzi spieszy ujrzeć tego człowieka? Idą z północy i południa, ze wschodu i zachodu, a nawet z położonych najdalej greckich miast Dekapolu.

Istotnie, każdy z pielgrzymów po pewnym czasie sam zaczynał się dziwić tłumom zmierzającym w stronę rzeki.

— Czy już tak bardzo utrudzony jest nasz naród i tak bardzo pragniemy po wiekach prawdziwego proroka, że porzucamy domy i pola i ruszamy w drogę na samą wzmiankę o tym, że ten człowiek mógłby nam przynieść nową mądrość i pociechę, jakiej nie zazналиśmy od nikogo? — pytał Jazon.

— Czy naprawdę minęło czterysta lat — wtórował mu jego wuj Jacimus — odkąd przemawiał ostatni prorok, czy też po prostu jesteśmy głusi na głos proroków, których nieustannie posyła nam Pan? Wszystko to jest niepojęte i zachwycające.

Jak to zawsze bywa, mężczyźni spierali się także o Świątynię. Kłócili się o to, czy nie przypomina nazbyt budowli greckich, czy nie jest zbyt duża, czy nie ma w niej zbyt wiele ksiąg i nauczycieli, i tych, co wymieniają pieniądze, i tłumów gapiących się na wszystko, ciekawskich pogan, których zawsze ostrzegano, żeby trzymali się z dala od wewnętrznych dziedzińców, bo jeśli nie będą się stosować do tego nakazu, czeka ich śmierć. Mówiono też o kapłanach, Józefie Kajfaszu i jego teściu Ananiaszu, i o tym mężczyźni rozprawiali długo i chętnie.

— Jedna rzecz jest pewna, jeśli chodzi o Kajfasza — wtrącał się do rozmowy, ilekroć to było możliwe, wuj Kleofas. — Ten człowiek utrzymuje się przy władzy niezależnie od tego, kto rządzi Judea i Rzymem.

— Mówisz tak, boś jego krewniak — odparował natychmiast któryś z mężczyzn.

— Mówię tak, bo to prawda — odparł Kleofas i wyrecytował szybko imiona najwyższych kapłanów, którzy przychodzili i odchodzili z urzędu, łącznie z tymi powołanymi przez dom Heroda i później przez Rzymian.

To, że o wyborze na urząd najwyższego kapłana decydowali Rzymianie, regularnie wywoływało spory. Zawsze jednak było wśród dyskutantów kilku starszych, gotowych studzić bardziej zapalczywych, i nawet Hananel raz czy dwa z pogardą w głosie gasił tych, którzy, tak jak od dawna pragnęli esseńczycy, domagali się oczyszczenia Świątyni.

— To wszystko próżne gadanie — mówił. — To jest nasza Świątynia i tyle.

Całe życie słyszałem podobne spory i dywagacje. Czasami podążałem za tokiem rozumowania rozmówców. Najczęściej jednak moje myśli płynęły zupełnie innym torem. Zresztą nikt nie oczekiwał ode mnie, że opowiem się po jednej czy drugiej stronie.

Większość tych, którzy szli z nami, nie wiedziała, że Jan bar Zachariasz to nasz bliski kuzyn. Ci zaś, którzy wiedzieli, przestawali pytać, kiedy mówiliśmy im po prostu, że bardzo mało o nim wiemy i że lata, jakie minęły od dnia, kiedy widzieliśmy go ostatni raz, a także to, że żył z dala od nas, oddzieliły nas od siebie.

Ostatni raz widziałem Jana, kiedy miałem siedem lat.

Jazon opisywał go nam oczywiście bardzo dokładnie, zawsze jednak jego opis sprowadzał się do jednego, interesującego, lecz zarazem odległego obrazu: portretu człowieka pobożnego i oddanego zgłębianiu Pism, wzorowego esseńczyka, który pewnego dnia porzucił wspólnotę, by wieść życie jeszcze surowsze na spalonej słońcem pustyni.

Matka, która mogłaby opowiedzieć o Janie i jego rodzicach więcej niż ktokolwiek inny, milczała. Kilka miesięcy przed moim urodzeniem wybrała się do Elżbiety i Zachariasza i zatrzymała się u nich na jakiś czas i właśnie z tamtych dni pochodzą historie, które powtarzał mi Jazon: radosna pieśń mojej matki i proroctwo Zachariasza przy narodzinach syna. Wszystkie te rzeczy były dobrze znane mojej matce. Jednak podobnie jak przedtem, tak i teraz nie miała ona ochoty włączać się do rozmów, jakie toczyli między sobą faryzeusze, uczeni w Piśmie, moi najmłodszy bratankowie, a czasem i bratanice. Wszyscy oni bez wyjątku znali tylko strzępy tych opowieści, a zarazem łaknęli ich więcej.

Jazon potrafił dochować tajemnicy, chociaż widziałem, nie raz i nie dwa, nocą, przy ognisku, jak rozpiera go chęć, by wstać i wyrecytować każdą modlitwę, której nauczył się od Jana, a która pochodziła od ojca i matki Jana oraz od mojej matki.

Uśmiechałem się do niego od czasu do czasu porozumiewawczo, a on mrugał do mnie i kręcił głową, godził się jednak z tym, że nie powinien opowiadać tych historii. A tymczasem ludzie dalej spierali się o to, kim jest ten Jan, do którego wszyscy teraz podążali z takim oddaniem.

Kiedy opuściliśmy wzgórze Galilei i weszliśmy w dolinę Jordanu, zrobiło się cieplej i przyjemniej. Na początku ziemia wokół nas była sucha. Potem dotarliśmy do porośniętych sitowiem podmokłych terenów ciągnących się wzdłuż Jordanu i z każdą godziną docierały do nas nowe wieści, że Jan posuwa się w naszą stronę od południa i jest nawet bliżej, niż sądziliśmy. Mieliśmy nadzieję, że lada dzień się z nim spotkamy.

Józef nie czuł się najlepiej.

Spał cały czas, leżąc na wozie, a jego nieprzerwany, długi sen bardzo niepokoił Jakuba i mnie. Wiedzieliśmy dobrze, co znaczy taki sen u starego człowieka. Dobrze wiedzieliśmy, co oznacza ów dziwny, rytmiczny oddech, głośniejszy niż skrzypienie kół wozu w koleinach.

Kobiety także to zauważyły, ale nic nie mówiły, za to wuj Kleofas i moi młodsi bracia starali się budzić Józefa pod byle pretekstem.

— Niech odpoczywa — powiedziała moja matka.

Ciotka Estera także kazała wszystkim zostawić Józefa w spokoju.

W oczach matki widziałem smutek, taki sam jak tamtej nocy, kiedy przyszły listy. Mimo to zachowywała spokój. Nic jej nie zaskakiwało ani nie wytrącało z równowagi. Od czasu do czasu siadała obok Józefa, między nim a jego bratem Kleofasem. Podnosiła go odrobinę i przytulała do piersi jego głowę. Kiedy prosił, dawała mu wody, przede wszystkim jednak pilnowała, by inni go nie budzili, wszyscy jednak starali się to robić jak najczęściej, by się przekonać, że rzeczywiście tylko śpi, i w ten sposób pocieszyć i uspokoić samych siebie.

Któregoś wieczoru Józef się obudził, a jego zachowanie wskazywało na to, że nie wie, gdzie jest. Chociaż bardzo się staraliśmy, nie umieliśmy mu wytłumaczyć, że idziemy nad Jordan, by tam spotkać się z Janem bar Zachariaszem i tymi, którzy poszli za nim. Jakub wyjął nawet pomięty papirus, na którym napisano list, który przyszedł do nas do Nazaretu, i przeczytał mu go jeszcze raz, wyteżając wzrok, bo słońce już prawie zaszło.

Wreszcie matka powiedziała:

— Czy sądzisz, że zabralibyśmy i zaprowadzili cię tam, dokąd nie chciałbyś pójść? Nigdy nie uczynilibyśmy nic podobnego. A teraz śpij już!

Te słowa go uspokoiły i zamknął oczy.

Jakub odszedł na bok, aby nikt nie widział, że płacze. Odchodził od nas jego ojciec. To prawda, że wszyscy byliśmy braćmi, ale Jakub był synem Józefa i jego pierwszej żony, młodej kobiety, której nikt z nas, z wyjątkiem Alfeusza i Kleofasa, nie znał. Jako chłopiec był przy niej z Józefem, gdy umierała. Wkrótce miał odejść także i Józef.

Poszedłem za nim, by być w pobliżu, gdyby mnie potrzebował. W pewnej chwili skinął ręką w moją stronę. Podeszedłem do niego. Jak zawsze zatroskany, rozglądał się teraz niespokojnie.

— Nie powinienem był nalegać, by jechał z nami — zaczął.

— Wcale nie nalegałeś.

— A poza tym on sam chce dotrzeć nad Jordan, a jutro, gdy wstanie słońce, będziemy już na miejscu.

— Ale co to wszystko ma znaczyć, że jeden człowiek chrzci drugiego, że nie wchodzimy do rzeki, żeby samemu się obmyć, jak zawsze, ale robi to ktoś inny...? No a ci żołnierze? Kiedy powiedzą o tym temu głupcowi prokuratorowi, na pewno nie będzie siedział beczynnie, dobrze o tym wiesz.

Wiedziałem, że zaprzęta sobie umysł tymi wszystkimi sprawami, aby tylko nie myśleć o jednym: że Józef umiera.

I dlatego nic nie odpowiedziałem. Jakub zresztą po chwili wrócił do pozostałych i zaczął rozprawiać z Jazonem, Rubenem, Hananelem i naszym rabbim oraz z ludźmi króla, którzy niedawno do nas dołączyli. Część z nich eskortowała bogaczy podróżujących w pięknie zdobionych lektykach. Stałem na wzgórku, przyglądając się, jak cała ta ludzka rzesza rozlewa się na kamienistej drodze, a potem spojrzałem na ciemniejące niebo.

Było ciepło, a w powietrzu unosił się przyjemny, rześki zapach rzeki i szuwarów i słychać było głosy ptaków, które zawsze gromadzą się w pobliżu wody. Było to bardzo przyjemne uczucie, ale zarazem moje serce biło niespokojnie i odczuwałem smutek, jakbym współodczuwał razem z matką. Było mi lekko na sercu, ale też czułem grozę. Najdrobniejsze, najbardziej trywialne rzeczy rodziły we mnie zdumienie i powodowały wędrówkę myśli.

Coś się zmieniało, i to na zawsze. Dzieci, przyzywane teraz przez dorosłych, by kładły się już spać, nie wyczuwały tej zmiany. Dla nich wszystko, co się działo, było nowe i miało posmak przygody, tak jakby pierwszy raz brały udział w wędrówce, której kres miało stanowić wielkie morze.

Nawet u moich braci dostrzegłem radosną, acz ostrożnie manifestowaną ekscytację, którą odkrywali w sobie nawzajem, wspólnie dochodząc do wniosku, że obmyją się, wyznają grzechy i pozwolą się ochrzcić, jeśli tego będzie domagał się od nich Jan bar Zachariasz, a potem z nową energią wrócą do swoich prac i obowiązków.

Ja miałem jednak zupełnie inną świadomość. Nigdzie mi się nie spieszyło, ale nie chciałem także zostawać z tyłu. Nie lamentowałem też z powodu tego, że od mojego przeznaczenia dzieli mnie jeszcze pewien czas. Posuwałem się powoli ku temu, co miało wreszcie oddzielić mnie od wszystkiego. Wiedziałem to. Zdawałem sobie z tego sprawę, nie wiedząc, jak i co się w rzeczywistości wydarzy. Taką samą świadomość, a także po części podobną zgodę na to, co ma się zdarzyć, dostrzegałem jedynie w łagodnym, jak zawsze, spojrzeniu matki.

## XX

Słońce już dawno wstało, a dzień był pochmurny i wietrzny, kiedy dotarliśmy tam, gdzie gromadzili się wszyscy pragnący przyjąć chrzest.

Chociaż wędrowaliśmy ogromną rzeszą, nie byliśmy przygotowani na to, że ujrzymy takie tłumy po obu stronach rzeki, rozciągające się dokąd sięgał wzrok. Wielu przybyłych rozbiło ogromne, bogato zdobione namioty i siedzieli przed nimi na kobiercach, ucztując. Ludzie biedni, odziani w łachmany, stali zbici w ciasną gromadę z faryzeuszami i uczonymi w Piśmie.

W tym tłumie byli chromi i żebracy, i starcy, a nawet ulicznice, które zdobią twarze henną i barwiczką, tacy ludzie przyłączyli się po drodze także do nas.

Wszędzie byli ludzie króla i odróżnialiśmy po stroju tych, którzy pozostawali na służbie u Heroda Antypasa, od tych, którzy służyli jego bratu Filipowi. Przybyły także kobiety strojne w kosztowne szaty w towarzystwie sług i służebnic, podróżujące w zdobnych lektykach.

Wreszcie dotarliśmy nad brzeg i ujrzelśmy samego Jana. Tu nie docierał gwar tłumy i śpiew ludzi wielbiących Boga w hymnach. Nad samą wodą ludzie zdejmowali wierzch — nie szaty i odziani jedynie w tuniki wchodzili w nurt rzeki. Niektórzy mężczyźni zdejmowali nawet tuniki i jedynie w przepasce na biodrach podchodzili do Jana i jego uczniów, których było bardzo wielu.

Zewsząd dochodziły głośnie szepty ludzi wyznających swoje grzechy i błagających o przebaczenie Pana. Z przymkniętymi oczami mówili półgłosem, a potem zostawiali w sitowiu wierzchni strój i brodząc przez grzęzawisko, wchodzili do rzeki.

Uczniowie Jana stali po jego prawej i lewej stronie.

Samego Jana trudno było pomylić z kimkolwiek innym. Wysoki, z włosami w nieładzie spływającymi na ramiona, przyjmował pielgrzymów jednego po drugim, a jego ciemne oczy błyszczały w szarym świetle poranka. Jego niski, tubalny głos przebijał się wyraźnie przez gwar.

— Żałujcie za swoje grzechy, gdyż Królestwo Niebieskie jest już bliskie! — wołał do tłumów, za każdym razem tak, jakby po raz pierwszy wypowiadał te słowa, a stojący wokół podchwytywali to wezwanie, które, powtarzane przez rzesze, stawało się niczym pieśń zlewająca się z nieprzerwanym szumem głosów ludzi wyznających swoje grzechy.

Jazon i kilku innych młodych mężczyzn stali w oddali, z założonymi na piersiach rękami, i przyglądali się uważnie wszystkiemu. Moi bracia, jeden po drugim, szli w stronę rzeki, zdejmowali odzienie i wchodzili do wody.

Ujrzałem, jak Jakub zanurzył się w chłodnym nurcie, a potem podniósł powoli, a wtedy Jan, z niewzruszoną miną, jakby go wcale nie poznał, wylał mu na głowę wodę z konchy.

Mały Józef, Juda i Szymon podeszli do uczniów Jana w towarzystwie swych synów i siostrzeńców. Menachem wziął za rękę Małego Izaaka i prowadził go, uważając, żeby chłopiec nie stracił równowagi, stąpając po grząskim gruncie i przedzierając się przez gęste sitowie, ani nie przewrócił się w wodzie, chociaż Jordan w tym miejscu wcale nie był głęboki i woda sięgała dorosłemu mężczyźnie do kolan.

Niedaleko mnie stał wysoki namiot wsparty na czterech zdobnych słupach. Płachta zasłaniająca wejście trzepotała na wietrze przeganiającym po niebie szare chmury, które zasłoniły na chwilę świecące jasno słońce. Z namiotu wyszedł bogaty celnik, którego widywałem czasami w Kafarnaum, gdy wykonywaliśmy tam jakieś prace lub szedłem w odwiedziny do Małej Salome.



Stanął w pewnej odległości ode mnie i wpatrywał się w nieustannie poruszający się tłum chrzczonych, rozlewający się na prawo i lewo od Jana, gdzie stawali kolejni uczniowie, do których podchodzili wciąż nowi ludzie.

W tej chwili ujrzałem, jak nad brzegiem rzeki stanął, przepchnąwszy się przez tłum, ubrany z przepychem faryzeusz, z długą, białą brodą, w towarzystwie dwóch mężczyzn w szatach z najdelikatniejszego lnu.

— Na mocy czyjej władzy to czynisz?! — zawołał do Jana. — Podejdź tutaj, Janie bar Zachariaszu! Skoro nie jesteś Eliaszem, to kim jesteś, żeby sprowadzać tu ludzi, by przebaczone im zostały ich grzechy? Kim są twoi uczniowie?

Jan opuścił rękę z konchą i spojrział w stronę brzegu, gdzie stał faryzeusz. Słońce, które właśnie wychynęło zza szarych obłoków, świeciło mu prosto w twarz i Jan zmrużył oczy, chcąc zobaczyć, kto go woła. Ale zamiast na faryzeusza spojrział na celnika, a potem na mnie.

Faryzeusz krzyknął znowu:

— Na mocy czyjej władzy śmiesz sprowadzać tutaj tych ludzi?

— Sprowadzać? Wcale ich tu nie sprowadziłem! — odkrzyknął Jan, a jego głos niósł się bez trudu nad rzeszą pielgrzymów. Nabrał powietrza w płuca, jak ktoś, kto przywykł przemawiać do hałaśliwego tłumu, i powiedział donośnym głosem: — Już wam mówiłem. Nie jestem Eliaszem. Nie jestem Mesjaszem. Powiedziałem wam, że ten, kto idzie za mną, jest mocniejszy niż ja. — Miałem wrażenie, że z każdym kolejnym słowem jego głos nabiera większej mocy i siły.

Tymczasem uczniowie Jana cały czas chrzcili wchodzących do rzeki pielgrzymów.

Ujrzałem, jak do wody wchodzi Abigail, w wierzchniej szacie i welonie na głowie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że młody mężczyzna, który gestem zaprosił ją, by podeszła do niego, a następnie uniósł nad jej głowę konchę z wodą, każąc jej przy tym ukłknąć, to był mój młodszy, bez mała dwudziestoletni kuzyn Jan bar Zebedeusz. Stał w wodzie w mokrej tunice, która przylegała mu do ciała, a długie, dawno nieczesane włosy spływały mu na ramiona. Stojący nieopodal Jan wołał teraz jeszcze głośniejszym głosem, tak by wszyscy słyszeli:

— Powiadam wam jeszcze raz! Jesteście plemieniem żmij! Nie uratuje was powoływanie się na synostwo Abrahama! Powiadam wam, Pan może wzbudzić synów Abrahama z kamieni, które leżą tu, przed wami! Nawet teraz, kiedy stoję i mówię te słowa, siekiera już jest przyłożona do korzenia drzewa. I każde drzewo, które nie przyniesie dobrego owocu, zostanie ścięte i wrzucone w ogień!

Oczy całego tłumu skierowały się na faryzeusza i kapłanów, którzy po tych słowach Jana zaczęli się pospiesznie oddalać.

Lecz nagle Jazon zawołał do Jana:

— Musisz nam jednak powiedzieć, Janie, skąd pochodzi twa władza, by głosić takie rzeczy. Tylko to chcą wszyscy wiedzieć!

Jan znowu spojrział w naszą stronę, lecz zdawało się, że nie rozpoznał Jazona, który był dla niego po prostu jednym z pielgrzymów, po czym odparł:

— Czy już wam nie mówiłem? Powiem wam jednak jeszcze raz. Jestem głosem wołającego na pustkowiu:

„Przygotujcie drogę Panu, prostujcie ścieżki dla Niego! Każda dolina niech będzie wypełniona, każda góra i pagórek zrównane, drogi kręte niech się staną prostymi, a wyboiste drogami gładkimi! I wszyscy ludzie ujrzą zbawienie Boże”.

Miało się wrażenie, że głos Jana niesie się tak daleko, iż słyszą go ostatni stojący w tłumie. Ludzie wykrzykiwali podziękowania i coraz więcej ich wchodziło do rzeki. To samo uczynili także Jazon z Rubenem.

Zobaczyłem wychodzącego z wody Jakuba z mokrymi włosami. Podeszedł do Józefa i razem z moją matką zaczęli go prowadzić ku rzece.

Celnik przyglądał się, jak starzec powoli, krok po kroku, kieruje się w stronę wody.

Jan przyjął Józefa, lecz także i tym razem nie ujrzałem w jego spojrzeniu niczego, co by świadczyło o tym, że wie, kim są mężczyzna i kobieta stojący przed nim. Zanurzyli się w Jordanie jak wszyscy pielgrzymi, a Jan polał ich wodą z konchy.

Tłum pozdrawiał go okrzykami.

W pewnej chwili nie kto inny jak Szemajach krzyknął nagle na cały głos, jakby nie mógł się już dłużej powstrzymać:

— Co zatem mamy robić?

— Czy muszę wam to mówić? — odkrzyknął Jan. Znowu nabrał powietrza w płuca, po czym przemówił bez wysiłku, donośnym głosem wytrawnego mówcy: — Ten spośród was, który ma dwie tuniki, niech się podzieli z tym, który nie ma żadnej, a ci, którzy mają jedzenie, niech dadzą je tym, którzy nic nie mają.

W tej chwili młody celnik stojący obok mnie także zawołał:

— Nauczycielu, a co my powinniśmy czynić?

Ludzie odwrócili głowy w jego stronę, pragnąc zobaczyć, kto z taką żarliwością zwraca się do Jana.

— To oczywiście, nie pobierajcie więcej ponad to, co wam przykazano — odparł Jan.

Przez tłum na brzegu przemknął głośny szmer aprobaty. Celnik skinął głową ze zrozumieniem.

Teraz wystąpili do przodu żołnierze króla.

— A co powiesz nam, Nauczycielu? — krzyknął jeden z nich. — Powiedz, co my możemy zrobić!

Jan spojrział na nich, mrużąc oczy przed słońcem.

— Nie zabierajcie ludziom pieniędzy siłą, tyle przecież możecie zrobić! Nigdy nikogo fałszywie nie oskarżajcie i poprzestawajcie na własnym żołdzie!

W tłumie znowu rozległ się szmer aprobaty.

— Powiadam wam, ten, który idzie za mną, ma w ręku wiejadło i będzie czyścił omlot, i zbierze pszenicę do spichrza, a plewy spali w ogniu nieugaszonym!

Podczas gdy kolejni pielgrzymi cały czas schodzili do wody, w tłumie nastąpiło poruszenie. Ludzie odwracali się i wydawali okrzyki zdumienia, wskazując zgodnie palcami w jedną stronę.

Oto na wzgórkunieopodał pojawił się oddział żołnierzy, a spośród nich wyszedł mężczyzna. Wielu natychmiast go rozpoznało i tłum umilkł, obserwując, jak przybysz zmierza w stronę rzeki. Żołnierze torowali mu drogę przez sitowie i podtrzymywali poły jego purpurowego płaszcza.

Był to Herod Antypas. Rzadko miałem okazję widzieć go z tak bliska. Wysoki, o imponującej posturze, spoglądał pełnym zachwytu, łagodnym wzrokiem na mężczyznę stojącego na środku rzeki i udzielającego chrztu.

— Janie bar Zachariaszu! — zawołał Herod, a wszyscy wokół umilkli.

Jan podniósł wzrok i zmrużył oczy. Potem przyłożył dłoń do czoła.

— A co ja mam czynić? — zapytał król. — Powiedz mi, jak mam żałować za grzechy?

Pociągła twarz króla była poważna, a w jego głosie i spojrzeniu nie było szyderstwa, lecz żarliwe pragnienie uzyskania odpowiedzi.

Jan milczał przez długą chwilę, wreszcie zawołał donośnym głosem:

— Oddal od siebie żonę twego brata! Nie jest twoją żoną! Przecież znasz Prawo! Czyż nie jesteś Żydem?

Tłum był wstrząśnięty słowami Jana. Żołnierze podeszli do władcy, gotowi na jego rozkazy, lecz sam król był spokojny i przyglądał się, jak Jan, podtrzymując za ramiona mojego ukochanego Józefa, pomaga mu wyjść na brzeg.

Stojący w pobliżu celnik ruszył ku wodzie, aby przyjść z pomocą mojej matce i Józefowi. Kiedy wyprowadził ich z rzeki, zrzucił swój piękny, zdobny płaszcz, jakby to była zwykła, wełniana opończa, stanął przed Janem i ukląkł w wodzie, podobnie jak robili to wszyscy inni przed nim.

Józef przyglądał się celnikowi klęczącemu w Jordanie, a ten po chwili wynurzył się, ocierając mokrą twarz. Do jego lśniących w słońcu od wonnego olejku włosów przyłgnęły kropelki wody.

Król tymczasem stał dalej na brzegu, a następnie bez słowa odwrócił się i zniknął między żołnierzami trzymającymi w ręku włócznie o błyszczących grotach i okrągłe tarcze. Po chwili cały oddział odmaszerował i roztopił się w tłumie płynącym nieprzerwanym strumieniem w naszą stronę.

Dziesiątki mężczyzn i kobiet kierowały się ku rzece.

Widziałem, jak Józef spogląda na mnie jasnym, czystym wzrokiem, z tak dobrze mi znanym wyrazem twarzy.

Ruszyłem do rzeki. Minąłem matkę, Józefa i stojącego obok celnika, który gotów był w każdej chwili przyjść z pomocą starcowi, chociaż obok stał także Jakub.

Stałem przed Janem bar Zachariaszem.

W obecności innych zazwyczaj spuszczałem wzrok. Szepty za plecami i drwiny, których doświadczałem przez całe życie, sprawiały, że rzadko patrzyłem drugiemu człowiekowi prosto w oczy, zamiast tego odwracałem głowę i skupiałem się na mojej pracy. Zazwyczaj przyjmowałem postawę skromną i pokorną.

Teraz jednak postąpiłem inaczej. Moje dawne zachowanie należało już do przeszłości.

Jan stał bez ruchu i spoglądał na mnie. Ja z kolei przyglądałem się jemu. Widziałem człowieka zahartowanego przebywaniem na pustkowiu, o owłosionym torsie, w odzieniu z wielbłądziej skóry przerzuconym przez ramię i zakrywającym połowę tułowia. Widziałem utkwione we mnie oczy.

Spoglądał na mnie niewidzącym wzrokiem, który stanowił pewnie jego jedyną obronę przed tysiącem spojrzeń, tysiącem twarzy, tysiącem oczekiwań tych, którzy stawali przed nim.

Po chwili jednak, kiedy tak staliśmy naprzeciwko siebie, Jan niewiele wyższy ode mnie, jego wzrok złagodniał, zniknęło napięcie w spojrzeniu, wzrok nie był już nieobecny. Usłyszałem westchnienie dobywające się z jego piersi.

I wtedy rozległ się dziwny dźwięk, jakby trzepot skrzydeł, łagodny, ale wszechogarniający, jakby do lotu ku niebu zerwało się stado gołębi uwolnionych z klatki.

Jan spojrział w górę, potem w prawo, w lewo i wreszcie na mnie.

Nie wiedział, skąd dochodzi ów dźwięk.

Wtedy odezwałem się do niego po hebrajsku:

— Johananie bar Zachariaszu.

Spojrzał na mnie zdumiony.

— Jeszua bar Józef... — powiedział.

Celnik wszedł do wody, chcąc znaleźć się bliżej nas i słyszeć, co mówimy. Kątem oka dostrzegłem także niewyraźne sylwetki matki i Józefa również stojących w pobliżu. Czulem podświadomie, że inni też odwracają się w naszą stronę, brodząc ku nam w wodzie.

— Przecież to ty! — wyszeptał. — Ty mnie ochrzczij! — Wyciągnął do mnie napełnioną wodą konchę.

Uczniowie Jana stojący z jego prawej i lewej strony jak na komendę przerwali chrzest. Ludzie wynurzyli się z wody i czekali, uważnie się nam przyglądając. Coś się zmieniło w tym świętym meżu. Ale co?

Miałem wrażenie, że cały ten tłum to jedna ogromna istota oddychająca wraz z nami.

Podniosłem dłonie i pokazałem Janowi.

— Jesteśmy stworzeni na Jego obraz, ty i ja — powiedziałem. — Czy to nie ciało? Czyż i ja nie jestem człowiekiem? Ochrczuj mnie, tak jak ochrczciłeś wszystkich innych. Uczyni to, aby stało się zadość sprawiedliwości.

Wszedłem do wody. Poczulem na lewym ramieniu dłoń Jana, a na karku jego palce. Nie widziałem nic, niczego nie słyszałem, niczego nie czulem poza chłodną wodą spływającą mi na głowę. Wreszcie wynurzyłem się bardzo powoli i stanąłem, oślepiiony powodzią światła.

Na niebie przesunęły się chmury. Znowu usłyszałem trzepot skrzydeł. Uniosłem głowę, spojrzałem na Jana i ujrzałem, jak po jego twarzy przesunął się cień wlatującej w niebo gołębicy, i zobaczyłem też samego ptaka wznoszącego się ku ogromnemu, rozwartemu błękitowi, i usłyszałem szept, a także przenikający szum skrzydeł, tak jakby moich uszu dotknęły wargi i czyjś delikatny, subtelny, dyskretny, lecz odznaczający się ogromną głębią głos powiedział:

— To mój Syn. Mój umiłowany.

Na brzegu rzeki zapadła cisza.

A potem rozległa się wrzawa. Taka sama jak przedtem. Ludzie krzyczeli z radości, a ich okrzyki mieszały się w moich uszach z krzykami, które słyszałem przy kamienowaniu Jitry i wtedy, kiedy tłum otoczył Abigail — były to triumfalne okrzyki młodych mężczyzn, nieustanny, chrapliwy krzyk pielgrzymów — słyszałem go wokół siebie; podekscytowane głosy mieszające się ze sobą, coraz głośniejsze, prześcigające się w donośności.

Spojrzałem w górę, ku rozciągającemu się bez końca błękitowi nieba, i ujrzałem, jak gołębica wznosi się coraz wyżej, aż w końcu stała się jedynie punkcikiem w strumieniu spływającego na ziemię blasku słońca.

Zachwiałem się i niewiele brakowało, a straciłbym równowagę. Spojrzałem na Józefa. Widziałem jego szare oczy utkwione we mnie, delikatny uśmiech błakający się na wargach, i widziałem też twarz matki, stojącej obok niego, nieporuszoną, z cieniem smutku pełnego miłości.

— To ty! — powiedział znowu Jan bar Zachariasz.

Milczałem.

Chóralny głos tłumy stawał się coraz donośniejszy.

Odwróciłem się i skierowałem w stronę drugiego brzegu, brnąc przez sitowie i starając się iść coraz szybciej. Zatrzymałem się i obejrzałem. Ujrzałem jeszcze raz Józefa, podtrzymywanego delikatnie przez celnika, wpatrującego się we mnie z najwyższym zdumieniem. Twarz Józefa była spokojna, malowała się na niej jakaś tęsknota, i mimo dzielącej nas odległości dostrzegłem, że skinął mi głową. Widziałem moich braci, wszystkich moich krewnych. Szemajacha, Abigail, drobną sylwetkę Cichej Anny.

Widziałem ich wszystkich razem i każdego z osobna: gładką niewinność tych na progu śmierci, w ich pomarszczonych twarzach płonęły blaskiem oczy; nagłe przebudzenie u tych w kwiecie wieku, którzy trwali teraz w zawieszeniu między potępieniem a zachwytem; podekscytowanie dzieci, które natarczywie domagały się od rodziców, aby wyjaśnili im, co się stało, a z nimi spleceni ci zabiegani, zatroskani, znużeni, zagubieni, wszyscy oni dotykali się i ocierali o siebie nawzajem w ciżbie.

Nigdy przedtem nie widziałem ich w taki sposób, każdego uwikłanego we własne troski, a zarazem złączonego z tym po prawej i tym po lewej, wszyscy podrzucani w górę i w dół, jakby nie stali na piasku, lecz unosili się na morskich falach.

Spojrzałem na Jana, który popatrzył na mnie. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz ostatecznie zmilczał.

Odwrociłem się od niego. Blask słońca prześwitujący przez poruszone wiatrem gałęzie sprawił, że na chwilę zamarłem w bezruchu. Jeśli drzewa i trawa umieją mówić, przemawiały do mnie.

Mówiły o ciszy i milczeniu.

Szedłem przed siebie, słysząc jedynie własne kroki, gdy przedzierałem się przez trzciny i trzęsawisko, aż wreszcie wydostałem się na twardą, kamienistą drogę i szedłem coraz dalej przed siebie, stawiając kolejne kroki, a potem jeszcze dalej, tam gdzie nie było już drogi.

Wiedziałem, że teraz muszę być sam, muszę pójść tam, gdzie nikt mnie nie znajdzie, nie będzie zadawał pytań. Przynajmniej nie teraz. Musiałem odnaleźć samotność, której dotąd cały czas mi odmawiano.

Musiałem jej szukać poza wioską, miastem lub obozem pielgrzymów. Musiałem jej szukać tam, gdzie nie ma niczego poza spalonym słońcem piaskiem, gorącym, pustynnym wiatrem i nagimi skałami. Musiałem szukać takiego miejsca, tak jakby go nigdzie nie było i jakby nie było w nim nic prócz pustki, podczas gdy w rzeczywistości było ono dłonią, która podtrzymywała mnie w każdej chwili mego istnienia.

## XXI

Głosy. Głosy, które nie dawały mi spokoju.

Kilka dni temu minąłem ostatnią ludzką osadę. Tam wypilem ostatni łyk wody.

Nie wiedziałem, gdzie jestem. Wiedziałem tylko, że jest tu zimno i słychać jedynie wycie wiatru wiejącego przez puste wadi. Trzymając się kurczowo skały, wspinałem się powoli. Słońce zachodziło tu bardzo szybko. To dlatego było tak zimno.

A głosy wciąż mnie nękały. Wszystkie argumenty, jakimi przekonywałem samego siebie, wszystkie kalkulacje, przewidywania, przypuszczenia, rozważania, co dalej, wciąż od nowa i bez końca.

Im bardziej byłem wyczerpany, tym bardziej stawały się natarczywe.

Wpełzłem do niewielkiej groty, by schronić się przed kłującym wiatrem, położyłem się i owinałem szczelnie oponczą. Nie czułem już głodu. Ani pragnienia. Znaczyło to, że musiało upłynąć dużo czasu, ponieważ przez wiele dni męczyły mnie głód i pragnienie, a teraz już minęły. Umysł miałem jasny, byłem pusty w środku i pragnąłem wszystkiego, a nie tylko jednej rzeczy. Miałem spękane, łuszczące się wargi. Ręce spalone słońcem. Opuchnięte oczy bolały, zarówno kiedy je otwierałem, jak i kiedy trzymałem je zamknięte.

Głosy nie przestawały mnie nękać. Przewróciłem się ostrożnie i powoli na plecy, by znaleźć się twarzą u wylotu groty, i spoglądałem na gwiazdy, tak jak zawsze to robiłem, kontemplując bezchmurną, majestatyczną klarowność rozciągającą się nad bezmiarem piasku, skał i kamieni.

Wtedy napłynęła falą przeszłość i pierzchnęły głosy, które mnie oskarżały i potępiały. Przypomniała mi się każda rzecz uczyniona przeze mnie w samotności w czasie mojego ziemskiego życia.

Lecz wspomnienia nie układały się w jeden ciąg. Nie pojawiały się w takim porządku jak słowa stawiane na papirusie od jednego końca karty do drugiego, a potem od nowa w kolejnym wersie. A jednak powoli odsłaniały się przede mną.

W gęstwinie myśli przeblyskiwały chwile bólu zrodzonego z poczucia straty, ze strachu, z nagłego żalu z powodu czegoś, co zrobiłem lub czego nie zrobiłem, ze smutku, z doświadczenia czegoś, co zżerało mnie od środka, z pełnego udręki zdumienia i zachwyty.

Ból był jak gwiazdy na niebie; każda bolesna chwila nieskończona w kształcie i wielkości. Wszystkie wspomnienia zebrały się teraz wokół mnie, tworząc jak gdyby jedną wspaniałą tkaninę, jaką było moje życie, tkaninę, która owinała się szczelnie wokół mnie, aż zamknęła mnie w sobie, niczym druga skóra.

Krótko przed świtem pojąłem coś, co dotąd pozostawało dla mnie tajemnicą. To, że bez najmniejszego wysiłku potrafiłem zatrzymać każdą z tych chwil i wszystkie ra — zem w moim umyśle, że one wszystkie, owe tak odmienne, drobne, niezliczone udręki istniały obok siebie. Tak właśnie, drobne udręki.

Kiedy nadszedł poranek, a dokuczliwy wiatr zamarł w oślepiającym blasku słońca, ruszyłem dalej przed siebie, pozwalając tym niezliczonym chwilom zaludniać umysł, samemu umysłowi na to, by stawiał mi je cały czas przed oczy i właczał do serca, jak wiatr piasek palący moje oczy i wargi. Poddałem się wspomnieniom.

W nocy obudziłem się. Czy to ja recytowałem to, co napisano? „Każda rzecz zakryta zostanie ujawniona, każde mroczne miejsce rozświetlone”?

*Nie, dobry Boże, nie pozwól im poznać tego, nie pozwól im poznać tego wszystkiego, co się nagromadziło, tej udręki i radości, tej nędzy i pocieszenia, tego spełnienia, tego wrzynającego się w serce bólu, tego...*

Ale przecież będą wiedzieć, wszyscy będą wiedzieć! Ponieważ to, co pamiętasz, jest też tym, co zdarzyło się każdemu z nich. Czy sądziłeś, że to dla ciebie za mało czy za dużo? Myślałeś, że...

A kiedy zostaną wezwani, aby zdać sprawę, kiedy staną nadzy przed Bogiem i odsłonięte zostanie każde najbliższe zdarzenie i chwila, i każde wypowiedziane słowo, to przecież ty będziesz znał wszystko, co zdarzyło się w życiu każdego mężczyzny i każdej kobiety.

Ukląknę na piasku.

Czy to możliwe, Panie, być z każdym z nich z osobna w chwili, gdy dociera do nich ta świadomość? Być przy nich i dla nich w każdym ich krzyku i udręce? W każdym bolesnym wspomnieniu radosnej chwili, której nie było dane spełnić się do końca? O Panie i Boże, co jest sądem i jak może dokonać się ów sąd, skoro nie mogę znieść tego, by być przy nich i dla nich w każdym plugawym słowie, każdym chrapliwym, rozpaczliwym krzyku, każdym fałszywym geście, w każdym uczynku znanym mi do samych korzeni? A przecież widziałem uczynki, wszystkie uczynki własnego życia, najdrobniejsze, najbliższe rzeczy; ujrzałem je nagle w zalążku i w rozkwicie, i gdy rozpostarły konary. Widziałem, jak rosną, przeplatają się z innymi czynami i wszystkie razem tworzą nieprzebyty gąszcz, las, wszechogarniające miejsce, dzikie i odludne, tak ogromne, że świat przy nim jest tak mały, jak wyobrażamy go na mapach, tak mały, jak przedstawiamy go sobie w naszym umyśle.

A oprócz tego, dobry Boże, to niekończące się wyłanianie jednych uczynków z drugich, słów ze słów, myśli z myśli — świat jest niczym! Każda dusza to osobny świat!

Zacząłem płakać. Ale zarazem nie chciałem przerwać tej wizji; nie pozwól mi widzieć ich wszystkich, tych, którzy podnieśli kamienie, i ja między nimi, który zachowałem się tak bezmyślnie, i twarz Jakuba, kiedy powiedziałem: „Jestem tobą zmęczony”, i od tej chwili zwielokrotnione w miliony echa tych słów we wszystkich, którzy je słyszeli lub którym się zdawało, że je słyszeli, którzy będą je pamiętać, powtarzać, wyznawać, bronić ich... I będzie tak, gdy tylko ktoś kiwnie palcem i gdy wysłać będą na morze statek, i gdy armia poniesie klęskę w jakimś lesie na północy, gdy będzie płonąć miasto, a płomienie będą pożerać domy. Drogi Boże, nie mogę przecież... ale jeśli Ty...

Zacząłem szlochać. Ojciec w Niebie, wyciągam do Ciebie ręce, moje ręce z ciała i krwi. Pragnę Ciebie w Twej doskonałości całym niedoskonałym sercem. Chcę Cię dosięgnąć tym, co rozkłada się i ginie właśnie w tej chwili na moich oczach, i wpatruję się w Twoje gwiazdy w więzieniu ciała. Ale to nie jest moje więzienie, to moja wola. *To Twoja wola.*

Upadłem na ziemię, płacząc.

Zstąpię na samo dno, na samo dno z każdym, aż do głębin Szeolu, w ich własną ciemność, w udrękę i cierpienia widoczne dla oczu wszystkich i dla Twoich oczu, w strach, w ogień, który rozpala każdy umysł. Będę z nimi, samotny tak jak każdy z nich. *Jestem jednym z nich! Jestem Twoim Synem! Jestem Twoim Jednorodnym Synem! Prowadzi mnie Twój Duch, a ja płaczę, ponieważ nie mogę zrobić nic innego, jak uchwycić się tego kurczowo, gdyż nie mogę pojąć i zawrzeć tego w moim umyśle z ciała i krwi, dlatego za Twoją zgodą płaczę.*

Płakałem, płakałem, płakałem bez końca. „Panie, daj mi tę krótką chwilę, bym mógł płakać, bo przecież słyszałem, że łzy mogą bardzo wiele...”

Samotny? Powiedziałeś, że chcesz być sam? Chcesz tego? Samotności? Chcesz ciszy? Chcesz pozostawać w ciszy i samotności. Czy nie rozumiesz, że na tym właśnie polega teraz pokusa?

Jesteś sam. Pozostajesz całkowicie samotny w tym, co robisz, ponieważ jesteś Jedynym, który może to uczynić!

Jaki sąd może czekać mężczyznę, kobietę, dziecko, jeśli ja nie będę towarzyszył biciu ich serca, każdej ich udreće, na dnie ich cierpienia?

Wstał świt.

A potem kolejny i jeszcze jeden, i jeszcze jeden.

Leżałem zwinięty w kłębek, a nade mną podmuchy wiatru niosły ziarenka piasku.

A głos Pana nie był w wietrze ani w piasku, ani w słońcu, ani w gwiazdach.

Przemawiał wewnątrz mnie.

Zawsze wiedziałem, kim naprawdę jestem. Bogiem. Tylko że postanowiłem tego nie wiedzieć. Teraz jednak zdawałem już sobie sprawę, co to znaczy być człowiekiem, który wie, że jest Bogiem.



## XXII

Czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Tyle czasu przebywał Mojżesz na Synaju. Tyle czasu pościł Eliasz, nim przemówił do niego Pan.

— Panie, zrobiłem to — wyszeptalem. — Wiem także, czego oczekują ode mnie. Wiem aż nadto dobrze.

Moje sandały się rozpadały. Nawet nie wiem, ile razy wiązałem zerwane rzemienie. Niepokoiły mnie spalone słońcem dłonie, ale w duchu śmiałem się z tego. Wracalem do domu.

Schodziłem z gór, ku lśniącej blaskiem pustyni leżącej między mną a rzeką, której jeszcze nie widziałem.

— Sam, sam, sam! — śpiewałem z radości. Nigdy jeszcze nie czułem takiego głodu ani pragnienia. Dawały znać o sobie coraz mocniej, jak gdyby w odpowiedzi na moje słowa. — O tak, tyle razy gorąco tego pragnąłem — śpiewałem bezgłośnie samemu sobie. — Tyle razy pragnąłem być sam!

I teraz właśnie byłem, bez chleba, bez wody, bez miejsca, w którym mógłbym złożyć głowę do snu.

— Sam?

Jakiś głos. Znajomy. Męczyzna. Znałem ton i barwę tego głosu.

Odwrociłem się.

Ponieważ słońce miałem za plecami, widziałem go bardzo wyraźnie.

Był mniej więcej mojego wzrostu, ubrany z przepychem jeszcze większym niż Ruben z Kany czy Jazon, tak że przypominał króla. Miał na sobie lnianą tunikę ozdobioną na brzegach haftem w zielone liście i czerwone kwiaty, a każdy płatek lśnił złotą nicią. Także skraj płaszcza był gruby, bogato zdobiony, utkany tak jak płaszcze kapłanów, i zwisały z niego złote dzwoneczki. Na sandałach błyszcząły złote sprzączki. Miał także gruby, skórzany pas nabijany ćwiekami z brązu, podobny do tych, jakie nosili żołnierze. Rzeczywiście, dopiero teraz spostrzegłem, że u pasa zwisała wysadzana klejnotami pochwa z mieczem.

Włosy miał długie, ciemne i lśniące od olejku. Brązowe oczy spoglądały na mnie łagodnie.

— Widzę, że mój niewinny żart wcale cię nie rozbawił — powiedział, kłaniając się z wdziękiem.

— Jaki żart?

— Nigdy nie spoglądasz w zwierciadło? Nie poznałeś samego siebie?

Przeszedł mnie dreszcz. Przybysz był podobny do mnie jak dwie krople wody, tyle że nigdy przedtem nie widziałem siebie w takim stroju.

Zakreślił na piasku niewielki krąg, tak bym lepiej widział sporządzony przez niego rysunek. Intrygowały mnie ściągnięte brwi mężczyzny i wyraz jego oczu, a właściwie brak wyrazu.

— Można powiedzieć — zaczął — że czuję się w obowiązku przypomnieć ci, kim jesteś. Musisz wiedzieć, że doskonale zdaję sobie sprawę, że padłeś ofiarą iluzji. Nie uważasz się po prostu za proroka lub świętego męża, tak jak twój kuzyn Jan. Myślisz, że jesteś samym Panem. Nic nie odpowiedziałem.

— Aaa, rozumiem, chciałeś to zachować w tajemnicy. Rzeczywiście, bardzo często udaje ci się oszukać samego siebie, tak mi się przynajmniej wydaje, ale czy to możliwe tutaj, na tym pustkowiu? Zbyt często mruyczysz do siebie pod nosem.

Podszedł bliżej i uniósł rękę, tak że teraz sam mógł podziwiać bogaty haftowany wzór na rękawie przedstawiający spiczaste liście i buchające kolorem kwiaty wyszywane karmazynową nicią.

— Ach, pojmuję, nie masz zamiaru wdawać się ze mną w rozmowę, prawda? — rzucił z lekką drwiną w głosie.

I ja miałem taki wyraz twarzy i taki ton głosu, kiedy z czegoś drwiłem. Jeśli mi się to kiedykolwiek zdarzało.

— Ale wiem równie dobrze, że jesteś teraz głodny, straszliwie głodny. Trawi cię głód tak straszny, że bylibyś gotów zrobić wszystko, by dostać coś do jedzenia. W tej chwili pożerasz własne ciało i pijesz swą krew.

Odwrociłem się i ruszyłem w swoją stronę, ignorując nieznanego.

— A zatem, skoro jesteś świętym mężem bożym — mówił dalej, doganiając mnie i zrównując się ze mną, spoglądając mi badawczo w oczy, ilekroć na niego przelotnie spojrziałem — i jeśli zapomniny na chwilę, że jesteś Stwórcą wszechświata, możesz pewnie jako mąż boży sprawić, by te kamienie zamieniły się w jeszcze ciepły chleb...

Zatrzymałem się. Nagle poczułem zapach ciepłego chleba. Czułem go w ustach: na języku, na zębach, na podniebieniu.

— Dla Eliasza nie byłby to żaden problem — ciągnął dalej mój rozmówca. — Ani dla Mojżesza, skoro już mowa o świętych mężach. A przecież ty właśnie za takiego się uważasz, prawda? Za Syna Bożego? Umiłowanego? W takim razie zrób to. Zamień kamienie w chleb.

Spoglądałem przez chwilę na kamienie, po czym ruszyłem przed siebie.

— Dobrze zatem — mówił dalej mój towarzysz, idąc obok mnie, a każdy jego krok wprawiał w ruch złote dzwoneczki. — Wróćmy w takim razie do twojej iluzji. Jesteś Bogiem. Jak mówi twój kuzyn, Bóg potrafi wzbudzić synów Abrahama z kamieni. Z tych tutaj i z tamtych, z każdych, czy nie tak? W takim razie zamień je w chleb. Przecież pragniesz teraz chleba jak niczego innego na świecie, prawda?

Odwrociłem się i roześmiałem mu prosto w twarz.

— Człowiek nie żyje samym chlebem — odparłem — lecz wszystkim, co pochodzi z ust Boga.

— Żałośnie dosłowne tłumaczenie — powiedział, kręcąc głową z dezaprobatą. — Poza tym pragnę zauważyć, mój pobożny człowieku i nieszczęsna ofiara własnej iluzji, że po czterdziestu dniach twoje ubranie jest w strzępach, podobnie jak odzienie twoich przodków, którzy wędrowali przez tę pustynię przez czterdzieści lat, i że niedługo staniesz się żebrakiem w łachmanach, do tego bosym.

Znowu się roześmiałem.

— To bez znaczenia — odrzekłem. — Idę dalej.

— Hmm... — mruknął, nim zdążyłem zrobić krok. — Chyba już za późno, by pogrzebać ojca. Zrobili to za ciebie.

Skamieniałem, porażony tymi słowami.

— Co to? Czy chcesz mi powiedzieć, że prorok, którego narodzinom towarzyszyło tyle cudów i znaków, nie wie, że jego ojciec, Józef, nie żyje?

Milczałem. Czułem jedynie, jak moje serce bije coraz szybciej, a krew tętni w uszach. Rozejrzałem się po piaszczystym pustkowiu.

— Skoro, jak widzę, w najlepszym razie jesteś prorokiem tylko od czasu do czasu — mówił nieznanym tym samym spokojnym głosem (moim głosem!) — pozwól, że ci przybliżę pewien obraz. Byłem w namiocie celnika, kiedy Józef wydał ostatnie tchnienie, tak, w ramionach celnika, chociaż obok siedział jego syn i płakała twoja matka! A czy wiesz, jak wyglądały

ostatnie godziny jego życia? Opowiadał celnikowi i tym, którzy przebywali w namiocie, wszystko, co zapamiętał z dnia twoich narodzin. Dobrze wiesz, o czym mówię, te stare historie o aniele przychodzącym do twojej biednej, przestraszonej matki, o długiej wędrowce do Betlejem, po to, żebyś mógł przyjść z wrzaskiem na świat w najgorszą pogodę, a potem o odwiedzinach aniołów z wysokości u pasterzy i wszystkich ludzi. No i wreszcie ci trzej. Magowie. O ich wizycie także powiedział celnikowi. A potem umarł, do końca mającąc, chociaż pod koniec były to łagodne majaczenia.

Spojrzałem przed siebie, na kamienie i piach. Jak daleko stąd do rzeki?

— Ty płaczesz! Popatrz na siebie! Płaczesz! Tego się nie spodziewałem. Liczyłem na to, że ogarnie cię wstyd, i słusznie, z powodu tego, że taki sprawiedliwy człowiek umarł na rękach powszechnie szanowanego łotra i złodzieja, ale żeby zaraz płakać? Tego nie oczekiwałem. Z drugiej strony, nie ulega wątpliwości, że po wyjściu z wody poszedłeś sobie i zostawiłeś starca nad Jordanem, prawda?

Stałem w miejscu i nic nie odpowiedziałem. Nieznajomy zaczął pogwizdywać beztrąsko jakąś melodię, obchodząc mnie dokoła.

— Taak — powiedział, stając w końcu naprzeciwko mnie. — Widać, że masz czułe serce. Ale żeby z tego powodu rościć sobie prawo do nazywania się prorokiem? To chyba przesada. A co do iluzji, którą się karmisz, iluzji, jakobyś stworzył cały świat, pozwól, że przypomnę ci, co i tak pewnie wiesz, że mnie samego takie łudzenie się kosztowało miejsce na wysokościach, przed tronem Najwyższego.

— A mnie się zdaje, że teraz to ci obojętne — odparłem. Dławił mnie płacz, ale płynące z oczu łzy szybko wysychały w gorącym, pustynnym powietrzu.

— Aa, rozumiem, już nie cytujesz Pisma — powiedział, po czym roześmiał się dokładnie w taki sam sposób jak ja, a na jego twarzy pojawił się ciepły uśmiech, w którym można się było doszukać nawet pewnego wdzięku.

— Musisz wiedzieć, że święci mężowie rzadko się do mnie odzywają. Piszą długie, wyszukane poematy o tym, jak przemawiałem do Pana Stworzenia i jak On mówił do mnie, ale rozmawiać ze mną? Nie, uczeni w Piśmie na samo wspomnienie mego imienia przerażeni uciekają ze strasznym wrzaskiem.

— A ty przecież uwielbiasz, kiedy wymienia się twoje imię. Nieważne które — mówiłem. — Ahriman, Mastema, Satanel, Szatan, Lucyfer... uwielbiasz, kiedy ludzie zwracają się do ciebie, prawda?

Milczał.

— Albo Belzebub. To chyba twoje ulubione imię. — Po czym przetłumaczyłem je na grecki: — Władca Much.

— Nienawidzę tego imienia! — krzyknął wzburzony. — Nie będę reagował na żadne z nich!

— Oczywiście, że nie. Jakie imię bowiem mogłoby wybawić cię z chaosu, który jest twym jedynym celem? — spytałem. — Demon, diabeł, przeciwnik? — Pokręciłem głową. — Nie reaguj na żadne z nich. Także na imię „Azazel”. A przecież w rzeczywistości marzysz o imionach, którymi można by cię przyzywać, marzysz o jakimś celu i nadziei, bo właśnie jej nie masz.

Powiedziawszy to, odwróciłem się i ruszyłem przed siebie.

Dogonił mnie szybko.

— Dlaczego w ogóle wdajesz się ze mną w rozmowę? — zapytał, kipiąc wściekłością.

— Dlaczego ty wdajesz się ze mną w rozmowę?

— Cuda i znaki — powiedział, a krew napłynęła mu do policzków, przynajmniej tak mi się zdawało. — Otacza cię zbyt wiele cudów i znaków, mój żalorny przyjacielu w łachmanach. A

jeśli chodzi o ścisłość, to rozmawiałem już z tobą wcześniej. Przyszedłem kiedyś do ciebie we śnie.

— Pamiętam — odparłem. — Wtedy też ukazałeś się w pięknym przebraniu. To musi być coś, czego bardzo pragniesz.

— Nic o mnie nie wiesz! Nie masz bladego pojęcia! Byłem pierworodnym Pana, którego uważasz za swego ojca, ty żaloszny żebraku!

— Tylko się zbytnio nie unoś — ostrzegłem. — Jeśli się za bardzo rozzłościś, może zostać z ciebie tylko smużka dymu.

— To wcale nie jest śmieszne, nieopierzony proroku! — odparował. — Ja się nie zjawiam i nie znikam ot, tak sobie!

— To chociaż zniknij ot, tak sobie. To wystarczy.

— Czy ty wiesz, kim jestem? — spytał, a na jego twarzy nagle odmalował się smutek. — Powiem ci. — I odezwał się po hebrajsku: — Helel Ben Szachar.

— Jaśniejący syn jutrzeńki... — powtórzyłem za nim po aramejsku. Uniosłem prawą rękę i strzeliłem palcami. — Widzę cię, jak spadasz, o... tak.

W tej samej chwili wokół mnie rozległ się przerażający ryk, a z ziemi wzbily się kłęby pyłu, jakby z jasnego, pogodnego nieba zstąpiła nawałnica i chciała mnie porwać i zrzucić ze skały.

Poczułem, jak jakaś siła wnosi mnie w górę z ogromną szybkością, a potem usłyszałem kolejny ryk, jeszcze głośniejszy i bardziej przerażający, i zatrzymałem się na samej krawędzi portyku Świątyni w Jerozolimie, pod błękitnym niebem, nad nieprzelicznymi tłumami tych, którzy przechodzili przez bramy. Stałem na samym szczycie i spoglądałem z góry na ogromne dziedzińce pogan i kobiet.

Uderzyły mnie zapachy dochodzące z dołu. Do uszu dotarły zgiełk i wrzawa tłumu. Dotkliwy głód trawił moje wnętrze. Wszędzie, dokąd sięgał mój wzrok, widziałem dachy domów miasta i mrowie ludzi w płataninie ciasnych uliczek.

— Spójrz na to wszystko — powiedział nieznajomy, stając obok mnie.

— Dlaczego? — zapytałem. — Przecież w rzeczywistości nie ma tu żadnego miasta.

— Tak myślisz? Myślisz, że to złudzenie?

— Jakżeby inaczej, skoro jesteś kłamliwy, a twoje słowa są złudne.

— W takim razie skocz. Rzuć się w ten tłum. Przekonamy się, czy to złudzenie. A jeśli nie? Czyż nie napisano: „Aniołom swoim rozkaże o tobie, a na rękach nosić cię będą, byś przypadkiem nie uraził swej nogi o kamień”?

— Jesteś mordercą i ojcem kłamstwa od samego początku! — odrzekłem. — Chciałbyś zobaczyć, jak spadam, łamię kości i rozbijam twarz, tę samą, którą tak doskonale odtworzyłeś! Ale tak naprawdę chcesz czegoś więcej. Ciało dla ciebie nic nie znaczy, chociaż okrutnie i bezlitośnie je dręczysz. Chcesz mojej duszy.

— Mylisz się — powiedział półgłosem, nachylając się ku mnie, na ile mógł, by nie runąć przy tym w przepaść. — Stoimy rzeczywiście na narożniku Świątyni. Przyprowaździłem cię tu nie za sprawą kłamstwa i ułudy, lecz po to, by pokazać ci miejsce, w którym musisz rozpocząć swą pracę. To ty twierdzisz, że jesteś Mesjaszem. To inni rozgłaszają teraz, że jesteś Synem Dawida, księciem, który poprowadzi ich do zwycięstwa w bitwie. To ty i twój lud świętowaliście twą moc i ostateczne zwycięstwo księga po księdze, wers po wersie. A zatem rzuć się w dół! Powiadam ci, zrób to i niech poniosą cię aniołowie! Niech twoja bitwa zacznie się od przymierza między tobą a twym Panem, któremu, jak zapewniasz, pragniesz służyć.

— Nie będę wystawiał Pana na próbę — odparłem. — Jest bowiem napisane: „Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego”.

— W takim razie powiedz mi, gdzie zaczniesz bitwę — zapytał tak, jak gdyby naprawdę go to interesowało. — W jaki sposób przekazesz swoje orędzie Żydom mieszkającym tu, w tej ziemi, i tym, którzy przyjdą po nich, i synom ich synów? Jak sprawisz, by twoje słowo dotarło do wspólnot żydowskich rozproszonych po imperium, słowo, że oto nadszedł czas, aby przypasać miecz i zgromadzić się pod twym sztandarem i w imię twego Boga?

— Wiedziałem to już, kiedy byłem dzieckiem — odparłem, mierząc go wzrokiem i ignorując jego słowa.

— Co wiedziałeś?

— Jesteś Władcą Much, ale też pozostajesz na łasce czasu. Po prostu nie wiesz, co ma się zdarzyć w przyszłości.

— Jeśli to prawda, więcej niż połowę czasu nie jesteś w lepszej sytuacji niż ja, ponieważ także nie wiesz, co cię czeka, a ci, tam, na dole, których nazywasz braćmi i siostrami, cała ta hałaśliwa hałastrą, są niczym, bo także nie wiedzą, co im przyniesie przyszłość, i żyją bieżącą chwilą. Ty przynajmniej masz swoje wizje i plany.

Wyciągnął rękę w moją stronę, jak gdyby chciał mnie objąć, ale jego twarz wykrzywił złośliwy grymas.

— Co ty wiesz o tych ponurych latach, które spędziłeś w Nazarecie? Jaki to czas, kiedy tylko bolał cię mięśnie i pracujesz w znoju? Dlaczego to znosisz? Dlaczego On to znosi? Twierdzisz, że znasz Jego wolę. Powiedz mi, dlaczego po prostu nie usunie czasu ze świata?

— Usunąć czas? — zapytałem z niedowierzaniem. — Dar czasu?

— Jaki to dar? Czy to dar pozostawać zagubionym w tym Jego żalonym świecie, straconym i zapomnianym na zawsze z powodu niemiłosiernej niewiedzy o nas innych ludzi, a wszystko to trwa w czasie?

— Ty za to dobrze znasz jedną rzecz, a jest nią rozpacz i nędza twego położenia.

— Moja nędza i rozpacz? Pomyśl, jakiej nędzy doświadczają oni, dzień po dniu, i jakiej nędzy ty doświadczasz razem z nimi. Wydaje ci się, że ten czas i to życie były darem dla Jitry, którego ukamienowali twoi sąsiedzi? Przecież wiesz, że był niewinny. To prawda, był kuszony, ale niewinny. A Sierota? To dziecko nawet nie wiedziało, dlaczego umiera. Czy wiesz, co czuli w swych sercach, kiedy widzieli lecące w ich stronę kamienie? Jak myślisz, co czuje matka Jitry, ilekroć płacze, a wszystko to dzieje się w czasie, gdy o tym mówimy?

— Wolałbym zapytać cię, skąd bierze się nadzieja, jeśli nie z czasu? Zapytałbym cię właśnie o to i odpowiedziałbym na to pytanie, tylko że ty już podjąłeś decyzję, raz na zawsze, i dlatego dla ciebie czas przestał istnieć.

— Najlepiej bym zrobił, gdybym cię teraz strącił — wysyczał. Wyciągnął ręce, tak jakby chciał mnie chwycić za gardło, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. — Powinienem roztrzaskać ci głowę o kamienie tam, w dole! Ja nie zawahałbym się wystawić na próbę Pana, twego Boga. Nigdy się nie wahałem.

Odsunął się o krok i zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Przez chwilę milczał, wzburzony, wreszcie wziął głęboki oddech i powiedział:

— Może jesteś jakimś fantazmatem Jego nieogarnionego i bezlitosnego umysłu. Jak inaczej wytłumaczyć to, że nie współczułeś Abigail, kiedy stała przerażona pośród dzieci trzymających ją za ręce, czekając na taką samą śmierć, jaką wioska zgotowała Jitrze i Sierocie? Czy kiedykolwiek odczuwałaś litość wobec kogokolwiek z nich?

Gdy wypowiedział ostatnie słowa, nagle światło zmieniło barwę i poczułem podmuch powietrza.

Wizja Świątyni z jej codziennym gwarem i zgiełkiem tłumu pielgrzymów skurczyła się i zmięła niczym obraz malowany na jedwabiu.

Znowu znalazłem się w powietrznym wirze, który mnie porwał.

W następnej chwili znaleźliśmy się na szczycie góry, chyba najwyższej, jaka kiedykolwiek istniała. Tylko że takiej góry nie ma w żadnej krainie.

Wiał lekki wiatr, a pod nami rozciągał się widok, który przypominał mapę, lecz nią nie był. Górskie pasma i rzeki, doliny i oceany, które tworzyły cały świat.

— Zgadza się — powiedział mój towarzysz. — To właśnie świat. Widzisz go tak jak i ja. Jest naprawdę piękny.

Przyglądał się przez dłuższą chwilę w milczeniu obrazowi przed naszymi oczyma, jak gdyby kontemplując ów majestatyczny widok, i ja także spoglądałem, po chwili jednak spojrzałem na mojego rozmówcę.

Widziałem go z profilu, a był to mój profil, wiatr zwiewał mu do tyłu ciemne włosy, tak że wyraźnie widać było kości policzkowe, a oczy spoglądały łagodnie, tak jak moje; przytrzymywał delikatnie i z gracją poły płaszcza.

— Naprawdę chcesz im pomóc? — spytał, po czym uniósł znacząco palec. — Pytam, czy rzeczywiście chcesz im pomóc? Czy tylko chcesz ich przestraszyć, a następnie porzucić, gotując im gorszy los, aż przyjdzie inny prorok i będzie ciskał na nich klątwy, i oskarżał ich, i wieszczyl coś, co nigdy nie nastąpi?

Spojrzał na mnie, a w jego oczach dostrzegłem łzy. Bez wątpienia były to łzy, które widział spływające po moich policzkach jeszcze przed chwilą. Zakrył dłońmi twarz, a potem spojrzał na mnie załzawionymi oczyma.

— Nie da się zaprzeczyć, że przybyłeś na świat pośród cudów i znaków — mówił w zamyśleniu, jakby sięgał po gotowe słowa gdzieś w głębi duszy. — Mamy niezwykle czasy. W każdym mieście imperium jest gmina żydowska i są Żydzi. Pisma twojego Boga zostały przetłumaczone na grecki i Żydzi mogą je czytać niezależnie od tego, gdzie mieszkają i jakie pobierali nauki. Imię twojego Boga bez imienia prawdopodobnie wypowiedane jest nawet na naj — dalszych rubieżach północy. Kto to wie? A teraz zjawiasz się ty, brudny i nieokrzesany cieśla w łachmanach. Ale z drugiej strony, jesteś synem Dawida, nie jesteś w ciemną bitą i dobrze przemawiasz.

— Dziękuję — odparłem.

— Pisma mówią o kimś, kto poprowadzi ich do niepodległości i zwycięstwa. A ty znasz Pisma. Wiedziałeś, co znaczą słowa Chrystus Pan, kiedy byłeś dzieckiem.

— Tak.

— Możesz im pomóc. Możesz poprowadzić całą armię. Możesz skrzyknąć wszystkich gorliwców czekających tylko, by przyjść ci z pomocą. Przecież Żydzi są też w Rzymie, gotowi wprowadzić twoją armię do miasta, z tobą jako wodzem. Przypuszczają atak na pałac cezara, zabijają wszystkich senatorów, zgładzą pretorian. Rozumiesz? Potrafisz sobie wyobrazić wszystko, co ci tu objaśniam?

— Rozumiem. Ale tak się nie stanie.

— W takim razie nie rozumiesz. Staram ci się pokazać, czarno na białym, że to możliwe. Możesz zgromadzić wszystkich Żydów, ze wszystkich miast, do których zawędrowali. Możesz sprowadzić ich z Ziemi Świętej, a wtedy zmiotą wszystko z brzegów morza niczym nawałnica.

— Rozumiem doskonale od pierwszego do ostatniego słowa. Ale nie będzie tak, jak mówisz.

— Dlaczego? Masz zamiar ich zawieść? Chcesz się modlić i przemawiać do nich jak twój kuzyn, stojąc po kolana w wodzie i wykonując puste gesty, a potem pozwolić, żeby cię znienawidzili, ponieważ złamałeś im serca?

Milczałem.

— Daję ci zwycięstwo, którego twój lud nie zakosztował od czterech wieków — mówił znowu tonem perswazji. — Jeśli tego nie uczynisz, twój lud czeka zagłada. Świat go pochłonie. Jeszuo bar Józefie, ten starzec w Kanie, ten głupiec Hananel, mówił dokładnie to samo o tobie, że świat cię pochłonał.

Wciąż milczałem.

— Dla twego ludu wszystko skończyło się już dawno temu — ciągnął dalej zamysłony. — Skończyło się, kiedy przemaszerował przez tę ziemię Aleksander i przyniósł z sobą grecki język i zwyczaje. Wszystko runęło w gruzy, kiedy podbili tę ziemię Rzymianie, a potem wkroczyli do waszej Świątyni, udowadniając jednym brutalnym gestem, że w Świętym Świętych nie ma nic! Jeśli nie dasz rodakom ostatniej szansy, by zebrali się wokół potężnego wodza, twój lud zginie. Ale nie z głodu czy z pragnienia, od miecza czy włóczni. Zniknie. Po prostu zniknie. To już się zaczęło i nic tego nie powstrzyma. W niepamięć odchodzi święty język, ponieważ przez małżeństwa, a także z winy ambitnych, młodych mężczyzn Żydzi mieszają się z Rzymianami, Grekami i Egipcjanami, aż nadejdzie chwila, w której już nikt nie będzie znał języka aniołów ani słowa „Juda”. Ile czasu na to trzeba? Myślę, że ze sto lat. A jeśli nie odniesiecie militarnego zwycięstwa, nawet krócej. Nadejdzie koniec. Tak jakby was nigdy nie było.

— Duchu przeklęty i podstępny! — odrzekłem. — Zapomniałeś o Niebie? Przecież wiesz, że w łonie czasu już rodzą się i dojrzewają rzeczy, których nie umiesz sobie wyobrazić ty, a czasami także ja.

— Jakie rzeczy? — spytał. — Świat z każdym rokiem staje się coraz większy, a wy coraz mniejsi. Wy, ludzie Jedyne Prawdziwego Boga, Boga bez imienia, którzy nie chcecie mieć żadnych bogów przed Nim. Nie nawróciliście innych na własną drogę i teraz pożerają was żywcem. Podtykam ci pod nos jedyną rzecz, która może was ocalić, czy tego nie widzisz? A gdy tylko kraj, którego mapę Rzymianie sporządzili dla was, znajdzie się pod waszą kontrolą, wówczas będziesz mógł ich nauczyć całego Prawa, które Pan dał wam na Synaju. Chcę ci włożyć do ręki narzędzie, za pomocą którego możesz to wszystko osiągnąć!

— To prawda, chcesz mi pomóc, chcesz nam pomóc. Ale dlaczego?

— Rozważ moje słowa, głupcze! Tracę cierpliwość. Nic tutaj nie dzieje się bez mojej zgody i wiedzy. Nic. Każde, nawet najmniejsze zwycięstwo jest niemożliwe bez mojego, choćby drobnego udziału. To mój świat, wszystkie narody należą do mnie. Czy w takim razie teraz uklęknieś i oddasz mi pokłon?

Jego twarz przybrała bolesny wyraz. Po policzkach potoczyły się łzy.

Czy ja tak samo wyglądam, kiedy jestem smutny? Kiedy płacze?

Widziałem, że zadrzał i przebiegł go dreszcz, tak jakby zimny wiatr, który stwarzał, dawał mu się teraz we znaki. Powiódł smutnym i zdesperowanym wzrokiem po całym świecie, jaki sobie zaplanował.

Na chwilę zapomniałem o jego obecności.

Zapomniałem całkowicie, o tym, że stoi obok mnie. Wytężyłem wzrok i ujrzałem coś, co mignęło mi przelotnie w domu Hananela w Kanie, a co teraz widziałem jasno i wyraźnie. Walące się ołtarze. Tysiące ołtarzy rozsypujących się, jakby rozpadały się na skutek trzęsienia ziemi, a z nich spadają bożki, z brązu, marmuru i złota, i rozlatują się na kawałki, wznecając kłęby pyłu. Ponad całym światem, który rozciągał się przed moimi oczyma, przetoczył się głuchy dźwięk, jak odgłos grzmotu. Obraz wyglądał jak mapa, ale to był prawdziwy świat. Wszystkie ołtarze rozbite w proch i pył.

*Chrystus Pan.*

— Co mówisz? — spytał mój towarzysz. — Co powiedziałeś?

Otrząsnąłem się z tej strasznej wizji przedstawiającej morze zniszczenia i spojrzałem na niego. Znowu widziałem go wyraźnie, jego nienaganne maniere, skórę gładką jak tkaniny, z których uszyto jego kosztowny strój.

— Te narody nie są twoje! — zawołałem. — Królestwa świata nie należą do ciebie! I nigdy nie należały.

— Ależ oczywiście, że są moje — wysyczał. — Jestem i zawsze byłem władcą tego świata. Jestem jego Księciem.

— Nieprawda, żadna z tych rzeczy nie należy do ciebie! I nigdy tak nie było!

— Oddaj mi pokłon! — nalegał. — Pokażę ci moją własność. Dam ci zwycięstwo, o którym śpiewali wasi prorocy.

— Tylko Panu na Wysokościach oddają pokłon, nikomu innemu! — odparłem. — Wiesz to dobrze, za każdym razem kiedy wypowiadasz kolejne kłamstwo! Niczym nie rządzisz i nie rządziłeś! — Wskazałem świat pod nami. — Spójrz na ten tak drogi ci obraz. Pomyśl o tysiącach tysięcy, którzy każdego dnia wstają i kładą się do snu, nic złego nie myśląc ani nie czyniąc, pomyśl o tych oddanych całym sercem żonom, mężom, ojcom, matkom i dzieciom, o tych, którzy myślą o żniwach, wiosennym deszczu, o młodym winie i nowiu księżyca. Pomyśl o tych z każdej krainy i mówiących językiem, pomyśl o nich, którzy cierpią głód Słowa Bożego, nawet tam, gdzie nie ma nikogo, kto by im Je przekazał, jak sięgają po Nie i odwracają się od nędzy, cierpienia i niesprawiedliwości, niezależnie od tego, do czego chciałbyś ich nakłonić!

— Kłamca! — rzucił z pogardą i odrazą.

— Spójrz na nich! Wykorzystaj twój sokoli wzrok, a ujrzysz ich wszędzie! Usłyszysz ich radosny śmiech i pieśni, które śpiewają. Rozejrzyj się, na prawo i lewo, a znajdziesz ich i zobaczysz, jak się zbierają, by wspólnie świętować proste radości życia; i ci żyjący w gorących gęstwinach, i ci z ośnieżonych szczytów gór! Dlaczego wydaje ci się, że nimi rządzisz? Co z tego, że ten się potknie, a ów zachwieje na swej drodze, a ktoś zagubiony nie zdoła okazać miłości, chociaż bardzo się starał, co z tego, że któryś z twoich złych sług na miesiąc lub dwa pchnie masę do buntu i zniszczeń? Odpowiedz mi, książę tego świata, co z tego?

Wyśmiałem cię, gdybyś tylko miał imię — ciągnąłem. — Jesteś Księciem Kłamstwa! A największym kłamstwem jest to, iż jesteś równy Bogu i zwarliście się w śmiertelnej walce! Tak nigdy nie było i nie jest!

Zaniemówił z wściekłości.

— Ty żaloszny wiejski proroku! — powiedział wreszcie. — Śmiechem i drwinami wypędzą cię z Nazaretu!

— To Pan i Bóg rządzi — odparłem. — Tak zawsze było i jest nadal. Jesteś nicością, nic nie posiadasz i rządzisz nicością. Nawet twoi słudzy nie dzielą z tobą twojej pustki i bezsilnej wściekłości.

Poczerwieniał i nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

— Przecież masz sługi, widziałem ich. Masz także naśladowców, te biedne, przeklęte dusze, które ściskasz kurczowo w dłoni. Masz nawet własne sanktuaria. Jakże jednak śmiesznie małe są twoje karmiące się zawziętością zwycięstwa w ogromnym, pełnym życia świecie dojrzewającej pszenicy i jasno świecącego słońca! Jakże godne politowania twe starania, by wykorzystać każde najdrobniejsze starcie i każdą niezgodę, by wznieść swój lichy sztandar wszędzie tam, gdzie dochodzi do okropnej sprzeczki lub gdzie ktoś snuje cienką nić chciwości i oszustwa. Jakże żaloszna jest ta jedyna rzecz, jaką naprawdę posiadasz — twoje kłamstwa! Twoje wstrętne i odrażające kłamstwa! I zawsze starasz się doprowadzić ludzi do rozpacz, by przekonać ich, w twej zazdrości i chciwości, że twój największy wróg, Pan i Bóg, jest także ich wrogiem, że nie ma do niego dostępu, że nie dotyka Go ich ból, że jest On nieczuły na ich potrzeby. Kłamiesz!



Zawsze kłamałeś! Gdybyś ty rządził tym światem, nie zgodziłbyś się podzielić nawet jego cząstką. Bo nie byłbyś w stanie tego uczynić. Nie miałbyś czego dzielić, ponieważ wcześniej wszystko byś zniszczył. Jesteś samym k ł a m s t w e m ! Niczym innym!

— Prześtań! Natychmiast prześtań! — krzyczał, zatykając sobie uszy.

— To właśnie ja przyszedłem cię powstrzymać! — mówiłem dalej. — To właśnie ja przyszedłem, by objawić światu, że rozpacz i beznadzieja, które podsuwasz ludziom, to oszustwo. Jestem tutaj po to, by powiedzieć wszystkim i każdemu z osobna, że wcale nie jesteś żadnym panem i władcą i nigdy nie byłeś, że w planie Najwyższego jesteś jedynie cuchnącym łotrem, złodziejem z marginesu, padlinożercą, który w jałowej zazdrości krąży wokół ludzkich siedzib. Zniszczę twoje wydumane panowanie, podobnie jak ciebie, gdyż wypędzę cię, wymażę, zdepczę, i to nie przy pomocy ciężkozbrojnych armii, które przeleją morze krwi, nie za pomocą ognia i strachu, których tak pragniesz, nie mieczem i włócznią, z których kapie krew. Zrobię to w taki sposób, jakiego nie potrafisz sobie wyobrazić. Zrobię to po kolei w każdej rodzinie, osadzie, wiosce i mieście. Zrobię to przy stole biesiadnym, w czasie uczty, w izbie i w sali pałacu. Przemienię serce po sercu, dusza po duszy. Świat jest już gotów. Droga wytyczona. Pismo dociera do wszystkich w języku, którym porozumiewa się dzisiaj cały świat. I dlatego idę wyznaczoną mi drogą, by to właśnie uczynić, a ty zmagales się tutaj po raz kolejny, jak zawsze, daremnie.

Odwrociłem się, zostawiwszy go za sobą, i ruszyłem przed siebie zdecydowanym krokiem, a moje stopy szybko odnalazły pewny i mocny grunt. Przez chwilę oślepił mnie tuman piasku, podniesiony podmuchem wiatru, ale niebawem ujrzałem znajome zbocze, to samo, na które się wspiałem, kiedy nieznajomy podszedł do mnie pierwszy raz, poniżej zaś, w dali, zasnutą mgłą wstęgę zieleni, znaczącą bieg rzeki.

— Będziesz przeklinał dzień, w którym odrzuciłeś to, co ci ofiarowywałem! — zawołał za mną.

Było mi niedobrze. Głód trawił wnętrzości i kręciło mi się w głowie.

Odwrociłem się i spojrzałem na niego. Wciąż podtrzymywał obraz, którym mnie zwodził; stał odziany w piękne szaty i wskazywał ręką w moją stronę.

— Przypatr się tym pięknym szatom! — zawołał, a usta drżały mu jak płaczącemu dziecku. — Już nigdy więcej nie zobaczysz siebie w tak zdobnym stroju. — Jęknął z bezsilności i bólu, a im bardziej jęczał i skowyczał, tym większy był jego ból. Wygrażał mi pięścią.

Roześmiałem się tylko i szedłem dalej.

Nagle znowu znalazł się obok mnie.

— Zawisniesz na krzyżu Rzymian, jeśli spróbujesz działać beze mnie — ostrzegął.

Zatrzymałem się i spojrzałem mu prosto w oczy.

Cofnął się, a potem nagle coś, jakby niewidzialna siła, odrzuciło go w tył. Próbował utrzymać równowagę, machając bezładnie ramionami.

— Idź precz, Szatanie! — rozkazałem. — Idź precz! Zerwał się wiatr, wzbil tumany pyłu i piasku, a mój niedawny towarzysz coś krzyczał, jego krzyk przeszedł po chwili w długi skowyt.

Rozpętała się burza piaskowa. Jego jęki stały się teraz jej częścią i nie wiadomo było, czy to wyje z nieposkromioną siłą wiatr, czy też są to zawrodożenia Szatana.

Nagle pojawiło się przede mną urwisko i poczułem, że spadam i że tym razem nie jest to złudzenie. Ostry piasek siekł mi nogi, dłonie i twarz, wciskając się wszędzie.

Zsuwałem się bezwładnie, coraz szybciej, chroniąc rękami głowę.

Jeszcze miałem w uszach wściekle ryki wiatru, kiedy w pewnej chwili usłyszałem łagodny szum skrzydeł, taki jak nad rzeką.

Tak, słyszałem trzepot skrzydeł w powietrzu. Ze wszystkich stron poczułem nagle łagodny dotyk, jak gdyby dziesiątek rąk, niezliczone delikatne dłonie, a potem muśnięcie warg na policzku, na czole, na spalonych słońcem powiekach. Miałem wrażenie, że jestem lekki jak piórko i roztapiam się bez reszty w cudownym brzmieniu pieśni, która teraz wypełniła moje uszy, usuwając jazgot wichru. Ta pieśń zniosła mnie na dół, otoczyła mnie, usługiwała mi.

— Nie! — broniłem się. — Nie!

Śpiew przemienił się w delikatny szloch. Czysty i pełen smutku, a zarazem tak słodki, że trudno było mu się oprzeć. Miał zarazem w sobie ogrom radości. I zaraz pojawiły się pospiesznie czyjeś delikatne i czułe palce, gładziły moją twarz i spalone słońcem ramiona.

— Nie — opierałem się. — Zrobię to. A teraz proszę, zostawcie mnie. Zrobię tak, jak powiedziałem.

Wyśliznąłem się, a może to delikatne ręce rozproszyły się równie bezszelestnie, jak się zjawiały, rozpierzchły we wszystkie strony, uwalniając mnie ze swych objęć.

Znowu byłem sam.

Znajdowałem się na dnie doliny. Szedłem przed siebie. Poczulem, że z lewej nogi zsuwa mi się sandał; potknąłem się i o mało nie przewróciłem. Schyliłem się i podniosłem oderwany rzemień. Szedłem przed siebie, krok za krokiem, czując na twarzy gorący pustylny wiatr.

## XXIII

Chwiejąc się i kołysząc, wędrowałem. Czasami przystawałem, kuląc się pod podmuchami wiatru, a potem prostowałem się i zmuszałem do dalszego marszu.

W oddali, na drgającej linii horyzontu, pojawiły się jakieś kształty.

Przypominały niewielki statek na morskich falach, wokół którego tańczyły w rozedrganym, gorącym powietrzu jakieś istoty.

Ale to nie był statek, a dziwne istoty zmieniły się nagle w grupę jeźdźców.

Przez szum wiatru przebił się do moich uszu tętent kopyt. Z każdą chwilą widziałem coraz wyraźniej galopującego wierzchowca.

Zacząłem iść w tę stronę. Słyszałem niewyraźny, przerażający krzyk dobiegający gdzieś z oddali, gdzie majaczyły zielone kępy palm, znacząc źródło wody.

Jeździec skierował konia w moją stronę.

— Święty mężu! — zawołał. Próbując zatrzymać tańczącego niespokojnie wierzchowca, wyciągnął ku mnie bukłak.

— Pij, święty mężu! Pij!

Sięgnąłem po bukłak, ale ponieważ koń był w ruchu, bukłak podskakiwał, niczym dyndający na sznurku przedmiot, i nie mogłem go chwycić. Cały czas kroczyłem przed siebie.

Mężczyzna zeskoczył z konia. Miał na sobie bogaty strój, a na palcach złote pierścienie.

— Święty mężu! — powtórzył i położył mi rękę na ramieniu, a drugą przytknął mi do warg bukłak. Do moich ust zaczęła się sączyć woda. Chłodna i cudowna, obmywała język, wypełniała usta. Krople spływały na moje spękane wargi i spaloną słońcem pierś.

Próbowałem sam chwycić bukłak, a jeździec mnie podtrzymał, gdy się zachwiałem.

— Z umiarem, przyjacielu — mówił. — Nie za dużo, pewnie przez wiele dni nic nie miałeś w ustach.

Podniósł bukłak i zaczął polewać mi głowę. Zamknąłem oczy i czułem, jak chłodna woda obmywa mi powieki i policzki, wsiąka w odzienie, które zmieniło się w łachmany, łagodzi bolesne pieczenie.

I wtedy znowu usłyszałem ten skowyt. Jego skowyt!

Zatrzymałem się i wyężając wzrok, spojrzałem w stronę, skąd dobiegał. Czułem na rzesach krople wody. Teraz już wiedziałem, że to, co dostrzegłem na horyzoncie, to nie statek, lecz wspaniały namiot lśniący w słońcu.

Skowyt rozległ się znowu. *Naprawdę myślisz, że mnie pokonasz?*

— Wybacz, przyjacielu — odezwał się stojący obok mnie mężczyzna. — Te przerażające odgłosy wydaje moja siostra. Wybacz jej, święty mężu. Niesiemy ją teraz ostatni raz do Świątyni w nadziei, że jej tam pomogą.

Skowyt rozległ się znowu, przechodząc w chrapliwy, głośny śmiech.

W tej samej chwili usłyszałem w uchu głośny szept.

— No i co, zmiażdżysz i zdepczesz mnie? Serce za sercem, dusza po duszy?

I znowu skowyt, a po nim jęki tak żalose i przerażające, że wydawało się, iż krzyczy równocześnie wiele osób, nie jedna.

— Chodź, usiądź z nami. Napij się i posil — zachęcił mnie młody mężczyzna.

— Najpierw pozwól mi się zobaczyć z twoją siostrą.

Ruszyłem chwiejnie przed siebie, a on nieporadnie starał się mnie podtrzymać.

Kobieta siedziała skrępowana w zadaszonej lektyce z zasłonami, stojącej obok namiotu. Lektyka trzęsa się, jakby drżała pod nią ziemia.

Przerażliwe krzyki i wycie rozdzierały ciszę panującą na pustkowiu.

Wokół mężczyzny, który podał mi bukłak z wodą, zgromadzili się teraz inni, młodszy, najpewniej jego bracia.

— Znam cię — powiedział jeden z nich. — Ty jesteś Jezua bar Józef, cieśla. Byłeś nad rzeką.

— A ty jesteś Rawid bar Oded z Magdali. — Podeszedłem do lektyki.

Wydawało się niemożliwe, że to człowiek wydaje takie dźwięki. Ozdobione frędzlami zasłony lektyki były zaciągnięte i nie można było zobaczyć nic w środku.

— Święty mężu, gdybyś tylko umiał jej pomóc. — Usłyszałem za sobą czyjś głos.

Podeszła do mnie starsza kobieta w towarzystwie dwóch młodszych. Z boku stali, przyglądając się nam uważnie, umięśnieni niewolnicy, których zadaniem było nieść lektykę, a obok nich słudzy trzymający konie.

— Mój panie — przestrzegła mnie kobieta — ona jest nieczysta!

Minąłem ją, nie zwracając uwagi na jej słowa, stanąłem przed ogromną lektyką z baldachimem i rozsunąłem zasłony.

Ujrzałem kobietę w kwiecie wieku leżącą na stosie poduszek. Lniana tunika nie kryła zbyt dobrze wychudłego i wyniszczonego chorobą ciała. Ciemne włosy były zlepione potem i rozpuszczone opadały na ziemię. Z lektyki bił przyprawiający o mdłości odór moczu.

Od szyi do stóp kobietę oplatały skórzane rzemienie, a jej rozłożone ramiona przywiązano do boków lektyki niczym do krzyża. Bezustannie przeżyła ciało i dyszała z wściekłości, przygryzając wargi. Gdy mnie zobaczyła, plunęła mi w twarz. Poczułem na nosie i policzkach jej płwociny zmieszane z krwią.

— Święty mężu! — zawołała stojąca obok mnie starsza kobieta. — To już siedem lat tak cierpi! A powiadam ci, w Magdali nie było bardziej cnotliwej od niej kobiety!

— Wiem — odparłem. — To Miriam, matka dwóch synów, których straciła, gdy razem z jej mężem utonęli w morzu.

Kobieta zaniemówiła, usłyszawszy moje słowa, i tylko skinęła głową.

— Święty mężu — odezwał się Rawid. — Pomóż naszej siostrze!

Kobieta w lektyce znowu zaczęła się wić konwulsyjnie, a jej przerażliwy skowyt ponownie rozdarł powietrze. Było to dokładnie takie samo wycie, jakie słyszałem na szczycie góry. To był jego skowyt, który po chwili przeszedł w sardoniczny śmiech.

*Zdaje ci się, że potrafisz mi ją odebrać? Myślisz, że po siedmiu latach możesz zrobić to, co nie udało się żadnemu kapłanowi w Świątyni? Głupcze! Pluną na ciebie z powodu twoich dziwactw, tak samo jak ona.*

Kobieta poderwała się nagle w kolejnym ataku wściekłości, zrywając skórzane rzemienie krępujące jej ramiona. Wszyscy cofnęli się przerażeni.

Teraz była tylko skórą i kośćmi, którymi rządziła zimna furia.

Unosząc się na tyle, na ile pozwalały jej resztki więzów, zerwała rzemień z szyi i wysyczała w moją stronę:

— Synu Dawida! Czego od nas chcesz? Zostaw nas w spokoju, odejdz!

Bracia spoglądali z przerażeniem to na mnie, to na siebie nawzajem. Kobiety zbiły się trwożliwie w gromadkę.

— Mój panie, ona przez te siedem lat nie odezwała się ani słowem! Panie, zły nas zabije!

Teraz nieszczęsnica zerwała skórzane pasy krępujące jej tułów. Lektyka chwiała się niebezpiecznie z każdym jej ruchem, aż wreszcie kobieta zerwała rzemień krępujące jej nogi,

podniosła się, wyskoczyła, odtrącając kopniakiem słupki baldachimu, i wydostała się na zewnątrz. Upadła na piasek, lecz zaraz się podniosła na równe nogi ze zwinnością tancerki.

Wydała radosny krzyk. Zakręciła się jak fryga, czym wywołała jeszcze większe przerażenie swoich braci i kobiet.

Najstarszy z braci, ten, który podał mi wodę, podbiegł do niej, by ją chwycić i znowu skrepować, lecz młodszy zawołał:

— Zostaw, niech przemówi do niej!

Kobieta chwiała się i kołysała na wszystkie strony, wydawała pomruki niczym dzikie zwierzę, lecz w pewnej chwili nogi jej zdrząły, straciła równowagę i wyciągnęła do mnie rękę, odsłaniając sińce i obrzęki. Przez moment jej twarz była twarzą zwykłej kobiety, lecz w następnej sekundzie przybrała niespotykany, zwierzęcy wygląd.

— Jeszuo z Nazaretu! — zawołała dudniącym głosem. — Chcesz nas zniszczyć? — Przykucnęła i podnosząc garście piasku, ciskała we mnie.

— Milczcie, złe duchy — powiedziałem, po czym podszedłem do niej. — W imieniu Pana na Wysokościach, wypędzam was! Rozkazuję wam, wyjdźcie z mojej służebnicy Miriam! Wyjdźcie z niej i opuśćcie to miejsce! Zostawcie ją w spokoju!

Słyszając te słowa, kobieta podniosła się i wygięła grzbiet jak kot. Z jej piersi dobył się kolejny, przeraźliwy krzyk. Próbowwała zrobić krok w moją stronę, ale nie mogła, tak jakby przykuwał ją niewidzialny łańcuch.

Odezwałem się znowu:

— W imię Tego, który mieszka w Niebie, rozkazuję wam, wyjdźcie z tej kobiety!

Miriam znowu upadła na kolana. Usta miała wilgotne i drżące, ciężko dyszała. Objęła się wpół, jakby pragnęła przytrzymać samą siebie. Całe jej ciało dygotało, a kiedy wyciągnęła w moją stronę zaciśniętą pięść i zaczęła mi wygrażać, zdawało się, że jakaś inna ręka kieruje jej dłońią i że kobieta z całych sił stara się powstrzymać ów gest.

— Synu Boga — przemówiła niskim, tubalnym głosem — przeklinam cię.

— Wychodźcie z niej wszystkie. Wyrzucam was i przepędzam!

Kobieta wiła się, cały czas wydając przeraźliwe okrzyki.

— Syn Boży, Syn Boży — powtarzała bez przerwy. Rzuciła się do przodu i zaczęła uderzać głową o ziemię. Rozrzucone włosy odsłoniły wychudłą szyję. Krzyki i jęki stawały się coraz cichsze i coraz bardziej umęczone, wręcz błagalne.

— Wynoście się z niej wszyscy, po kolei, od pierwszego do siódmego! — zawołałem. Podszedłem do Miriam i stanąłem nad nią. Czułem na stopach jej włosy. Wyciągnęła przed siebie rękę, niczym ślepiec szukający czegoś, czego mógłby się uchwycić.

— Mocą Najwyższego rozkazuję wam, byście byli mi posłuszni! Zostawcie to Boże dziecko w takim stanie, w jakim było, zanim w nie weszłyście!

Miriam podniosła głowę. Znowu wyciągnęła rękę w moją stronę, ale tym razem po to, by powstać z ziemi i złapać równowagę. Udało jej się i rzeczywiście stanęła, ale wyglądało to tak, jak gdyby jakaś niewidzialna siła postawiła ją nagle na nogi, ciągnąc za włosy.

— Wynoście się po kolei! Od pierwszego do siódmego. Wypędzam was w tej chwili!

Kolejny krzyk rozdarł powietrze.

A potem kobieta znieruchomiała.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, długi i bolesny, nie mający jednak w sobie nic nadprzyrodzonego. Powoli osunęła się na piasek i położyła na ziemi, odchylając na bok głowę. Powieki miała półprzymknięte.

Cisza.

Kobiety najpierw zaczęły krzyczeć, a następnie wznosić do Nieba gorączkowe prośby. Jeśli nie żyje, widać taka była wola Boga. Wola Boga, wola Boga. Zbliżały się do Miriam zaleknione.

Rawid i jego brat stanęli obok mnie, a ja ująłem jej dłoń. Łagodnym głosem powiedziałem:

— Miriam.

Słysząc było jedynie świst wiatru, szum palmowych liści, szelest jedwabnych zasłon lektyki.

— Miriam — powtórzyłem. — Popatrz na mnie.

Powoli uczyniła posłusznie to, o co prosiłem.

— O Panie pełen miłosierdzia — rzekł półgłosem Rawid. — Panie miłosierdzia, przecież to nasza siostra!

A Miriam leżała na ziemi, jakby dopiero co przebudziła się z głębokiego snu, i lekko oszołomiona wodziła wzrokiem po twarzach ludzi stojących wokół.

Ukląknęłam i wyciągnęłam ku niej ręce, a ona podała mi dłonie. Przytuliłam ją do siebie. Nie wydała żadnego dźwięku, a jedynie przylgnęła do mnie z całej siły, a ja pocałowałam ją w czoło.

— Pan — szepnęła — mój Pan.

W otaczającej nas absolutnej ciszy słysząc było szloch Rawida.

W następnej chwili straciłam przytomność.

Widziałem ich i czułem dotyk ich dłoni, lecz nie stawiałem oporu. Najpierw niewolnicy umyli mnie, nie żałując wody. Czuję, jak zdejmują mi stare ubranie, polewają włosy i jak woda spływa mi po plecach i ramionach.

Co jakiś czas rozchylałem powieki. Widziałem złote hafty na płótnie namiotu trzepoczącym na wietrze. Cały czas czyjeś troskliwe dłonie pielęgnowały moje ciało.

— Trochę zupy, panie — zwróciła się do mnie kobieta, która weszła do namiotu. — Ale pij z umiarem, bo wiele dni nic nie jadłeś.

Wypiłem zawartość czarki.

— Tyle wystarczy. Teraz śpij. Zasnęłam.

Nadeszła noc i na pustyni zrobiło się chłodno, ale ja miałem na sobie nowe szaty i byłem przykryty derkami. Potem znowu zupa („Jedz, jedz”), a później sen. I znowu zupa, ale tylko pół czarki. I ożywione głosy dobiegające jakby z oddali.

Nadszedł świt.

Z głową na jedwabnej poduszce, obserwowałem przez półprzymknięte powieki, jak powoli wstaje dzień i światło rozprasza ciemność, aż w końcu mrok zniknął i cały świat stał się jasnością. Ciężki namiot dawał przyjemny chłód i chronił przed słońcem.

Ujrzałem nad sobą Rawida.

— Panie, moja siostra pyta, czy może z tobą rozmawiać. Chcemy cię prosić, żebyś poszedł z nami do naszego domu i pozwolił nam troszczyć się o ciebie i opiekować się tobą, dopóki nie wrócisz do sił, i żebyś do tego czasu przebywał pod jednym dachem z nami, w naszym domu w Magdali.

Usiadłem na posłaniu. Miałem na sobie lnianą tunikę, haftowaną w liście i kwiaty. Na niej płaszcz z delikatnej owczej wełny z szerokim obramowaniem.

Uśmiechnąłem się.

— Co możemy zrobić dla ciebie, panie? Przecież zwróciłeś nam naszą ukochaną siostrę!

Wyciągnęłam ręce do Rawida, a on przyklęknął i objął mnie mocno.

— Panie — westchnął wzruszony. — Wszystko znowu pamięta. Pamięta, że jej synowie zginęli, że mąż nie żyje. Płakała za nimi i zawsze będzie płakać, ale to nasza siostra.

Rawid ponowił zaproszenie, a potem wszedł do namiotu jego młodszy brat i także nalegał, abym jechał z nimi.

— Jesteś jeszcze słaby, panie. I chociaż demony cię słuchają, to brakuje ci sił. Potrzebujesz mięsa, picia i odpoczynku. Uczyniłeś niebывały cud, a teraz pozwól nam przywrócić cię do sił.

Ukląkł przede mną. W rękę trzymał parę nowych sandałów, ozdobionych lśniącoymi sprzączkami. I zrobił coś, czego — jestem pewien — jako mężczyzna nie zrobił nigdy dotąd. Włożył mi sandały i zawiązał rzemienie.

Kobiety stały w pewnej odległości, a pomiędzy nimi Miriam.

Zacząła się zbliżać do mnie niepewnie, małymi krokami, jak gdyby obawiając się, że lada chwila mogę zabronić jej przystępu do siebie. Zatrzymała się kilka kroków ode mnie. Jej sylwetka odcinała się wyraźnie w blasku wstającego słońca widocznego w wejściu do namiotu. Miriam miała na sobie czyste lniane szaty, a jej upięte włosy zakrywał welon. Jej twarz była spokojna, mimo zadrapań i sińców.

— A Pan pobłogosławił mi, wybaczył i wyrwał z mocy ciemności — powiedziała.

— Amen — odparłem.

— Jak mam ci się odwdzięczyć?

— Idź do Świątyni. Tam przecież chciałaś dotrzeć. Zobaczysz się ze mną znowu. Sama będziesz wiedziała, kiedy będę potrzebował twojej pomocy. Teraz jednak muszę ruszać w drogę. Muszę wrócić nad rzekę.

Nie wiedziała, co znaczą moje słowa, lecz jej bracia zrozumieli. Pomogli mi wstać.

— Miriam — powiedziałem, ujmując ją za rękę. — Spójrz, świat jest teraz całkiem nowy. Widzisz to?

Na jej twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech.

— Widzę, rabbi — potwierdziła.

— Uściskaj braci — poprosiłem. — A kiedy zobaczycie piękne ogrody Jerycha, zatrzymajcie się i rozejrzyjcie wokół.

— Amen, rabbi — odparła.

Słudzy przynieśli mi stare ubranie, związane w węzełek, i sandały z urwanymi rzemieniami. Wręczyli mi także laskę.

— Dokąd idziesz? — spytał Rawid.

— Zobaczyć się z moim krewniakiem Janem bar Zachariaszem nad rzeką, na północ stąd. Muszę go znaleźć.

— Spiesz się i bądź ostrożny, mój panie — powiedział Rawid. — Rozsierdził króla i mówią, że jego dni są policzone.

Skinąłem głową. Uścisnąłem wszystkich: braci, kobiety i sługi, którzy troszczyli się o mnie i wykąpali mnie. Skinieniem dłoni pożegnałem spoglądających nieufnie w naszą stronę niewolników niosących lektykę, schowanych w cieniu palm.

Dawali mi na drogę jedzenie, wino, a nawet złoto. Nie wziąłem niczego, napiłem się jedynie wody, która smakowała lepiej niż wino.

Spojrzałem na moją nową tunikę i płaszcz, na pięknie wykonane sandały. Uśmiechnąłem się do siebie.

— Jakie wspaniałe, miękkie szaty... — wyszeptałem. — Jeszcze nigdy nie byłem tak pięknie ubrany.

Wokół nas ciągle słychać było świst suchego, pustynnego wiatru.

— Ależ panie, te dary to nic, to wszystko i tak za mało, by ci się odwdzięczyć — zaprotestował Rawid, a inni powtarzali za nim to samo.

— To ja powinienem się wam odwdzięczyć — odparłem. — Ubraliście mnie w najbardziej stosowny strój, wybieram się bowiem na wesele.

— W takim razie, panie, jedz powoli i z każdej potrawy niewiele — doradziła jedna z kobiet, która mnie karmiła. — Ciągłe jesteś osłabiony i masz gorączkę.

Ucałowałem jej dłoń i skinąłem głową.

Ruszyłem na północ.



## XXIV

Gdy dotarłem nad Jordan, panował tam wciąż nastrój radości i świętowania, który ogarniał wszystkich pielgrzymów wchodzących i wychodzących z wody i przyjmujących chrzest od Jana i jego uczniów. Tłum zebrany na brzegu był jeszcze liczniejszy niż przedtem, wzrosła także liczba żołnierzy. Gdzieś widać było oddziały Rzymian; przybyli także żołnierze króla przyglądający się nieufnie ludziom, lecz nikt nie zwracał na nich uwagi.

Jordan płynął tutaj szybkim nurtem, rozlany szeroko. Znajdowaliśmy się niedaleko na południe od Jeziora Galilejskiego.

Mój kuzyn Jan siedział na skale nad strumieniem i przyglądał się swoim uczniom, którzy chrzcili kłękających w wodzie mężczyzn i kobiety.

W pewnej chwili podniósł wzrok, jakby poruszyła go nagle jakaś myśl.

Spojrzał na drugi brzeg i ujrzał mnie przeciskającego się powoli przez tłum w jego stronę. Nie odrywałem od niego oczu.

Jan podniósł się i wskazał na mnie.

— Baranek Boży! — zawołał. — Oto Baranek Boży, który zmaże grzechy świata!

Wszystkie głowy jak na komendę zwróciły się w moją stronę.

Mój młodszy kuzyn, Jan bar Zebedeusz, podał Janowi konchę.

Jan bar Zachariasz i ja przez krótką chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Potem przeniosłem wzrok, powoli i bez pośpiechu, na żołnierzy znajdujących się po mojej prawej i lewej stronie. Jan uniósł głowę i pozdrowił mnie lekkim skinieniem. A ja w ten sam sposób odwzajemniłem pozdrowienie.

Natychmiast też przeszedł mnie dreszcz i ogarnęła ciemność, jakby nagle na horyzoncie wyrosły i strzeliły ku niebu ogromne góry, które zakryły słońce. Zniknęła połyskująca rzeka. Rozpłynęła się emanująca blaskiem twarz Jana. Moje serce stało się zimne i skurczyło się. Lecz po chwili żar serca wrócił i znów poczułem jego bicie. Słońce ponownie zesłało swe promienie na rzekę i zapaliło ją swym blaskiem. W moją stronę szli teraz Jan bar Zebedeusz i inni uczniowie Jana bar Zachariasza.

Z tłumu tymczasem dobiegały radosne okrzyki.

— U kogo mieszkasz, rabbi? — zapytał Jan bar Zebedeusz. — Wiesz, że jesteśmy krewnymi?

— Wiem, kim jesteś. Chodź i zobacz, gdzie mieszkam. Idę do Kafarnaum. Zamieszkać w domu celnika.

Szedłem, nie zwalniając kroku, a mój młodszy kuzyn zasypywał mnie pytaniami:

— Panie, co chcesz, abyśmy czynili? Panie, jesteśmy twoimi sługami. Powiedz nam tylko, czego od nas oczekujesz.

Zaśmiałem się jedynie w odpowiedzi. Czekano nas jeszcze wiele godzin marszu do Kafarnaum.

Tam mieszkała moja siostra, Mała Salome. Była wdową, miała synka i żyła z rodziną męża, która była spokrewniona zarówno z nami, jak i z Zebedeuszem. Bardzo chciałem ją odwiedzić.

Kiedy jednak dotarliśmy do Kafarnaum, Andrzej bar Jonasz, który przyłączył się do mnie razem z Janem i szedł z nami aż od Jordanu, poszedł powiedzieć swemu bratu, Szymonowi, że znaleźli Mesjasza. Stanęliśmy nad brzegiem Jeziora Galilejskiego, gdy jego brat, Szymon, podpływał właśnie łodzią do brzegu, w drugiej łodzi zaś siedział Zebedeusz, ojciec Jana, razem z bratem Jana, Jakubem.

Wszystkich poruszyły wypowiedziane z ekscytacją słowa Andrzeja i wpatrywali się we mnie w milczeniu.

Czekałem.

Następnie powiedziałem Jakubowi i Szymonowi, aby poszli za mną.

Podeszli bez wahania i zaraz Szymon zaczął mnie błagać, żebym poszedł do jego domu, ponieważ jego teściowa leży chora w gorączce. Nad Jezioro Galilejskie już dotarła wieść o tym, że wypędziłem duchy z opętanej z Magdali. Czy na pewno będę umiał uzdrowić teściową Szymona?

Wszedłem do jego domu i ujrzałem kobietę leżącą ze wzrokiem utkwionym w powale, całkowicie obojętną na panujący wokół rozgardiasz. Szymon i pozostali mówili jeden przez drugiego o świętym mężu i słowach wypowiedzianych z wielką mocą nad Jordanem.

Wziąłem kobietę za rękę, a ona odwróciła głowę i spojrzała na mnie, poirytowana tym, że ktoś niepokoi ją w taki bezceremonialny sposób. Po chwili usiadła na pościeli.

— Kto powiedział, że jestem chora? Kto powiedział, że mam leżeć w izbie?

I natychmiast wstała, zaczęła się krzątać po domu, naląła każdemu polewki i klasnęła na służącą, żeby przyniosła świeżej wody.

— Spójrz tylko na siebie, jakiś ty chudy — powiedziała do mnie. — Kiedy tu wchodziłeś, wydałeś mi się znajomy i miałam wrażenie, że już gdzieś cię widziałam, ale to chyba niemożliwe. — Włożyła mi do rąk miszkę z polewką. — Zjedz tylko trochę, bo inaczej się rozchorujesz. Uważaj, żeby się nie zadławić. — Posłała gniewne spojrzenie zięciowi: — Czy to ty powiedziałeś mi, że jestem chora?

Szymon uniósł ręce w geście rezygnacji i pokręcił głową ze zdumieniem i niedowierzaniem.

— Posłuchaj, Szymonie — powiedziałem do niego, kiedy zasiedliśmy do posiłku. — Mam dla ciebie nowe imię. Od dzisiaj nazywasz się Piotr.

Przyjął w milczeniu moje słowa i tylko skinął głową. Jan natychmiast usiadł obok mnie.

— A nam też dasz nowe imiona, rabbi?

Uśmiechnąłem się.

— Jesteście zapalczywi i dobrze o tym wiecie. Cierpliwości. Na razie ciebie i twojego brata będę nazywał „synami gromu”.

Zgodnie z radą starej kobiety zjadłem tylko odrobinę polewki. Wciąż byłem głodny, lecz nie mogłem zjeść nic ponad to.

Wszyscy siedzieliśmy na klepisku ze skrzyżowanymi nogami, jak zazwyczaj przy posiłku. Już nie zwracałem uwagi na mój piękny strój, który po długim marszu pokrył się kurzem, i spojrzałem na Szymona mówiącego mi właśnie, że musi wracać nad jezioro i przygotować łódź na wieczorny połów.

Pokręciłem głową.

— Nie, od tej pory będziesz łowił ludzi — oznajmiłem. — Pójdiesz ze mną. Po co ci dałem nowe imię? Wszystko w twoim życiu się zmieni. Nie myśl, że będzie tak jak przedtem.

Był zaskoczony moimi słowami, ale jego brat cały czas dawał mu znaki, aby był mi posłuszny. Oparłem się o ścianę i zdrzemnąłem chwilę, podczas gdy oni rozmawiali między sobą o wszystkim, co im się dzisiaj przydarzyło. Co chwilę obserwowałem ich spod półprzymkniętych powiek, chociaż nie byli tego świadomi. Nie mieli pojęcia, co widzę. Byli dla mnie jak książka, którą otworzyłem i czytałem, by o każdym z nich dowiedzieć się tego, czego chciałem.

Tymczasem przed domem Szymona zaczął się gromadzić tłum.

Przyszła moja siostra, Mała Salome, najdroższa i najbliższa memu sercu ze wszystkich krewnych. Zawsze boleśnie odczuwałem jej przeprowadzkę do Kafarnaum.

Drzemałem jeszcze, kiedy poczułem na policzku jej pocałunek. W jej głęboko osadzonych, pełnych blasku oczach była bliskość, którą dzieliłem tylko z nią i z nikim innym na świecie z wyjątkiem matki. Gdy dotykałem palcami jej dłoni, gdy jej ramię dotykało mojego ramienia, napływały falami wspomnienia i ogarniała mnie niewymowna czułość.

Przez długą chwilę nic nie mówiłem i jedynie trzymałem Małą Salome mocno w objęciach. Wreszcie odsunęła się ode mnie na długość ramion i spojrzała mi w oczy, inaczej niż w przeszłości. Miałem wrażenie, że i ona także przez chwilę dała się ponieść wspomnieniom. Wówczas uświadomiłem sobie, że porównuje mnie takiego, jakiego zapamiętała z dawnych lat, z mężczyzną, którego widzi teraz, z odmienionym wyrazem twarzy i zachowaniem.

Do izby wszedł jej syn, chłopiec o gęstej czuprynie, i spojrzał na mnie z ciekawością. Miał sześć lat i był bardzo podobny do wuja Kleofasa, ojca Salome.

— Tobiaszu! — zawołałem i wyciąłem go. Ostatni raz widziałem się z nim krótko na pielgrzymce do Jerozolimy i miałem wrażenie, że było to wieki temu.

— Wujku — odezwał się — cały świat mówi o tobie! — W jego oczach migotały wesołe iskierki, takie same jak w oczach dziadka.

— Teraz już bądź cicho — poleciła mu moja ukochana siostra, gładząc go po głowie, po czym zwróciła się do mnie: — Jeszuo, spójrz na siebie! Strasznie schudłeś. Twarz ci płonie, pewnie masz gorączkę! Chodź, pójdziesz teraz do naszego domu i tam się tobą zajmę, dopóki nie ruszysz w dalszą drogę.

— Ale wtedy nie zdążę na trzeci dzień na wesele Abigail! — roześmiałem się. — Myślisz, że może mnie tam zabraknąć? Przecież wiesz wszystko o tym ślubie...

— Wiem tylko, że nigdy nie widziałam cię w takim stanie. Jeśli to nie jest gorączka, to co w takim razie? Nie, mój bracie, pójdziesz ze mną.

— Jestem głodny, Salome, to prawda, ale posłuchaj uważnie. Mam do załatwienia pewną sprawę. Biorę z sobą tych oto ludzi, którzy przyszedli tutaj ze mną. — Zawahałem się, bo nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć. — W Kafarnaum mogę spędzić tylko jedną noc, nim wyruszę na wesele, i dlatego muszę znaleźć dom celnika. Zjem z nim dzisiaj wieczorny posiłek. To nie może czekać.

— Celnik? — zapytał natychmiast Jan bar Zebedeusz z niedowierzaniem w głosie. — Nie masz chyba na myśli Mateusza, który siedzi tutaj w Kafarnaum w komorze celnej? Jeśli ktoś w naszym mieście zasługuje na miano złodzieja, to na pewno on. Nie możesz usiąść z nim przy jednym stole!

— Wciąż jest złodziejem? Przecież wyznał swoje grzechy i wszedł do rzeki — odparłem.

— Nadal siedzi na cle i łupi ludzi jak dawniej — powiedział Szymon, po czym dodał: — Panie, zjedz posiłek ze mną, pod moim dachem! Zjedz z twoją siostrą. Zjemy wspólnie tam, gdzie zechcesz. Możemy rozbić namioty nad jeziorem, przygotuję ryby, które złowiliśmy. Ale nie u Mateusza celnika! Każdy się zaraz o tym dowie!

— Nie musisz tego robić, Jeszuo — rzekła Salome. — Robisz to dlatego, że nasz ukochany Józef umarł w jego namiocie. Ale nie musisz mu się odwdzięczać w ten sposób. Nikt tego nie wymaga.

— Ja tego wymagam — odparłem łagodnie i pocałowałem ją jeszcze raz w policzek.

Oparła mi głowę na piersi.

— Jeszuo, tyle listów przyszło z Nazaretu. Były też listy z Jerozolimy. Wszyscy patrzą na ciebie z nadzieją i mają rację.

Nie chciałem się już z nią rozstawać, ale mimo to powiedziałem:

— Posłuchaj uważnie. Pójdziesz teraz do swego teścia i zapytasz, czy możesz pójść z nami do Nazaretu na ślub Rubena i Abigail i zabrać ze sobą Tobiasza, który jeszcze nigdy nie widział

domu swego dziadka. Naszego domu. Twój teść się zgodzi. Zapakuj do węzła swój najlepszy strój, a my przyjdziemy po was o świcie.

Mała Salome próbowała oponować, mówiąc to, co zwykle się powtarza w takich sytuacjach, że teść jej potrzebuje, że jej na to nie pozwoli, lecz wszystkie wymówki szybko zamarły na jej ustach. Widać było, że jest bardzo podekscytowana, i ucałowałszy mnie po raz ostatni, chwyciła za rękę Tobiasza i wybiegła pospiesznie z domu.

Ja także wstałem, a pozostali za mną.

Kiedy wychodziłem z domu, stał tam jakiś młody człowiek i wpatrywał się we mnie niespokojnie. Emanowały z niego energia i zapach. Jego odzież była pokryta pyłem i kurzem, tak jak tych, którzy pracują rękoma, ale na palcach miał plamy z atramentu.

— Mówią o tobie nad całym Jordanem — zwrócił się do mnie. — Mówią, że Jan Chrzciciel wskazał na ciebie.

— Twoje greckie imię to Filip — powiedziałem. — Podoba mi się. Wszystko w tobie mi się podoba. Pójdź za mną.

Usłyszawszy te słowa, młodzieniec natychmiast podszedł do mnie, by chwycić mnie za rękę, lecz zatrzymał się w ostatniej chwili, najwidoczniej czekając, aż mu pozwolę to uczynić.

— Pozwól, że przyprowadzę ci mego przyjaciela, który jest w mieście razem ze mną.

W tej chwili ujrzałem jego przyjaciela oczami mego umysłu. Wiedziałem, że to Natanael z Kany, uczeń Hananela, którego widziałem w domu starego nauczyciela, kiedy przyszedłem wstawić się u niego za Abigail. Natanael przebywał niedaleko, na otoczonym pobielanym murem dziedzińcu jednego z pobliskich domów, i zbierał właśnie do tobołka zwoje, papirusy i odzież, przygotowując się do powrotu do domu, do Kany. Cały czas pracował niedaleko jeziora, od czasu do czasu przyglądając się z oddali Chrzcicielowi. Zamartwiał się, ponieważ podróż do domu wydawała mu się niepotrzebną stratą czasu, nie mógł jednak nie być na weselu. Nie wiedział, mocując się z myślami i niesfornymi przedmiotami, które wkładał do tobołka, że w jego stronę już biegnie Filip.

Wyszedłem na drogę, dziwiąc się tłumowi, który szedł za nami, i gapiącym się na nas dzieciom. Towarzyszący im dorośli starali się trzymać je przy sobie, gdy próbowały biec w naszą stronę, szepcząc równocześnie między sobą i wskazując na mnie palcami. Słyszałem swoje imię podawane z ust do ust.

Natanael z Kany dogonił nas, nim wyszliśmy na ruchliwy gościniec, tuż przed komorą celną, gdzie idący przystawali i gdzie zawsze tworzył się zator.

Wokół nas było pełno ludzi, którzy czekali na opłacenie cła, i nie mając nic innego do roboty, krążyli wokół. Wielu spoglądało na mnie i mówiło: „Tak, to ten, którego widzieliśmy nad rzeką” albo: „To ten, który wypędził demony z Miriam z Magdali”. Inni odpowiadali: „Nie, to nie ten”. Niektórzy mówili z przekonaniem, że wkrótce aresztują Chrzciciela, bo zgromadził wielkie tłumy, inni jednak twierdzili, że zrobią to dlatego, że wzbudził gniew króla.

Przystanąłem i pochyliłem głowę. Słyszałem każde wypowiedane słowo. Wszystkie słowa. Słyszałem także te, które dopiero miały się pojawić na wargach. Ale nie słuchałem ich i pozwoliłem im zapaść w ciszę, ponieść wiatrowi wiejącemu od jeziora lśniącego w słońcu falami.

Do moich uszu wróciły tylko najbliższe dźwięki. Szymon Piotr opowiadał z przejęciem, że uzdrowiłem jego teściową dotykiem dłoni.

Wystawiłem twarz na wilgotną bryzę, która muskała mi włosy i niosła z sobą delikatny zapach jeziora. Moja skóra była tak spalona słońcem, że chłoneła wilgoć jak gąbka. Byłem strasznie głodny.

Wiedziałem, że gdzieś na końcu ciągnącego za nami tłumu Filip i Natanael się kłócą, i dlatego wsłuchałem się w wymianę zdań, której idący obok mnie nie mogli słyszeć. Natanael nie chciał iść z Filipem.

— Z Nazaretu? — pytał. — Mesjasz? Chcesz, żebym w to uwierzył? Posłuchaj, Filipie, mieszkam o rzut kamieniem od Nazaretu, a ty mi mówisz, że z tej wioski przyjdzie Mesjasz? Co dobrego może pochodzić z Nazaretu? Człowieku, opowiadasz głupstwa!

Mój kuzyn Jan został z tyłu i przyłączył się do nich.

— Może i to prawda z tym Nazaretem, ale on rzeczywiście jest Mesjaszem — oświadczył z przekonaniem. Był tak podekscytowany i przepełniony podziwem i bojaźnią, jak gdyby ciągle jeszcze stał w Jordanie, obmywany wodą chrztu, obmywany Duchem, który zstąpił na rzekę, gdy otwarło się niebo. — On jest Mesjaszem, powiadam ci. Zobaczyłem to, kiedy przyjmował chrzest. A i Chrzcziciel, sam Jan Chrzcziciel powiedział to, wskazując na niego palcem...

Przestałem słuchać i pozwoliłem wiatrowi zagłuszyć ich rozmowę. Spojrzałem w dal, ku lśniącej linii horyzontu, gdzie blade wzgórza zlewały się z błękitem niebios, a chmury przesuwały się powoli jak żagle statków.

Wreszcie Natanael podszedł do mnie i obrzucił nieufnym spojrzeniem. Pozdrowiłem go skinieniem głowy i szliśmy przez chwilę w milczeniu obok siebie.

— Powiadasz, że nic dobrego nie może pochodzić z Nazaretu — rzekłem w końcu.

Zarumienił się, a ja się roześmiałem.

— Oto Izraelita, w którym nie ma nic z Jakuba — dodałem. Chodziło mi o to, że nie ma w nim skłonności do podstępu. Natanael bowiem powiedział, co myślał, bez kluczenia i przebiegłości. Mówił prosto z serca. Zaśmiałem się cicho.

Włączyliśmy się w posuwający się wolno gościńcem tłum.

— Skąd mnie znasz? — spytał Natanael.

— Ha, mógłbym powiedzieć, że znam cię z domu Hananela, gdzie mnie niedawno widziałeś, cieśle z Nazaretu.

Widać było, że moje słowa go zaskoczyły. Nie mógł uwierzyć, że to właśnie ja byłem tamtym człowiekiem. Prawie wcale mnie nie kojarzył, pamiętał jedynie, że z powodu tej wizyty musiał napisać wiele listów dla Hananela. Powoli wszystkie jego wspomnienia związane ze zwykłym, nic nieznaczącym cieślą, który odwiedził tego dnia Hananela, połączyły się w jedną całość i teraz Natanael przewiercał mnie spojrzeniem, wpatrując mi się bezustannie w oczy.

— Ale nie będę cię oszukiwał i powiem ci, skąd naprawdę cię znam — ciągnąłem. — Widziałem cię dopiero co pod drzewem figowym, jak stałeś, mrużąc w złości pod nosem, upychając w węzłku zwoje, tak nieporęczne w wędrowce, i szykowałeś się do jutrzejszej drogi, poirytowany tym, że musisz iść na wesele Rubena i Abigail, gdy tymczasem tutaj, nad jeziorem, być może czeka na ciebie coś lepszego i znacznie ważniejszego.

Natanael był wstrząśnięty, a nawet przestraszony. Jan, Andrzej, Jakub i Filip otoczyli go ciasnym kręgiem. Piotr trzymał się z boku. Wszyscy spoglądali niespokojnie na młodzieńca, a ja śmiałem się cicho pod nosem.

— Czy nie mam racji, twierdząc, że cię znam?

— Rabbi, ty jesteś Synem Bożym... — wyszeptał Natanael. — Jesteś Królem Izraela!

— Tylko dlatego, że widziałem cię oczyma umysłu pod drzewem, zmartwionego tym, że będziesz musiał nieść tyle tobołków do Kany? — Przez chwilę zastanawiałem się i wreszcie, ufając swojej intuicji, powiedziałem: — Amen, amen, ty też zobaczysz otwarte niebo, tak jak Jan. Ale nie ujrzysz gołębic, lecz anioły Pana na Wysokościach wstępujące i zstępujące na Syna Człowieczego.

Położyłem dłoń na piersi.

Natanael oniemiał z wrażenia. Pozostali także trwali w oszołomieniu, lecz w ich wypadku była to zbiorowa fascynacja, wciąż rosnący zachwyt i zdumienie tym, co widzieli.

Dotarliśmy do komory celnej.

W środku siedział bogaty celnik, ten sam, którego widziałem nad rzeką, ten sam, dokładnie opisany mi na pustyni, który zabrał ciało zmarłego Józefa znad rzeki i kazał je zanieść do Nazaretu, by je tam pogrzebać.

Podszedłem do celnika. Ci, którzy czekali, by się z nim rozmówić, cofnęli się. Po chwili w komorze zrobił się ścisk i tłok i zapanował rozgardiasz większy niż zwykle. Jeźdźcy, objuczone osły, wozy pełne koszów z rybami — wszystko to czekało i ludzie zaczęli utyskiwać, że chcą już zapłacić cło i iść dalej.

Moi nowi uczniowie stanęli wokół mnie.

Celnik zapisywał coś na zwoju, wydymając lekko wargi z każdym ruchem pióra. W pewnej chwili niechętnie przerwał obliczenia i podniósł głowę, by zobaczyć, co zasłania mu światło, i wtedy mnie ujrzał.

— Mateuszu — powiedziałem i uśmiechnąłem się do niego. — Czy zapisałeś swoją wprawną dłoń także wszystko, co ci opowiedział mój ojciec, Józef?

— Rabbi! — wyszeptał i natychmiast zerwał się na równe nogi. Mówił, że nie umie znaleźć słów, by opisać zmianę, jaka we mnie zaszła, by oddać wszystkie drobne różnice, które teraz dostrzegał. Pięknie tkane szaty były przy tym najmniej ważne. Dla kogoś takiego jak on wspaniały strój nie był niczym nadzwyczajnym.

W pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na innych, którzy cofnęli się na jego widok. Nie zauważył Jana i Jakuba, synów Zebedeusza, spoglądających na niego gniewnym wzrokiem, jakby mieli zamiar go ukamienować, ani Natanaela posyłającego mu zimne spojrzenie. Patrzył tylko na mnie.

— Rabbi — powiedział. — Gdybym miał twoją zgodę, spisałbym je, spisałbym wszystko, co opowiedział mi twój ojciec, i nawet więcej, bo także to, co sam widziałem, kiedy wszedłeś do rzeki.

— Pójdź za mną. Przebywałem na pustyni przez wiele dni. Dzisiaj chciałbym spożyć z tobą posiłek, ja i moi przyjaciele, których tu widzisz. Przygotuj dla nas ucztę i chodźmy do twego domu.

Celnik natychmiast wyszedł z komory, nawet się nie odwróciwszy, ujął mnie za ramię i poprowadził w gęstwinę uliczek miasteczka.

Ludzie, których mijaliśmy, nie ciskali mu obelg w twarz, z pewnością jednak słyszał kąśliwe uwagi z ust ludzi za nami i tych, którzy rozproszyli się po bokach i podążali naszym śladem w niewielkich grupkach.

Nie odstępując mnie ani na krok, posłał chłopca, by pobiegł do domu i kazał sługom przygotować wszystko na nasze przyjęcie.

— Rabbi, wesele — zwrócił się do mnie półgłosem wyraźnie stropiony Natanael. — Musimy iść do Kany, bo inaczej się spóźnimy.

— Mamy dość czasu akurat na ten wieczór — odparłem. — O nic się nie martw. Wesele jest dla mnie najważniejsze. Poza tym muszę opowiedzieć wam o wszystkim, co mi się przydarzyło, kiedy przebywałem na pustkowiu. Wszyscy dobrze wiecie lub wkrótce się dowiedziecie, co się stało, kiedy poszedłem, by dać się ochrzcić w Jordanie mojemu kuzynowi Janowi. Ale o tym, co się zdarzyło na pustyni, opowiem tylko wam.

## XXV

Wieczór barwił na fioletowo wzgórze, gdy niezauważeni przez nikogo weszliśmy do Nazaretu. Szliśmy okreśną drogą, tak aby nas nie widziano, ponieważ zapalono już pochodnie i ze wszystkich stron dochodziły nas podekscytowane i radosne głosy. Oblubieniec miał się zjawić nie później niż za godzinę. Dzieci jeszcze bawiły się na uliczkach, lecz kobiety w najlepszych, białych szatach czekały już z lampami. Inne zbierały kwiaty i plotły wianki. Z okolicznych gajów nadciągali mieszkańcy wioski, niosąc naręcza liści palm i mirtu. W naszym domu trwały radosne przygotowania. Kiedy matka mnie zobaczyła, krzyknęła z radości i padła mi w ramiona.

— A myślałaś, że nie będzie go tutaj z nami — powiedział do niej Kleofas, obejmując nas oboje.

— Popatrzcie, kogo wam przyprowadziłem. — Wskazałem na Małą Salome, która rzuciła się w ramiona ojca, wybuchając płaczem. A potem to samo uczynił Mały Tobiasz. Stłoczyli się obok nas kuzyni i bratankowie, przy czym najmłodszy dotykał z ciekawością moich nowych szat. Wszyscy radośnie witali tych, których imiona wymieniałem szybko, jedno po drugim.

Przywitałem się z braćmi, którzy popatrywali na mnie niepewnie, zwłaszcza Jakub.

Wszyscy znali Mateusza jako tego, który razem z nimi opłakiwał śmierć Józefa. Nikt nie kwestionował jego obecności, a na pewno nie wujowie Alfeusz i Kleofas ani moje ciotki. A wspaniałe szaty celnika, w których zwykł chodzić na co dzień, nie budziły zdziwienia.

Nie było jednak czasu na rozmowy.

Nadchodził oblubieniec.

Należało otrząść się z kurzu i pyłu, wytrzeć sandały, umyć twarz, uczesać i namaścić oliwą włosy, wyjąć odświętne stroje. Natychmiast też zajęto się Małym Tobiaszem. Zaczęto skrobać jego głowę niczym warzywo, by doprowadzić do ładu włosy, i ubrano w piękny strój. Wszyscy zaczęli się przygotowywać, by wyjść godnie na spotkanie oblubieńca.

Do izby wbiegł Mały Szabi, krzycząc już od progu, że jeszcze nigdy nie widział tylu pochodni w Nazarecie. Wszyscy w wiosce wyszli przed domy. Zaczęło się klaskanie i śpiewanie.

Z zewnątrz dobiegał nas dźwięk bębenków i piskliwe tony piszczałek.

Ale mojej ukochanej Abigail nie było jeszcze widać.

Wreszcie wyszliśmy na dziedziniec, gdzie my, mężczyźni, ustawiliśmy się zgodnie z wiekiem. Najmłodszy z rodziny wyjął z koszyków pięknie uplecione wianki z bluszczu i kwiatków o białych płatkach i zaczęli wkładać je nam na głowy. Był z nami Jakim, a także Cicha Anna w białym stroju i welonie skrywającym pięknie uczesane włosy. To właśnie ona włożyła mi na głowę wianek, uśmiechając się przy tym, a oczy błyszczały jej z radości.

Obserwowałem ją przez chwilę, kiedy odwróciła głowę. Słyszałem muzykę, tak samo jak ona, ponieważ powietrze drgało w rytm bębenków. Widziałem płonące pochodnie, tak samo jak ona.

Zapadł zmrok.

Światło lamp, kaganków i pochodni, migocące na dachach domów i przy drewnianych kratownicach, rozlewało wszędzie swój blask.

Słyszałem coraz głośniejsze śpiewy, którym towarzyszyły dźwięki harf i pulsujące tony lutni. Wśród śpiewów i muzyki słyhać było skwierczenie pochodni.

I nagle cały ten radosny zgiełk zagłuszył głos rogów.

Do Nazaretu przybył oblubieniec. Razem z towarzyszami szedł teraz w górę zbocza, a ze wszystkich stron witały ich radosne okrzyki i klaskanie.

Na dziedzińcu zapłonęło jeszcze więcej pochodni.

Z głównych drzwi domu wyszły kobiety ubrane w białe szaty utkane z delikatnej wełny, przewiązane w talii paskami w jaskrawych kolorach, z włosami pięknie upiętymi pod białymi welonami.

W tej samej chwili wniesiono chuppę — lniany baldachim przystrojony kolorowymi wstążkami. Podtrzymywali go moi bracia Mały Józef, Juda i Szymon razem z kuzynem Sylasem.

Od strony ulicy podniosły się jak na komendę radosne, powitalne okrzyki.

W świetle pochodni ukazał się Ruben, z wiankiem na głowie, ubrany w piękne szaty, promieniejący, a jego twarz wyrażała taką radość i szczęście, że moje oczy wypełniły się łzami. Obok Rubena kroczył jego przyjaciel, Jazon, który obwieścił wszystkim dźwięcznym głosem, kto przybył do Nazaretu:

— Ruben bar Daniel bar Hananel z Kany przybywa po swoją oblubienicę!

Do przodu wystąpił Jakub, a obok niego pierwszy raz tego wieczoru ujrzałem zgarbionego Szemajacha z ponurą miną i z przekrzywionym wiankiem na głowie. Z powodu potężnej postury, szerokich barów i grubych ramion, szata weselna sięgała mu do połowy łydek.

Najważniejsze jednak, że był tutaj z nami! Popchnął teraz Jakuba w stronę podekscytowanego i szczęśliwego Rubena, który wkroczył na dziedziniec z szeroko rozłożonymi ramionami.

Cicha Anna wbiegła szybko do domu.

Jakub serdecznie uściskał Rubena.

— Witam cię z radością, mój bracie — powiedział tak głośno, by słyszeli go wszyscy zebrani na ulicy, a jego słowa przyjęto burzą oklasków. — Witam cię z radością, kiedy przychodzisz do domu braci i bierzesz sobie za oblubienicę swoją krewniaczkę.

Teraz Jakub odstąpił na bok, a pochodnie przeniesiono ku drzwiom domu, w których ukazała się właśnie Cicha Anna, zachęcając gestem Abigail do wyjścia na zewnątrz.

I wreszcie oblubienica wyszła na dziedziniec.

Stała w świetle pochodni, spowita w welony z najdelikatniejszej egipskiej gazy wyszywanej złotem, jej ramiona także lśniły od złota, a na palcach miała błyszczące wielobarwne pierścienie. Przez gęstą i połyskującą mgiełkę białej gazy dostrzegłem płonące blaskiem ciemne oczy. Gęste, ciemne włosy spływały jej spod welonów aż na piersi i nawet na palcach stóp, obutych w piękne sandały, miała pierścienie zdobne w szlachetne kamienie.

Jakub przemówił donośnym głosem:

— To jest Abigail, córka Szemajacha, twoja krewniaczka i siostra, którą teraz bierzesz z błogosławieństwem jej ojca oraz braci i sióstr, aby była twoją żoną w domu twego ojca, i niech od tej pory będzie dla ciebie siostrą, i niech wasze dzieci będą dla ciebie jak bracia i siostry, zgodnie z Prawem Mojżesza i z tym, co napisano, i niech tak się stanie.

Zagrzmiały rogi, zadźwięczały harfy, bito w bębni, coraz szybciej i szybciej. Kobiety na dziedzińcu także podniosły bębni, a ich dźwięk dołączył do donośnego rytmu płynącego z ulicy.

Ruben postąpił krok do przodu i podobnie uczyniła Abigail, aż oboje znaleźli się pod baldachimem. Kiedy Ruben odsłaniał welon zakrywający twarz oblubienicy, po policzkach płynęły mu łzy.

Jakub oddzielił ich dłonią.

Ruben przemawiał do Abigail, której twarz, ukrytą do tej pory pod welonem, widział teraz przed sobą, jasno i wyraźnie.

— Och, moja najdroższa — mówił. — Byłaś mi przeznaczona już od początku świata!

W tej chwili Jakub popchnął do przodu Szemajacha, który stanął obok oblubienicy. Ojciec Abigail spoglądał na Jakuba wzrokiem człowieka schwytanego w pułapkę, który dałby drapaka,



gdyby tylko nadarzyła się sposobność, lecz Jakub wyszeptał mu coś do ucha i Szemajach zaczął mówić:

— Oddaję ci moją córkę, od teraz po kolejne dni, na zawsze. — Spoglądał niespokojnie na Jakuba, który skinął głową. Szemajach mówił dalej: — Niech Pan na Wysokościach prowadzi was i błogosławi wam tej nocy i obdarzy swym miłosierdziem i pokojem.

Nim jeszcze rozległy się zagłuszające wszystko radosne okrzyki, Jakub nabrał powietrza w płuca i powiedział głośno i wyraźnie:

— Weź Abigail za swoją małżonkę, tak jak zapisano w Torze. Weź ją i zaprowadź bezpiecznie do domu twojego i ojca. I niech Pan i wszystkie Jego zastępy błogosławią ci w tej drodze i przez całe twe życie.

Ludzie znowu zaczęli wyrażać radość okrzykami i klaskaniem.

Kobiety utworzyły krąg wokół Abigail. Jazon pociągnął Rubena za sobą i wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem moich wujów i braci, opuścili dziedziniec. Niosący baldachim złożyli słupki, by przejść przez bramę prowadzącą z dziedzińca na ulicę. Pod baldachimem znajdowała się w tej chwili tylko Abigail. Za nią szły wszystkie kobiety z naszego domu: Mała Miriam, Mała Salome i Cicha Anna. Gdy znalazły się na ulicy, słupki baldachimu znowu rozsunięto.

Dźwięczały struny harf trącane coraz szybciej i gwałtowniej przez muzyków. Dołączył do nich głos rogów, a potem słodka i porywająca muzyka fletów i piszczałek.

Cały orszak posuwał się powoli, mijając oświetlone drzwi domów, przy których stali ludzie, klaszcząc w dłonie, a ich twarze lśniły w blasku pochodni. Dzieci biegły przodem, niektóre niosły lampy na długich tyczkach, inne trzymały świece i osłaniały ich płomienie drobnymi rączkami.

Kobiety znowu uniosły bębni. Z dziedzińców i domów wychodzili kolejni mieszkańcy wioski z harfami, rogami i bębenkami i przyłączali się do orszaku. Tu i ówdzie dał się słyszeć brzęk sistrum i dzwoneczków.

Śpiewy i radosne okrzyki stały się jeszcze głośniejsze.

Kiedy cały orszak wyszedł na trakt do Kany, wszystkim ukazał się zapierający dech w piersiach widok pochodni po obu stronach drogi od miejsca, w którym staliśmy, hen, aż dokąd sięgał wzrok. Płomienie zstępowały z okolicznych wzgórz i pól i zmierzały w naszą stronę.

Baldachim rozpięto teraz na pełną szerokość. Sypano płatki kwiatów. Muzyka była coraz głośniejsza, rytm coraz szybszy. Oblubienica w otoczeniu kobiet postępowała krok za krokiem pod baldachimem, natomiast mężczyźni po obu stronach chuppy oraz z przodu i na końcu orszaku brali się pod rękę i zaczęli tańczyć.

Ruben i Jazon, spleceni ramionami, tańczyli, przechodząc z lewej strony drogi na prawą, stawiając drobne kroczki, kołysząc się, wymachując wolną dłonią uniesioną nad głową i śpiewając w rytm muzyki.

Także po bokach orszaku uformowały się długie szeregi mężczyzn, którzy tańczyli w ten sposób. Znalazłem się tam i ja i tańczyłem z wujami i braćmi. Mały Szabi, Jakim i Izaak, a także inni chłopcy kręcili się jak frygi, podskakiwali i klaskali z zapalem.

Z każdym krokiem, z każdym zakrętem drogi widzieliśmy nowe pochodnie witające nas światłem. Było ich coraz więcej, bo coraz więcej mieszkańców wioski przyłączało się do orszaku.

Aż wreszcie dotarliśmy do ogromnego domu Hananela.

Stary rabbi czekał na nas w sali przeznaczonej na uczy. Podniósł się z sofy i rozłożył szeroko ramiona, by przywitać oblubienicę wnuka. Potem uściśnął dłonie Jakuba i Szemajacha i powiedział do Abigail:

— Wejź, moja córko! Wejź do mego domu i domu twojego męża! Niech będzie błogosławiony Pan, który przyprowadził cię do nas, moja córko, niech będzie błogosławiona pamięć twojej matki, niech będzie błogosławiony twój ojciec, niech będzie błogosławiony mój wnuk Ruben! Wejź teraz do swojego domu. Pragniemy cię przywitać z radością i błogosławieństwem!

Odwrócił się i poprowadził oblubienicę i towarzyszące jej kobiety przez rozświetloną świecznikami salę do kolejnej części domu, gdzie znajdowały się pomieszczenia przygotowane tylko dla kobiet i gdzie mogły one ucztować i tańczyć do woli. Spuszczono lniane zasłony wyszywane purpurą i złotem oraz ozdobione fioletowymi i złotymi frędzlami, które oddzieliły kobiety od mężczyzn pozostających w głównej sali. Przez zasłony słychać było śmiechy i śpiewy, muzykę i radosne okrzyki, lecz widać było jedynie cienie kobiet i to zapewniało im swobodę, ponieważ znajdowały się poza zasięgiem wzroku hałaśliwych mężczyzn.

W salach domu, pod wysokimi sklepieniami, wybuchła muzyka. Rogi prześcigały się z piszczałkami w radosnych melodiach, a bębniarki wystukiwały bezustannie swój szaleńczy rytm.

We wszystkich większych pomieszczeniach rozłożono stoły, a wokół nich ustawiono sofy dla Szemajacha i wszystkich mężczyzn z rodziny jego córki przybyłych razem z nim, a także dla Rubena, Jazona i dla rabskich z Kany i Nazaretu oraz dla wielkiej rzeszy znakomitych mężów, wszystkich umiłowanych przyjaciół Hananela, tych, których znaliśmy, i tych, którzy byli nam obcy.

Przez otwarte drzwi domu widać było rozłożone na miękkiej trawie ogromne namioty i rozścielone wszędzie kobierce oraz rozstawione stoły, przy których można było usiąść na sofie albo na kobiercu, jak komu było wygodniej. I wszędzie paliły się wieloramienne świeczniki, rozświetlając noc setkami małych płomyków.

Pojawiły się wielkie półmiski z jedzeniem. Leżały na nich pieczone jagnięta, lśniły owoce, pięturyły się gorące korzenne ciastka i ciasteczka z miodem, stopy rodzynek, daktyli i orzechów.

Mężczyźni i kobiety podchodzili do ogromnych stągwi z wodą, a stojący przy nich słudzy obmywali im dłonie.

W każdej sali i przed każdym namiotem stało po sześć takich stągwi.

Słudzy polewali wodą wyciągnięte dłonie biesiadników, podstawiając złote i srebrne miski, i podawali im do wytarcia czyste lniane ręczniki.

Muzyka i zapachy unoszące się z półmisków pełnych smakołyków łączyły się ze sobą i kiedy stałem przez chwilę na dziedzińcu, w samym środku radosnego gwaru, i przyglądałem się po kolei wszystkim stołom, przy których trwała biesiada, a także temu, co się działo za zasłonami oddzielającymi nas od tańczących kobiet, miałem wrażenie, że znalazłem się w ogromnym, wspaniałym wszechświecie niczym niezmaconego szczęścia, do którego nie ma przystępu żadne zło. Byliśmy niczym rozległa łąka pełna wiosennych kwiatów, zjednoczona, bo poruszana jednym delikatnym podmuchem łagodnego wiatru.

Zatraciłem poczucie własnego jestestwa. Stałem się częścią wszystkiego, co działo się wokół mnie.

Wyszedłem na drogę, mijając szeregi tancerzy i suto zastawione stoły z rozprawiającymi wesoło biesiadnikami, i spojrzałem, tak jak zawsze, w górę, szukając lamp nieba.

Wydało mi się wówczas, że nawet tutaj były one głębokim i intymnym skarbem każdej pojedynczej duszy.

Czy nie mógłbym umrzeć w tej chwili? Czy nie mógłbym po prostu pozbyć się ciała i wznieść w górę, tak jak często o tym myślałem, lśniący i lekki jak piórko, i znaleźć się w towarzystwie gwiazd?

Och, gdybym tylko umiał zatrzymać czas, zatrzymać go tutaj, na zawsze, w chwili, gdy trwa ta wspaniała uczta, i pozwolić całemu światu przyjść na nią tutaj; wypłynąć strumieniem z czasu i poza czas, wlać się w tę chwilę i przyłączyć do tańców i ucztowania przy obficie zastawionych stołach, aby się śmiać, śpiewać i krzyczeć pośród dymiących lamp i migocących świec. Gdybym tylko umiał ocalić ich wszystkich tutaj, w samym środku tej pięknej i chwytającej za serce muzyki, ocalić ich wszystkich, od najmłodszych, jeszcze w rozkwicie, do najstarszych, pełnych cierpliwości i słodczy, i ich świadomości tego, co nieoczekiwane, i zachwycającej nadziei. Gdybym tylko umiał objąć ich wszystkich...

To jednak nie miało się zdarzyć. Czas biegł bezustannie, podobnie jak bezustannie dłonie uderzały w bębni, a stopy rytmicznie uderzały o marmurową posadzkę i miękką trawę.

Czas biegł dalej i w końcu, tak jak mówiłem Kusicielowi — kiedy kusił mnie, bym zatrzymał czas — miały nastąpić rzeczy, których chwila narodzin jeszcze nie nadeszła. Kiedy o tym myślałem, czułem dreszcz przeszywający całe moje ciało. Zimny dreszcz. Lecz przecież ten strach i dreszcz znane były każdemu śmiertelnikowi.

Nie przyszedłem po to, by zatrzymać czas, ani po to, by go opuścić w owej chwili tajemniczej radości. Widziałem, jak tańczą młody Jan, Mateusz, Piotr, Andrzej i Natanael. Widziałem, jak Hananel płacze, obejmując swego wnuka Rubena, który podał mu kielich z winem, i jak Jazon obejmuje ich obu, tak szczęśliwy i dumny.

Przyglądałem się biesiadnikom. Nie zwracając na siebie uwagi, chodziłem między stołami, wchodziłem do namiotów, przechodziłem przez dziedziniec rozświetlony ogromnymi stojącymi świecami i umieszczonymi wysoko pochodniami. Spoglądałem ukradkiem na tłum kobiet za zasłonami, spoza których nie dobiegał żaden dźwięk. Pozwoliłem, by mój umysł powędrował tam, dokąd nie mógł pójść żaden człowiek.

Abigail leżała na sofie, bez welonu, ponieważ nie było przy niej mężczyzn, w izbie przeznaczony dla nowożeńców. Miała przymknięte oczy, jakby spała, a u jej stóp siedziała Cicha Anna.

Równocześnie oczyma umysłu ujrzałem wyraźnie tę chwilę na dziedzińcu przed naszym domem, kiedy Ruben powiedział do Abigail: „Byłaś mi przeznaczona już od początku świata”.

Moje serce bez reszty nappełniło się bólem.

Zegnaj, najdroższa.

Nie powstrzymałem smutku. Pozwoliłem mu płynąć w żyłach. Nie był to żal z powodu samej Abigail, lecz z powodu jej nieobecności na wieki, braku bliskości, utraty tego jednego bijącego serca, które mogło być tak blisko. Pozwoliłem przemówić tej nieobecności i doświadczyć jej, a potem pocałowałem Abigail pocałunkiem z głębi serca, jaki złożyłem na jej czole, w jej obrazie, który przechowywałem w umyśle, i wreszcie pozwoliłem mu odpłynąć. Zostaw mnie — powiedziałem do wizerunku. — Nie mogę zabrać cię tam, dokąd idę. Zawsze wiedziałem, że nie będę mógł tego uczynić. Uwalniam się teraz od ciebie. Tak, znowu i na zawsze. Uwalniam się od pragnienia. Uwalniam się od poczucia straty, ale nie od wiedzy i świadomości. Nie, nigdy nie chcę się ich wyzbyć.

Godzinę przed świtem Rubena zaprowadzono do izby dla nowożeńców.

Kobiety odprowadziły już Abigail do małżeńskiego łóża, które zostało usłane kwiatami. Wokół niego zwieszały się przetykane złotą nicią kotary.

Jazon objął Rubena i ostatni raz poklepał go serdecznie po ramieniu.

A kiedy drzwi zamknęły się za Rubenem, muzyka wybuchła z nową szaloną siłą i mężczyźni zaczęli tańczyć jeszcze szybciej i z jeszcze większym zapamiętaniem, a do tańca ruszyli nawet najstarsi, którzy z trudem radzili sobie bez pomocnych dłoni synów i wnuków. Cały dom jeszcze raz wypełnił się okrzykami głośno manifestowanej radości.

Ludzie z okolicy wciąż napływali strumieniem do domu Hananela. Ich zdumiony wzrok i szeroko otwarte usta świadczyły o tym, że nigdy jeszcze nie widzieli tak wspaniałej uczty.

Dla biedaków z wiosek wystawiono na trawie stoły, a na nich położono gorący jeszcze chleb i polewkę. Wprowadzono także do środka żebraków, wielu chromych lub ślepych. Tacy jak oni stali zazwyczaj podczas uczt pod bramą, na zewnątrz domu, czekając na resztki ze stołu.

Kobiety tańczące za zasłonami przechylały się w lewo, krok po kroku, rozciągnięte w długim szeregu, a następnie przystawały i obracały się dokoła własnej osi, cały czas kołysząc się rytmicznie. Mężczyźni tworzyli w tańcu długie łańcuchy, które mijały mnie, płynąc z jednego pomieszczenia do drugiego, wokół głównego stołu dla biesiadników, przy którym siedział kraśniejący z dumy dziadek oblubieńca, wsparty o ramię Jazona. Natanael siedział z drugiej strony Hananela, który mimo dużej ilości wypitego wina zasypywał go pytaniami, podczas gdy Jazon uśmiechał się, rozmarzony, jakby cała ta uroczystość niewiele go obchodziła.

Przy niektórych stołach mężczyźni, zwłaszcza ci, którzy zjawili się niedawno, spoglądali w moją stronę i co chwilę słyszałem szeptem zadawane pytanie: „Czy to on?”

Całą noc je słyszałem, jeśli tylko chciałem. Całą noc widziałem odwracające się w moją stronę głowy i ukradkowe spojrzenia.

W pewnej chwili wyczułem, że dzieje się coś niedobrego.

Było to jak świadomość niechybnie nadciągającej burzy, kiedy jeszcze nikt nie dostrzega jej oznak. Była to chwila, w której człowieka ogarnia chęć, by powiedzieć: „A teraz wszyscy się uciszcie i posłuchajcie mnie”.

Nie musiałem jednak tego mówić.

Zauważyłem, że na końcu głównej sali biesiadnej dwoje sług sprzeczają się gorączkowo. Po chwili dołączyło do nich dwoje innych i zaczęli z jeszcze większym przejęciem szeptać między sobą.

Hananel także słyszał te poszeptywania. Gestem dłoni przywołał jednego z sług i nadstawiając ucho, kazał mu powiedzieć, o co chodzi.

W następnej chwili podniósł się z sofy, z wyrazem przerażenia na twarzy, nie zwracając uwagi na Jazona, który bez większego przekonania, oszołomiony winem, próbował pomóc mu wstać. Podeszedł szybko do sług i służebnic, a chwilę później jedna z nich zniknęła w pomieszczeniach dla kobiet, po czym wróciła.

Teraz inni słudzy także zaczęli przystawać w niewielkich grupkach. Tak, działo się coś niedobrego.

Za kotar dzielących salę biesiadną na części dla kobiet i mężczyzn wyszła moja matka. Szła wzdłuż ścian, ze spuszczonego wzrokiem, nie zwracając uwagi na pijanych, tańczących i śmiejących się głośno mężczyzn, którzy zachowywali się tak jak zawsze biesiadnicy na weselu. Na nią także nikt nie zwracał uwagi. Podeszła do Kleofasa, swojego brata, siedzącego przy dużym stole, naprzeciwko miejsca, które dopiero co opuścił Hananel. Sam gospodarz tymczasem sprzeczkał się o coś zajadle ze sługami, a jego blada, pomarszczona twarz stała się czerwona z gniewu.

Matka dotknęła delikatnie ramienia brata. Kleofas podniósł się natychmiast. Widziałem, że rozglądają się i szukają mnie.

Od dłuższej chwili stałem na dziedzińcu pośrodku domu, naprzeciw ogromnego świecznika.

Matka podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu. W jej oczach dostrzegłem panikę. Rozejrzała się dokoła, po wszystkich zgromadzonych pod dachem domu i na zewnątrz, w namiotach. Setki ludzi przybyłych na wesele siedziały przy stołach, trącając się łokciami i śmiejąc przy tym radośnie lub rozprawiając o czymś z zapałem, i nikt nie dostrzegał zbitych w gromadkę służących ani trwogi na twarzy mojej matki.

— Synu — powiedziała do mnie. — Kończy się wino.

Spojrzałem na nią. Wiedziałem, dlaczego tak się stało, i nie musiała mi tego wyjaśniać. Karawana z południa wioząca wino została napadnięta przez rozbójników. Wino ukradziono i zaniesiono na wzgórze, do grot. Wiadomość o tym dotarła właśnie do Hananela, a tymczasem na wesele, które miało trwać jeszcze cały jutrzejszy dzień, wciąż tłumnie przybywali nowi goście.

Szykowała się katastrofa o niewyobrażalnych rozmiarach i przerażających konsekwencjach.

Spojrzałem matce głęboko w oczy i wyczytałem w nich natarczywe błaganie.

Pochyliłem się nad nią i położyłem jej rękę na ramieniu.

— Kobieto, co tobie albo mnie do tego? — spytałem łagodnym głosem. — Wzruszyłem ramionami i wyszeptałem: — Moja godzina jeszcze nie nadeszła.

Matka cofnęła się powoli, przyglądając mi się przez chwilę z wyrazem zaciekawienia na twarzy i żartobliwie karcącym wzrokiem, który w końcu ustąpił miejsca łagodnej ufności.

Potem odwróciła się i uniosła palec. Czekala przez chwilę. Jeden ze sług, stojący po drugiej stronie dziedzińca, zauważył, że patrzy w jego stronę. Skinęła głową, a on skłonił się w odpowiedzi. Gestem dłoni wezwała go do nas, a potem przyzwała wszystkich pozostałych.

Hananel zorientował się nagle, że stoi sam, bo wszyscy słudzy, przepychając się między biesiadnikami, kierują się w naszą stronę.

— Matko — szepnąłem zdumiony i zaskoczony.

— Synu — odparła, żartobliwie naśladowując mój głos. Zwróciła się teraz do Kleofasa, położyła mu rękę na ramieniu i patrząc na mnie kątem oka, powiedziała:

— Bracie, przypomnij mojemu synowi przykazania. Nie tak dawno otrzymał błogosławieństwo swego ojca. Przypomnij mu: „Czcij ojca swego i matkę swoją”. Czy nie tak napisano?

Uśmiechnąłem się. Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło. Ona uniosła dumnie podbródek i spojrzała na mnie ciepłym wzrokiem, lecz nie uśmiechnęła się.

Otoczyli nas słudzy. Czekali na polecenia. Zebrali się także wokół moi nowi uczniowie: Jan, Jakub, Piotr, Andrzej i Filip. Cały wieczór starali się nie oddalać ode mnie, teraz zaś stanęli tuż obok.

— O co chodzi, rabbi? — spytał Jan.

W oddali dostrzegłem Hananela. Stał obok świecznika z założonymi rękami i przyglądał mi się z zaciekawieniem i konsternacją zarazem.

Matka zwróciła się do sług:

— Zróbcie wszystko, co wam każe.

Jej twarz znowu przybrała łagodny, charakterystyczny dla niej wyraz. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się filuternie jak dziecko.

Słudzy stali zdezorientowani i zaniepokojeni.

Kleofas roześmiał się cicho pod nosem. Zakrył usta dłonią i spojrzał na mnie szelmowsko. Matka odeszła. Posłała mi na pożegnanie surowe spojrzenie, kontrastujące z pełnym ufności i słodczy wyrazem twarzy, i zniknęła w części przeznaczony dla kobiet. Ukryta za kotarami, czekała, co się stanie.

Spojrzałem na sześć ogromnych stągwi stojących na dziedzińcu, w których trzymano wodę do rytualnego obmywania rąk.

Zwróciłem się do sług:

— Napełnijcie je po brzegi wodą.

— Mój panie, w każdej zmieści się mnóstwo wody! Żeby je napełnić, będziemy musieli taszczyć je do studni!

— W takim razie pospieszcie się — odparłem — i weźcie innych do pomocy.

Dwaj słudzy bez ociągania wzięli stągiew i wynieśli przez jedną z sal na zewnątrz, a potem do studni. Kolejni wzięli następną, jeszcze inni trzecią i wkrótce sześć stągwi wypełnionych wodą stało na swoim miejscu tak jak przedtem.

Hananel przyglądał się uważnie wszystkiemu, co robią słudzy, lecz nikt nie zwracał na niego uwagi. Mijający go ludzie pozdrawiali go, dziękowali mu, błogosławili, ale wszystko to jakby mimochodem. On tymczasem, nie odrywając ode mnie wzroku, wrócił z powrotem na swe miejsce przy stole, gdzie Natanael i Jazon rozmawiali o czymś radośnie.

— Gotowe, panie — oznajmił pierwszy sługa stojący przy stągwiach.

Wskazałem dłonią na jedną z wielu tac, na której stały kielichy do wina.

W głowie słyszałem słowa Kusiciela wypowiedziane na pustyni:

— Łudzisz się i oszukujesz! Nawet Eliasz potrafił zrobić coś takiego!

Spojrzałem na tego, który stał na czele sług. W jego oczach widziałem napięcie graniczące z rozpaczą. W oczach pozostałych zaś widać było strach.

— A teraz zaczerpnijcie ze stągwi — powiedziałem — i zanieście kielich Jazonowi, przyjacielowi oblubieńca, który siedzi obok waszego pana. To on jest starostą, prawda?

— Tak, panie — odparł sługa ostrożnie. Zanurzył czerpak w stągwi i wyjął napełniony po brzegi.

Czerwone wino załśniło w blasku świec. Uczniowie wpatrywali się w zdumieniu, gdy sługa napełniał trzymany w ręku kielich.

Poczułem ten sam chłodny dreszcz, którego doświadczyłem nad Jordanem, to samo ulotne, przyjemne mrowienie. Minęło równie szybko i niepostrzeżenie, jak się pojawiło.

— Zanieś mu kielich — zwróciłem się do sługi, wskazując na Jazona.

Wuj Kleofas nie potrafił wykrztusić ani słowa i wcale nie było mu do śmiechu. Moi uczniowie wstrzymali oddech.

Sługa ruszył pospiesznie do sali biesiadnej, obiegnął stół i wcisnął Jazonowi do ręki kielich z winem.

Mimo wrzawy i zgiełku wyraźnie słyszałem słowa wypowiedziane przy stole, przy którym siedział Jazon.

— Właśnie przyniesiono wino — powiedział sługa drżącym głosem, z trudem klekąc zdanie.

Jazon sięgnął po kielich i bez zbędnych ceregieli pociągnął spory łyk.

— Mój panie — odezwał się do Hananela. — A co to za niezwykła sztuczka? — Wstał i upił kolejny łyk. — Większość ludzi najpierw podaje dobre wino, by dogodzić biesiadnikom, a na później zostawia gorsze. A ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory.

Hananel wpatrywał się w niego bez słowa. Cichym, zimnym tonem powiedział:

— Podaj mi kielich.

Jazon nie zauważył chłodu w głosie Hananela. Już miał zamiar wrócić do sporu z Natanaelem, lecz ten skierował wzrok ku nam, stojącym na dziedzińcu przy stągwiach.

Teraz Hananel upił wina i usiadł z przejęcia. Wpatrywaliśmy się w siebie, on przy stole, my przy stągwiach.

Słudzy pobiegli do stągwi i zaczęli napełniać kubki i kielichy winem. Kolejne tace zanoszono na biesiadne stoły i kobierce.

Nikt z wyjątkiem Natanaela nie zauważył, że Hananel cały czas spogląda na mnie. Natanael wstał od stołu i ruszył w naszą stronę.

Kątem oka dostrzegłem, jak matka opuszcza miejsce przy drzwiach do sali biesiadnej, gdzie stała od dłuższej chwili, a następnie znika za cienkimi zasłonami z gazy.

Młody Jan ucałował nagle mą dłoń. Piotr ukląkł i zrobił to samo. Inni także obścąpili mnie i zaczęli całować moje ręce.

— Przestańcie — powiedziałem stanowczo. — Nie wolno wam tego robić.

Odwrociłem się i przez dziedziniec wyszedłem na zewnątrz, do ogrodu, z dala od hałaśliwych biesiadników. Szedłem tak długo, aż dotarłem do muru okalającego cały ogród, skąd widziałem pokoje dla kobiet, z których padało migotliwe światło.

Wszyscy uczniowie stłoczyli się teraz wokół mnie. Dostrzegłem zmierzającego ku nam Jakuba w towarzystwie młodszych braci.

Zjawił się także Kleofas, który stanął przede mną.

Wyszli do nas Jazon, Natanael i Mateusz, przy czym ten ostatni spierał się o coś zawzięcie z Młodym Janem i jednym ze sług, jeszcze chłopcem, który teraz wycofał się skulony, chyląc głowę.

— Powiadam ci, nie wierzę w to! — wołał Mateusz.

— Co to znaczy „nie wierzysz”? — odparował Młody Jan. — Sam widziałem, jak targali stągwie do studni, a potem nieśli je z powrotem. Rozmawiałem z nimi tak jak teraz z tobą. Jak możesz mówić, że mi nie wierzysz?

— To tylko wyjaśnia, dlaczego ty w to wierzysz — wtrącił się Jazon — ale nie przekonuje nas, żebyśmy my uwierzyli. — Podbiegł do mnie, odpychając stojących mu na drodze. — Jeszuo, czy to prawda, że to zrobiłeś, że zamieniłeś w wino wodę w sześciu stągwiach?

— Jak śmiesz zadawać mu takie pytania? — oburzył się Piotr. — Ilu potrzebujesz świadków, żeby uwierzyć? Widzieliśmy to my, widział to jego wuj!

— Ale ja w to nie wierzę! — zawołał Jakub. — Kleofasie, byłeś świadkiem tego, że to wino, które teraz podają na stoły, było wodą, nim on ją przemienił? Przecież to bez sensu!

W tej chwili wszyscy, z wyjątkiem Kleofasa, zaczęli mówić jeden przez drugiego. Tylko Kleofas stał i przyglądał mi się badawczo.

Noc dobiegała końca i na wschodzie niebo przybrało granatową barwę oznaczającą nadejście świtu. Gwiazdy, moje ukochane gwiazdy, wciąż świeciły jasnym blaskiem. Dom Hananela drżał od śpiewów i tańców.

— Co chcesz teraz zrobić? — spytał wuj. Myślałem przez długą chwilę, wreszcie odrzekłem:

— Będę działał od niespodzianki do niespodzianki.

— Co ty wygadujesz? — spytał oburzony Jakub. Znowu zaczęli się kłócić. Jazon, zawzięcie gestykułując, domagał się, żeby się uciszyli.

— Jeszuo, chcę, żebyś powiedział tym naiwnym głupcom, że nie zamieniłeś wody w wino.

Mój wuj zaczął się śmiać. Jak zawsze najpierw cicho, jakby nieśmiało, potem jednak chichot nabierał mocy i stawał się coraz donośniejszy. Chociaż wuj tłumiał śmiech, stawał się on coraz bardziej nieskrępowany i mroczny.

— Powiedz im — wtrącił się Jakub. — Powiedz im, bo inaczej nasz kuzyn wystawi się na pośmiewisko, gdy będzie o tym rozpowiadał! A przy okazji będą się śmiać także z was. Więc lepiej powiedz im, że nic takiego się nie stało.

— Ale właśnie się stało i my to widzieliśmy — zaoponował Piotr.

Andrzej i Jakub bar Zebedeusz skwapliwie to potwierdzili. Mój brat Jakub, zrezygnowany, podniósł ręce.

— Mogę uwierzyć, że wypędziłeś demona z jakiejś kobiety — zaczął Jazon — mogę uwierzyć, że zaczęłeś się modlić, żeby przestał padać deszcz, i tak się stało. W takie rzeczy mogę uwierzyć. Ale przemienić wodę w wino? W to nie uwierzę. Czegoś takiego przyjąć nie mogę.

Znowu głos zabrał Kleofas.

— Co chcesz teraz zrobić? — Przynal się do mnie bardzo blisko, także niemal na mnie napierał, ale inni słyszeli wyraźnie jego słowa. — Kiedy byłeś małym chłopcem, często domagałeś się ode mnie odpowiedzi na różne pytania, pamiętasz?

— Tak.

— Powiedziałem ci wtedy, że przyjdzie dzień, kiedy ty nam odpowiesz na nasze pytania. I powiedziałem wtedy także, że wyjaśnię ci wszystko, co będę wiedział.

— To prawda.

— W takim razie mówię ci teraz: ty jesteś Pomazańcem Bożym. Jesteś Chrystusem i Panem. I musisz nas poprowadzić.

Piotr, synowie Zebedeusza i Filip, wszyscy skinęli głowami i powiedzieli, że także w to wierzą. Kleofas mówił dalej:

— Musisz nas prowadzić, nie masz wyboru. Musisz ruszyć naprzód i przyjąć każde wyzwanie, jakie stoi przed Izraelem. Musisz chwycić za broń, tak jak to przepowiedzieli prorocy.

— Nie.

— Jeszuo, nie uciekniesz przed swoim powołaniem — ciągnął Kleofas. — Widziałem i słyszałem wszystko nad Jordanem, widziałem, jak woda zamieniła się w wino.

— To prawda — odparłem. — Ale to nie znaczy, że poprowadzę nasz lud do bitwy.

— Rozejrzyj się tylko — zaczął rozgorączkowany Jazon. — Czasy właśnie tego wymagają. Choćby Poncjusz Piłat. To z jego powodu Jan opuścił pustynię i przyszedł nad Jordan. To z powodu Piłata i jego przeklętych cesarskich insygniów. A dom Kajfasza? Co zrobili, żeby zapobiec tej tragedii? Je — szuo, musisz wezwać cały lud Izraela, by chwycił za broń!

— Ależ oczywiście, mój bracie — dodał Jakub. — To właśnie należy zrobić.

— Nie.

— Jeszuo, słowa proroka Izajasza wzywają cię do tego — upierał się Kleofas.

— Nie cytuj mi ich, wuju, znam je na pamięć.

— Jeszuo, jeśli tak właśnie postąpisz — ciągnął Jakub — czy coś nas może powstrzymać od zwycięstwa? Musimy chwycić za broń! Na tę chwilę czekaliśmy, o nią się modliliśmy! Jeśli powiesz mi, że zrobiłeś to wszystko tylko po to, żeby...

— Wiem, jak jesteście rozczarowani — przerwałem mu. — Ja też widziałem oczyma umysłu armie, które mógłbym poprowadzić, i zwycięstwa, jakie stałyby się naszym udziałem. Dlaczego wydaje się wam, że nie wiem takich rzeczy?

— W takim razie dlaczego nie pogodzisz się ze swym przeznaczeniem? — spytał Jakub z goryczą. — Dlaczego zawsze się cofasz?

— Jakubie, czy nie rozumiesz, czego chcę? Spójrz na twarze wszystkich, którzy widzieli, jak zamieniłem wodę w wino. Chcę dać im coś, co zapali cały świat. To wino jest jak krew w moich żyłach. Przyszedłem ukazać oblicze Pana całemu światu!

Milczeli.

— Tak, oblicze Pana — powtórzyłem. Przyglądałem się z natężeniem Jakubowi i Kleofasowi. Spoglądałem na każdego z nich po kolei. — Chcę ukazać wszystkim oblicze Pana.

Cisza. Stali nieruchomo, zbici w gromadkę, i patrzyli na mnie jak urzeczeni, nie śmiać wypowiedzieć ani słowa.

— Czy nie wiecie, że wszystkie bitwy, w których człowiek walczy mieczem, są w ostateczności przegrane? — spytałem. — Czy nie widzicie, że historia i Pismo pełne są bitew? A co z nich wynika? Tylko mi nie mówcie o Aleksandrze, Pompejuszu ani o Auguście, Germanikusie czy innym cesarzu. Nie mówcie o cesarskich insygniach, które wniesiono dumnie do Jerozolimy lub które rzymskie legiony straciły w Lesie Teutoburskim hen, na północy. Nie mówcie o królu Dawidzie ani o jego synu Salomonie. Spójrzcie na mnie, stojącego tu przed wami! Chcę zwycięstwa, które daleko bardziej przewyższy wszystko, co zostało zapisane jako zwycięstwo, czy to krwią, czy atramentem.

Oni cały czas milczeli, a ja mówiłem dalej:



— Musicie mi zaufać co do drogi, którą obiorę. Czy to w znakach, czy w cudach, czy w chwilach, kiedy każdy z was poczuje się osobiście powołany, czy w konkretnych, trywialnych lub niezwykłych wyzwaniach. Wzywam was, byście poszli za mną. Abyście odkryli to razem ze mną.

Nic nie odpowiedzieli.

— To się zaczyna tutaj, na tym weselu — ciągnąłem. — Wino, które piliście, jest przeznaczone dla całego świata. Izrael to wybrane naczynie, to prawda. Lecz od teraz wino płynie dla wszystkich. Och, jakże bym chciał, aby to było ostateczne zwycięstwo, ten właśnie piękny poranek, kiedy na wschodzie łagodnie różowi się niebo! Chciałbym otworzyć bramy dla wszystkich i zaprosić każdego, aby pił to wino tu i teraz i aby wszelki ból, cierpienie i oczekiwanie znalazły wreszcie swój kres.

Ale nie po to przyszedłem na ten świat. Narodziłem się, by znaleźć drogę do tego przez czas. Tak, przez czas Poncjusza Piłata. Czas Józefa Kajfasza. Czas cezara Tyberiusza. Jednak ci ludzie są dla mnie niczym. Wkroczyłem w historię dla całej historii. I nic mnie nie zatrzyma. I dlatego teraz, ku waszemu rozczarowaniu, pójdę do każdej wioski i każdego miasta i będę głosić, że Królestwo Boga jest blisko, że Królestwo Boga jest z nami, że wszyscy muszą się nawrócić i rozważyć swoje drogi. Będę głosił to wszędzie tam, gdzie mój Ojciec każe mi to robić, i znajdę tych, którzy będą mnie słuchać, i przyjmę wszystkie niespodzianki, które On dla mnie przygotował.

— Jesteśmy z tobą, Mistrzu — wyszeptał Piotr.

— Tak, Nauczycielu — dodał Jan.

— Jeszuo, proszę cię — zaczął łagodnym tonem Jakub. — Pan dał nam prawo na Synaju. Jak to sobie wyobrażasz? Myślisz, że będziesz teraz obchodził miasta i wioski? Że będziesz leczył chorych, co żebrzą przy drogach? Że będziesz czynił cuda w takich nieznaczących miejscach jak Kana?

— Jakubie, kocham cię — odparłem. — Niebo i ziemia zostały uczynione dla ciebie. Przyjdzie pora, że to zrozumiesz.

— Boję się o ciebie, bracie.

— I ja się o siebie boję — powiedziałem z uśmiechem.

— Jesteśmy z tobą, rabbi — zapewnił Natanael, a Andrzej i Jakub bar Zebedeusz przytaknęli. Wuj tylko skinął głową i odsunął się, a oni podeszli do mnie i zaczęli głośno zapewniać o swej wierności, ścisnąć i obejmować mnie.

Już wcześniej w czasie naszej rozmowy z części domu dla kobiet wyszła moja matka i stała w pewnej odległości, przysłuchując się nam lub może tylko nas obserwując. Obok niej stała Mała Salome, moja siostra, trzymając za rękę sennego Małego Tobiasza.

Gdzieś za nimi, na lewo, na samym skraju ogrodu, pomiędzy drzewami, których liście lśniły we wschodzącym słońcu, dostrzegłem drobną sylwetkę. Była to kobieta, stała z pochyloną, zakrytą welonem głową, odwrócona do nas plecami, i kołysała się miarowo.

Samotna tancerka podziwiała najpewniej wschód słońca.

W tej chwili podeszła do mnie Mała Salome.

— Jeszuo, musimy już wracać do domu, do Kafarnaum. Chodź z nami.

— Tak, rabbi, chodź z nami do Kafarnaum — powtórzył za nią Piotr.

— Pójdziemy z tobą, dokądkolwiek się udasz — powiedział Jan.

Zastanowiłem się przez chwilę, a potem skinąłem głową.

— Przygotujcie się zatem do drogi — odparłem. — A z tymi, którzy nie chcą pójść, musimy się teraz pożegnać najlepiej, jak umiemy.

Widać było, że Jakub jest niepokieszony. Kręcił zrezygnowany głową, po czym się odwrócił. Moi bracia stali wokół niego skonsternowani i przybici.

— Jezuo — zwrócił się do mnie Jazon. — Chcesz, żebym poszedł z tobą? — W jego twarzy wyczytałem gotowość natychmiastowego działania.

— A czy potrafisz zrezygnować ze wszystkiego, co posiadasz, Jazonie, i pójść za mną? — odpowiedziałem pytaniem.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę wzrokiem bez wyrazu. Wreszcie jego twarz przybrała chmurny wyraz i Jazon spuścił głowę. Widać było, że moje słowa go zabolaly i czuł się rozdarty.

Mój wzrok znów przykuła drobna sylwetka na skraju ogrodu.

Gestem dłoni kazałem im na mnie zaczekać i ruszyłem w stronę tańczącej kobiety, która wystawiła twarz do pierwszych promieni słońca wznoszącego się ponad murem ogrodu.

Minąłem dom i pokoje dla kobiet odgrodzone od reszty pomieszczeń kotarami. Kierowałem się w stronę muru, stąpając po rozsypanych płatkach kwiatów tam, gdzie w nocy tańczyli biesiadnicy.

Podszedłem i stanąłem za tajemniczą tancerką kołyszącą się w rytm bębenków, których dźwięk dobiegał aż pod mur, i zupełnie nieświadomą mojej obecności.

— Anno — powiedziałem.

Przerwała raptownie taniec. Odwróciła się. Spojrzała na mnie, a potem jej wzrok wędrował we wszystkie strony, ku ptakom siedzącym na gałęzi drzewa i ku gołębiom gruchającym na dachu domu. Spoglądała przez dłuższą chwilę na dom, ciągle jeszcze oświetlony, z którego dochodziły odgłosy zabawy i urzekający, rytmiczny dźwięk.

— Anno — powtórzyłem i uśmiechnąłem się do niej. Położyłem rękę na piersi. — Jezua — powiedziałem, rozłożyłem dłoń i przycisnąłem ją do serca. — Jezua.

Położyłem delikatnie dłoń na jej krtani.

Jej oczy rozszerzyły się z wysiłku. Z ogromnym trudem starała się wydobyć z siebie jakiś dźwięk i wreszcie wyszeptała:

— Jezua. — Pobladała, zdumiona tym, co się stało, i powtórzyła chrapliwym głosem: — Jezua. — A potem znowu, i jeszcze raz, głośniejszym i pewniejszym głosem: — Jezua, Jezua.

— Posłuchaj mnie — powiedziałem do niej, wykonując znajome dla niej gesty i przykładając rękę najpierw do ucha, a potem kładąc ją na sercu. — Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Pan jedyny!

Zaczęła wypowiadać te słowa. Powtórzyłem je, wykonując te same gesty, którymi tłumaczyliśmy je dla niej w czasie naszej codziennej modlitwy. Powtórzyłem jeszcze raz, a za trzecim razem mówiła już ze mną:

— Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Pan jedyny!

Wziąłem ją w ramiona.

Dołączyliśmy do pozostałych.

I ruszyliśmy w drogę.